

ŻOŁNIERZ DEWETTA

Z PAPIERÓW MŁODEGO PRZYJACIELA

JANKA ŻÓRAWSKIEGO

PRZEPISAŁA ZOFIA BUKOWIECKA.

Z 32 RYCINAMI

WARSZAWA. — NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

KRAKÓW. — G. GEBETHNER I SP.



JANEK ŻÓRAWSKI, ŻOŁNIERZ DEWETTA

Druk Warszawskiego Towarzystwa Akcyjnego Artystyczno-Wydawniczego.



MÓJ WÓDZ GENERAŁ DEWETT, BOHATER WOJNY TRANSWAALSKIEJ

ŻOŁNIERZ DEWETTA

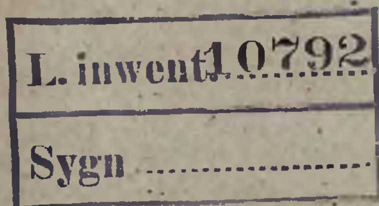
Z PAPIERÓW MŁODEGO PRZYJACIELA

JANKA ŻÓRAWSKIEGO

PRZEPISAŁA

Zofia Bukowiecka

Z 32 rycinami.







WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I Sp.
1902



Дозволено Цензурою.
Варшава, 15 Сентября 1901 г.

Moim siostrzeńcom

KAZIOWI i OLESIOWI KONARSKIM

składam w darze

historyę o dzielnym chłopcu.

WSTĘP.

LIST JANKA

do Redakcyi „Wieczorów Rodzinnych“ w Warszawie.

Johannesburg, Commissioner street № 6 (Transwaal)

8 października 1899 r.

Szanowna Redakcyo!

Miałem przed kilku laty zaszczyt pisywać do Redakcyi „Wieczorów“, używając pseudonimu Struś. Redakcya jednak wiedziała prawdziwe moje nazwisko Janek Żórawski, gdyż, nie chwaląc się, dostałem nawet kilka nagród za wypracowania konkursowe. Potem przestałem pisywać, bo moja kochana mama zachorowała. Wyjechałem z rodzicami na południe, do Włoch i Egiptu.

Często zmienialiśmy miejsce pobytu, nareszcie mama umarła (ale o tem nie mam odwagi wspominać), a tatko dostał posadę w banku w Aleksandryi.

Nie chciał zaś tatko wracać do Europy, bo jest bardzo dobry i poświęcił się dla mnie. Ja jestem zupełnie do mamy podobny, nawet często kaszlę: lekarze radzili tatce zostać w Aleksandryi więc, został kochany tatko, bylem ja był zdrów.

Teraz wytłomaczę Szanownej Redakcyi, dlaczego ten list piszę: bank, o którym wspomniałem, ma w całej Afryce

swoje domy i agentów. Tatko podobno bardzo dobrze bankowi służył, wysyłano go też do różnych krajów i miast. Byliśmy w Zanzibarze, a teraz mieszkamy w Johannesburgu, w kraju Transwaalskim.

Dawno już chciałem zapytać Szanowną Redakcyę, czy mógłbym stąd wysyłać listy i odbierać numery Wieczorów, ale jakoś nie miałem odwagi. Kiedy się tu jednak zaniosło na wojnę, postanowiłem nie zwlekać dłużej. Kto wie! Może zginiemy obaj z tatką? może Anglicy spalą Johannesburg i naszę papiery? Ja nie mam nikogo, komu mógłbym odesłać swój dziennik. Za radą tatki opisałem wszystko, co wiem o Transwaalu i jego mieszkańcach. Opis ten posyłam do Warszawy, może Szanowna Redakcya pozwoli go wydrukować. Pamiętam z jaką ciekawością czytywałem listy Jagnera, Orła i Rolnika. Ja ich prawie kochałem, bo prócz tatki nie żyje nikt z bliskich mi na świecie. Do Was się też zwracam, nieznani moi koledzy w Polsce.

Jadąc do Transwaalu, znałem już Afrykę, wiedziałem, że można w tej części świata żyć wygodnie, ale jednak zdziwiłem się bardzo, zobaczywszy Johannesburg. Jest to bowiem miasto, mające około stu tysięcy mieszkańców, oświetlone elektrycznością, posiada trzynaście kościołów, trzy teatry, ogród zoologiczny, czytelnie, ciekawe muzeum i, co mnie bardzo ucieszyło, kilka placów do gry w lawn-tennisa.

Co zaś najdziwniejsze, to że Johannesburg wcale nie jest tak stary, jak nasze miasta europejskie. Wyobraźcie sobie, powstał on wtedy właśnie, kiedy ja się rodziłem, to jest w 1886 roku. Trudno temu uwierzyć! Prawda, koledzy? Gdzie dziś wśród czteropiętrowych kamienic biegną tramwaje elektryczne, tam przed kilkunastu laty pasły się trzody na ubogich pastwiskach. Pa-

stwiska te tworzyły szereg pagórków zwanych Witwatersrand, czyli pagórki białych wód. Grunt mało urodzajny nie miał nabywców. Przed 1886 r. można było kupić od rządu Transwaalskiego cały Witwatersrand za 50,000 franków, teraz wartość tej samej przestrzeni nie dałaby się obliczyć na miliony.

A czy wiecie, dlaczego mój rówieśnik, młodziutki Johannesburg, powstał tak nagle i nabrał takiej ceny?

Odpowiedź na to bardzo łatwa. Oto w nieurodzajnych pagórkach Witwaterskich odkryto złoto, a na tę wieść tysiące ludzi dążyło ku południowi Afryki. Chciano zdobyć prędko majątek, zabierano więc z sobą żywność, mieszkano w wozach lub szałasach, znoszono największe niewygody, byle kopać, kopać i jeszcze kopać.

Niejeden też szczęśliwiec w kilka miesięcy stawał się bogaczem. Ale zgadnijcie, kto zarabiał najwięcej? Oto ci, którzy zamiast szukać złota dostarczali poszukiwaczom środków żywności i stawiali dla nich domy. Trudno uwierzyć, do jakich bajecznych cen doszły przedmioty pierwszej potrzeby i naprędce sklecone mieszkania. Właściciele studni sprzedawali wodę po cenie, jaką we Francyi płacą za dobre wino.

Odkrycie złota przypisują właścicielowi fermy Strubenowi: parobek Strubena, kopiąc rów, znalazł kawałek rudy złotej. Ale to odkrycie nie przyniosło szczęścia Transwaalowi. Posiadać kosztowny kruszec jest rzeczą dobrą, gdyż daje on środki konieczne dla budowania dróg, mostów, kolei. Lecz bogactwa budzą zazdrość. Opowiem też potem, w jaki sposób stały się one zgubą dla tutejszych mieszkańców. Dziś chciałem wam tylko wytłomaczyć, co wpłynęło na szybki wzrost Johannesburga.

Może sądzić będziecie, koledzy, że nazwano tak miasto ze względu na waszego sługę i przyjaciela? Niestety, nie. Mieszkam w Johannesburgu i noszę imię Jan, ale na tem kończą się moje przywileje. Rodziliśmy się wprawdzie jednocześnie, tylko moja kolebka stała w naszej ko-

chanej Warszawie, a poszukiwacze złota chrzcili swoje miasto aż na krańcu Afryki. Ja też zresztą nie jestem Johann, lecz Jan, i to nie Chrzciciel, nie Ewangelista, nie Złotousty. Moim patronem jest rodak, święty Jan Kanty, nauczyciel i opiekun młodzieży polskiej.

Spostrzegłem, może zapóźno, że zbyt dużo prawię o sobie. Będę się starał poprawić z tej wady, a tymczasem pospieszam dodać, że Johannesburg jest największem miastem Transwaalu, którego stolicę stanowi Pretorya, położona więcej na północ i gdzie mieszka prezydent rzeczypospolitej, sławny a dzielny Paweł Krüger.

Tatko postarał się o miejsce w banku Johannesburskim, bo choć cały kraj słynie ze zdrowego klimatu, Johannesburg, położony na wzgórzach Witwatersrandu, uchodzi za najzdrowszą miejscowość. Tutejsi lekarze utrzymują, że powietrze Transwaalu wyleczy wielu Europejczyków chorych na płuca. Tatko się z tego bardzo cieszy.

Nie myślcie jednak, koledzy, aby tu było zawsze gorąco. O wcale nie. W listopadzie zaczynają się wprawdzie upały i w lutym bywają nieznośne skwary, ale zato od marca wieje chłodny wiatr południowy, a w czerwcu miewamy czasem nawet śnieg. Prawda, jak to zabawnie pomyśleć, że wtedy, kiedy wy w Warszawie chodzicie na ślizgawkę, my prażymy się od gorąca, a chłody zimowe sprowadza nam wiatr południowy, bo wieje od bieguna?

Ale wracam do naszego przyjazdu. Zachwycony pięknem miastem, mającem zupełnie europejski pozór, zapomniałem, że jestem na południu Afryki. Piliśmy kawę u znajomego tatki Transwaalczyka, pana Pietera Burnsa, który mieszka w ładnym parterowym domu z ogrodem (tutejsi mieszkańcy niezmiernie lubią kawę, tyją też od niej, zwłaszcza zaś kobiety). Pijemy więc kawę, aż tu z ogrodu wysuwa się ku nam wąż jadowity i pełznie wprost na werendę. Gospodarz domu zabił laską nie-

bezpiecznego gościa, ja zaś zrozumiałem wtedy odrazu, że nie jesteśmy w Europie.

Pan Burns opowiedział nam tego wieczora swoją historyę, która jest zarazem historyą całego narodu Burów, gdyż Burami czyli Boerami nazywają się właściwi mieszkańcy Transwaalu. Spróbuję powtórzyć wam jego słowa, przedewszystkiem jednak przypomnijmy sobie mapę Afryki.

Muszę się wam przyznać, kochani koledzy, że ile razy patrzę na tę mapę, przypominają mi się serki, które jadałem, będąc u cioci na wsi. Odgryzałem sam rożek sera, o co gniewała się na mnie szafarka Michałowa i skarżyła przed ciocią. Ciocia była bardzo surowa, może więc dlatego utkwiły mi jej sery w pamięci, zwłaszcza zaś rożki, za które bywałem łajany. Ten rożek w serku (bo przyznajcie sami, że z kształtu jest Afryka bardzo do sera podobna) to południowy jej kraniec, zwany, jak wiecie, Przylądkiem Dobrej Nadziei. O tem każdy uczył się w geografii, uczyłem się i ja, tylko nie wiedziałem, że na rożku serka mieszkać będę.

Zasmakował ten rożek serka afrykańskiego wychodźcom z Europy i od początku XVII wieku zaczęli się tu osiedlać najprzód Holendrzy, a potem Hugenoci francuscy i wreszcie Anglicy.

Osadnicy ci, choć pochodzili z różnych krajów i należeli do różnych narodowości, żyli jednak w zgodzie, trudniąc się najprzód polowaniem, a potem hodowlą bydła i uprawą roli. Od wyrazu holenderskiego buhrs, co znaczy chłop, przyjęli nazwę Boerów czyli Burów, holenderski też język i religia protestancka utrzymały się na półwyspie, który nazwano Kaplandyą, to jest krajem Przylądka.

Niestety, Anglia pozazdrościła Burom ich bogatego kraju i rozpoczęła wojnę. Osadnicy bili się dzielnie, bronili swej niepodległości, ale zostali pokonani i w roku 1815 kongres wiedeński przyznał Anglii panowanie nad

Afryką południową. Łatwiej jest jednak wydać niesprawiedliwe postanowienie, niż je wykonać. Burowie nie mogli się pogodzić z najezdnikami. Chcieli bądź co bądź ratować swą niezależność, postanowili więc szukać nowej ojczyzny. Cała wielka Afryka stała przed nimi otwarta, opuścili zatem Kaplandyę, chociaż zostawiali w kraju przylądkowym wszystkie owoce swej dotychczasowej pracy. Wyruszyli na północ i osiedli w kraju zwanym Natal, a kraj ten leży nad brzegami oceanu Indyjskiego.

— Tu będziemy bezpieczni — powiedzieli Burowie i dalejże pracować nad założeniem nowych osad. Zaledwie jednak doprowadzili je do kwitnącego stanu, gubernator angielski w Kaptownie, stolicy Kaplandyi, oświadcza Burom, że jako poddani angielscy nie mają prawa tworzyć niepodległego państwa. Anglia bierze zatem Natal w swoje posiadanie.

Burowie bronili nowej swej ojczyzny, gdy jednak obronić jej nie zdołali, wyruszyli na północo-zachód pod wodzą dzielnego Pretoriusa, i tam pomiędzy rzekami Oranie i Waal założyli rzeczpospolitą Orańską ze stolicą Bloemfontein, co znaczy dosłownie „wodotrysk z kwiatów,“ bo miasto leży w cudnej okolicy i szczyci się swą bujną roślinnością.

Czy sądzicie, że teraz przynajmniej zostawiono Burów w spokoju? Wcale nie. Sześć lat tylko cieszyli się oni drogo okupioną wolnością na nowej ziemi. Po sześciu latach Anglia zabrała Holendrom Oranię, jak wprzód wzięła Kaplandyę, a potem Natal.

Burowie i teraz jeszcze nie stracili odwagi. Ja podziwiam ich wytrwałość, koledzy. Bo pomyślcie, co to jest trzy razy rzucać kraj, który się uważało już za swój, trzy razy rozpoczynać na nowo pracę około założenia nowej ojczyzny, kiedy serce do dawnych przyrastać zaczęło siedzib. Wyruszyli jednak znów na północ i przy tej nowej wędrówce przeszli rzekę Waal. Nazwali też

zajęte ziemie Transwaalem, to jest krajem położonym za Waalem. Tu, na żyznej, przeciętej górami dolinie, zamieszkali odtąd Burowie. Musieli walczyć z wielu trudnościami, gdyż kraj, choć bogaty w minerały i płody ciepłej strefy, był dziki i trudny do zdobycia. W rzekach gospodarzyły krokodyle, a niełatwy to do wytępienia ptaszek; wierzcie mi, koledzy, lepiej oglądać go w gabinecie zoologicznym, niż żywego. I czy to tylko krokodyle? Toż Burowie walczyć musieli ze lwem i bawołem, a pantery, szakale, lamparty są i dziś nie rzadką wcale w Transwaalu zwierzyną.

Niebezpieczniejszemi jednak od tych czworonożnych napastników były dla Burów dzikie plemiona Zulusów, Swazów, Beczuanów lub Bapedów. Powiem wam prawdę, koledzy, chociaż nasz gospodarz pan Burns (zapomniałem napisać, że właśnie w jego domu najął tatko mieszkanie) nie zgadza się z nami pod tym względem, tatko i ja mamy wielkie współczucie dla biednych czarnych tubylców. Ustępować oni muszą przed najazdem Burów, jak Burowie ustępowali przed Anglikami.

Łatwo też zrozumieć, że wszyscy więcej lub mniej czarni Kafrowie nie lubią i nie lubili białych, bo ci biali zabierali im ziemię. Walczono więc na całej przestrzeni cypla afrykańskiego. W Transwaalu, Natalu, Oranii, Kaplandzie lała się krew białych i czarnych ludzi, chociaż przecież i biali i czarni są zarówno dziećmi jednego Boga.

Z tych wewnętrznych zamieszek skorzystali znów Anglicy i ujmując się niby za Kaframi, zajęli w 1877 r. Transwaal. Niedługo jednak tym razem cieszyli się swą zdobyczą. W r. 1880 Burowie, dowodzeni przez generała Jouberta, pobili Anglików pod górą Majubą i odzyskali niepodległość, poczem utworzyli dwie rzeczypospolite: Orańską i Transwaalską. Orańską zarządza prezydent Stein, a Transwaalską Krüger. Obaj oni, ten ostatni zwłasz-

cza, przewidywali oddawna, że pokój z Anglią nie będzie trwał długo. Zawarła go Brytania, bo rządził nią wtedy szlachetny i sprawiedliwy minister Gladstone, który się brzydził rozbojem. Nie sądzono przytem, aby zdobycie Transwaalu przyniosło Anglii wielkie korzyści. Odkryto wprawdzie w kraju Griqua dyamenty, ale też pełnomocnik królowej Wiktoryi w Kaplandzie przywłaszczył sobie natychmiast tę prowincyę.

Jakiem prawem? — zapytacie.

— Prawem mocniejszego. — Orania i Transwaal protestowały przeciw zaborowi ziemi Griqua, ale ustąpić musiały. Anglia zorganizowała kompanię, wydobywającą dyamenty, założyła obok kopalni miasto Kimberley i pokój trwał znów z Oranią, a nawet z Transwaalem, chociaż ukradziono im bogatą prowincyę.

Ale, jak wam już mówiłem, rok 1886 pozostanie na zawsze pamiętny w dziejach Afryki południowej. Odkrycie złota sprowadziło na Burów wszystkie obecne kłopoty. Do 1886 r. Transwaal był małym kraikiem, bez którego Brytania wybornie obejść się mogła, ale kopalnie złota to łakoma rzecz.

Prezydent Krüger czuł przez skórę, że Anglicy łykają ślinkę i czekają tylko sposobności do zaczepki, a sposobność dla chcącego znajdzie się zawsze.

Jakoż już w 1895 r. spróbowała Brytania zagarnąć Transwaal. Angielski minister kolonii Chamberlain użył w tym celu człowieka bardzo zręcznego i energicznego, a nie przebierającego w środkach. Człowiekiem tym był Cecil Rhodes, dyrektor kompanii zawiązanej w celu eksploatowania bogactw Afryki południowej (kompanię tę w mowie potocznej zwykliśmy tu nazywać Chartered).

Rhodesowi, który jest prawdziwie złym duchem Transwaalu, dla jego przedsiębiorczości i energii dali Anglicy przydomek Napoleona Przylądku. Wielka jest w tem niesprawiedliwość, jak mówi tatko, gdyż Napoleon I-szy,

cesarz Francuzów, zdobywał kraje odwagą, a Rhodes podstępem. Ten niby-Napoleon namówił 1895 r. drugiego awanturnika, doktora Jamesona, aby wtargnął do Transwaalu pod pozorem opieki nad pracującymi w kopalniach złota cudzoziemcami, czyli, jak tu nazywają, Uitlanderami. Ale wyprawa się nie udała, bo generał Joubert, sławny zwycięzca z pod Majuby, przetrzepał porządnie skórę ptaszkom, czyhającym na cudze dobro. Jameson musiał się poddać, straciwszy osiemdziesięciu zabitych. Skompromitował przytem nietylko Cecila Rhodesa ale i Chamberlaina, co było bardzo niemiłe Anglii, a cały świat cieszył się ze zwycięstwa pokrzywdzonych Burów. Tatko powiedział mi, że cesarz niemiecki Wilhelm wysłał nawet do prezydenta Krügera telegram, winszujący mu powodzenia.

Pan Pieter Burns mówił nam już w pierwszym dniu naszego przybycia do Johannesburga, że pokój z Anglią nie będzie trwał długo. A można mu wierzyć, bo jest on przyjacielem głównodowodzącego armią, sławnego generała Jouberta, i prezydenta Krügera. Wszyscy oni trzej są starzy i razem treckowali. Ale wy nie wiecie, koledzy, co znaczy ten wyraz. Pochodzi on od słowa trehnen, wychodzić; tutejsi mieszkańcy, którzy mówią holenderskim lecz zepsutym językiem, nazywają treckami smutne swoje z kraju do kraju wędrówki.

Pan Burns treckował trzy razy, a ukochany jego brat starszy cztery razy.

Nasz gospodarz nienawidzi też Anglików, nie lubi zaś wszystkich wogóle cudzoziemców, prócz tatki, bo Burowie cudzoziemcom, zwabionym bogatemi kopalniami, przypisują niebezpieczeństwo, jakie znów grozi Transwaalowi ze strony Anglii.

Co się tyczy kopalń, to kraj tutejszy niezmiernie wiele i kosztownych kryje w swej ziemi minerałów. Mą ogromne pokłady węgla, kopalnie dyamentów, złota, srebra, miedzi, ołowiu, cyny, żelaza, grafitu, sody, saletry i ałunu.

Nie dziw, że dla zbogacenia się przyciągają tam ludzie z całego świata.

Zwiedzałem kiedyś z tatką kopalnie dyamentów w Kimberleyu. To miasto wzrosło równie szybko jak Johannesburg, a wygląda bardzo dziwnie, gdyż większa



Pieter Burns, ojciec Robertsa a nasz gospodarz w Johannesburgu.

część domów zbudowana jest z żelaza. Mnie te domy przypominały blaszane pudełka od cukierków landrynowskich, rozrzucone bez ładu i wdzięku. Nikt tu nie myśli o wygodzie, cała uwaga skierowana jest na kopalnie.

A te kopalnie także niezmiernie dziwny przedstawiają widok. Wyobraźcie sobie kawał gruntu poprzecinany bardzo głębokimi rowami w drobną szachownicę. Nad każdem polem tej szachownicy przeciągnięto liny druciane umocowane na słupach. Po tych linach jeżdżą w powietrzu wózki i wywożą ziemię wydobytą z głębi kopalń. Lin jest tak wiele, że wyglądają jak sieć, którą jakiś wielki pająk rozpiął nad kopalnią. Tatko powiedział wtedy do mnie, że pająk ten to chciwość ludzi na złoto.

Podobało mi się bardzo porównanie tatki.

A czy wiecie, w jaki sposób odkryto dyamenty? Ciekawa to historya.

Było tak, słuchajcie. Holender Wan Niekerk, zamieszkały niedaleko Kapetownu, w kraju Przylądkowym, przyjechał w odwiedziny do swego przyjaciela Jacobsa, który miał fermę nad rzeką Waal. Dzieci Jacobsa bawiły się ładnym, przezroczystym i świecącym kamykiem. Niekerk pochwalił kamyk, a obdarowany nim zabrał go z sobą. Gubernator Kapu, mądry Anglik, poznał się na wartości kamyka, kupił też od Niekerka brylant, a że był uczciwy, więc zapłacił mu za dyament 500 funtów, co znaczy około 5,000 rubli.

Dobry początek, prawda? Niezła to rzecz znaleźć taki kamyczek. Byłoby na fundę u Loursa i na łyżwy u Bruna. Łyżwy, mój Boże! U was zaczną się niedługo ślizgawki, a my tu mamy najpiękniejszą wiosnę.

Ale wracam do brylantów. Niekerk wrócił także po nie nad rzekę Waal. Jacobs powiedział mu, że w okolicy mieszka Kafr, zamawiacz deszczów (takich oszustów nie brak między czarnymi), i że Kafr ten posiada piękne amulety. Murzyni wierzą w cudowne własności amuletów. Niekerk nie dał się nabrać sławnemu zamawiaczowi, który chciał mu sprzedać jakiś własnej fabryki elixir odmładzający. Zato obejrzał jego amulety i znalazł między kamieniami Kafra cudny brylant. Po wielu trudno-

ściach dobito targu. Niekerk dał za kamień sto baranów i trzydzieści koni, zrobił jednak dobry interes, gdyż dyament był tak wielki, że po oszlifowaniu ważył 49 karatów. Dyament ten jest dziś własnością królowej angielskiej, nosi osobną nazwę Dudley i cenią go około pół miliona rubli.

Wiadomość o znalezionych przez Niekerka brylantach obiegła wkrótce cały świat. Anglia, jak wam już mówiłem, zagarnęła też zaraz prawo wydobywania dyamentów, ale od roku 1873 szukano ich tylko w piaskach rzeki Waal. Zrozumiano jednak nakoniec, że drugie kamienie muszą pochodzić z pokładów stałych, i że brylanty tylko przypadkowo naniesione zostały przez ścieki wód do łożyska rzeki.

I tak też było w istocie.

O czterdzieści kilometrów od brzegów Waalu mieszkał na swojej fermie Holender, pan du Toit. Nie domyślał się on wcale, że jest posiadaczem milionów pomnożonych przez miliony.

Nagle, jak piorun, gruchnęła wieść, że ferma du Toit zawiera na swych gruntach pokłady drogocennych kamieni.

— Hejże na fermę du Toit! Kupimy fermę du Toit!— krzyknęli przedsiębierczy kopacze, poszukujący dyamentów w piaskach Waalu i rzuciwszy łopaty, pędzą co sił gromadą, a jeden chce ubiedz drugiego.

Pan du Toit, jak na prawego Bura przystało, palił fajkę przed domem i cieszył się pięknym rankiem. Ale jakże się zdziwił, gdy ujrzał gromadę ludzi, pędzących wprost na jego podwórze. Był sam, nie przygotowany do odparcia napadu, uciekł też między pasące się na łące konie. Tam dosiadł oklep wierzchowca, lecz ogarnęło go przerażenie, gdy się przekonał, że mniemani zbójcy zamiast rabować fermę gonią za nim. Ściganie trwało sześć dni, bo Bur znał dobrze okolicę, umiał więc zmylić pogoń; dognano go jednak i schwytano w zagrodzie znajomego fermera, gdzie pan du Toit siedział ukryty wśród

trzody baranów. Zwierzęta dziwiły się pewnie i nie pojmowały, o co chodzi ludziom, którzy pchali jeden drugiego, cisnąc się sami jak bezrozumna trzoda.

Dobito nakoniec targu. Du Toit sprzedał swoją fermę za 125,000 franków, to jest otrzymał dwadzieścia razy więcej, niż była warta jego ziemia, dlatego że w tej ziemi znajdowały się dyamenty. Bur zgarnął pieniądze, ale nie wrócił już w rodzinne strony nad rzekę Waal. Bał się swych nowych sąsiadów. Kto zna awanturniczych poszukiwaczy bogactw, ten nie będzie się dziwił ostrożności pana du Toit. Zamieszkał on w Kapetownie i tatko poznał go, kiedy przed kilku laty zwiedzał stolicę Przylądka.

Tak powstały kopalnie dyamentów i miasto Kimberley. Wznosi się ono na miejscu dawnej fermy du Toit, ale zamiast spokojnej pracy rolnika widzielibyście tam dziś, koledzy, tysiące Kafrów, wydobywających brylanty. Biedni Murzyni nie rozumieją wcale, dlaczego Europejczycy płacą tak drogo za świecące kamyki.

Powiem wam prawdę, że ja sam nie pojmuję, czemu kawałek czystego, skrystalizowanego węgla, bo przecież brylant nie jest niczem innem jak skrystalizowanym węglem (widzicie, nie zapomniałem jeszcze tego, czego uczono nas w szkole) tak się ceni? Czemu ludzie zabijają się dla brylantów i płacą za nie stosami złota, albo, jak się na to zanosi w Transwaalu, strumieniami krwi?

Brylant jest pięknym kamieniem, to prawda, ale gdyby panie, które noszą brylanty, pomyślały, ile zdobycie ich kosztuje ofiar, gdyby widziały, z jakim niepokojem o swych mężów i synów kobiety burskie oczekują wojny!

Nie powinienem może pisać takich rzeczy, jestem za młody, aby sądzić ludzi z pobudki ich czynów. To też tatko, który będzie poprawiał list mój do was, koledzy, wykreśli zapewne ten ustęp. Ale napisałem go po rozmowie z naszym poczciwym Mungą.

Tylko wy nie wiecie, kto jest Mungo. Mungo to kucharz tatki, bardzo mądry Murzyn. Mówi on, że biali są bardzo chciwi i że tej chciwości nauczyli Kafrów, robiąc z nich złodziei.

Tatko przyznaje słuszność Mungowi. Murzyni używani w kopalniach kradną z wielką zręcznością brylanty, ci zwłaszcza, którzy wydobywają je z mułu i sortują, to jest dobierają wedle wielkości lub gatunku. Są też poddani ciągłemu nadzorowi, pracują nadzy, ale w rękawiczkach.

Dziwi was ta elegancya, dość oryginalna wobec reszty kostyumu? Wiedzcież więc, że rękawiczki, zamknięte na kłódki, nie przeszkadzają w robocie, zgiąć jednak palców Murzyn sortujący nie może. Dla złodzieja wielce to nieprzyjemne utrudnienie.

Czy sądzicie, koledzy, że na tem się kończą ostrożności, zachowywane względem Kafrów, sortujących dyamenty?

Wcale nie. Pozostaje jeszcze środek ostatni, ale nieodzowny. Murzyni, nawet najściślej dozorowani, połykają często brylanty. Europejczycy odzyskują jednak stracone kamienie. Nie wypada mi tłomaczyć wam szczegółów tej restytucyi. Byłoby to shocking. Powiem więc tylko dla objaśnienia, że w Afryce znają przysmak zwany olejem rycynowym, i każdy Murzyn, pracujący w sortowni, dostaje codzień porcyę tego specyału.

Przyznajcie, czy Mungo nie ma prawa narzekać na chciwość Europejczyków?

A jest ich tu bardzo wielu, zwłaszcza naprzykład w Johannesburgu panuje z powodu kopalń prawdziwa wieża Babel językowa. Nic zabawniejszego jak różnorodność i różnobarwność tłumu, zalegającego ulice. Japończyk rozmawia z Malajczykiem, a za nimi idzie Zulus obok Francuza lub gromada Bąsutów ubranych w naszyjniki z piór i w małe fartuszki skórzane; Anglicy, Amerykanie, Chińczycy, Niemcy, napływają do Johannesburga

w celu poszukiwania złota, Kafrowie dla zarobku w kopalniach, bo biedny to lud i nieraz żywić się musi szarańczą. Burowie nienawidzą tak jednych jak drugich. Kafrów przez niechęć rasową i dla ciągłej walki, jaką prowadzić muszą z podbitemi plemionami dzikich, Uitlanderów nienawidzą więcej chyba jeszcze, niż Murzynów. Są oni wprawdzie o wiele przemyślniejsi i zdolniejsi od ociężałych Burów, wznoszą bogate miasta, piękne gmachy, mosty, koleje żelazne, ale zwabieni złotem zaludnili Transwaal i chcą dalej gospodarować w nim, jak u siebie.

Burowie nie chcą ani cudzoziemców, ani od cudzoziemców pochodzącej cywilizacyi. Praojcowie ich przyszli do Afryki, szukając niezależności, oni też cenią przedewszystkiem wolność. O wygody i komfort europejski mało dbają. Tatko powiada, że dom Bura jest domem człowieka z przed kilkuset lat: wszystko tam skromne, proste i mniej daleko ozdobne, niż chaty naszych górali Zakopiańskich. Mieszkają najchętniej po żyznych równinach, na których pasą się ich trzody, bo hodują bardzo dużo bydła i owiec. Są całe gminy, żyjące życiem koczowniczem. Te nie znają wcale miast, nie oddalają się nigdy od swych stad. Żyją i umierają w wielkich wozach, które służą im za ruchome domy.

Sługą ani człowiekiem zależnym Bur nie będzie, od tego trzymają Murzynów. Są gościnni, miłosierni i pobożni. W głównej izbie mieszkania stoi na środku stół, a na nim leży stara biblia, tak stara, że nieraz pamięta jeszcze czasy pierwszych osadników z Europy. Wieczorem, po skończonej pracy, ojciec rodziny otwiera świętą księgę i odczytuje na głos słowa Pisma.

Ale to mi się najwięcej u Burów podoba że, chociaż oszczędni, nie cenią złota, którego tak wiele złożył Bóg w ich ziemi. Najbiedniejszy, jak równy z równym, zasiada przy stole bogatego fermera.

Tylko wy, koledzy, nie wiecie zapewne, co to jest ferma burska. Jest to osada położona wśród równin

W niej Bur czuje się królem otaczającej go ziemi, której dużo jeszcze leży odłogiem. Burowie uprawić wszystkiej nie mogą, a cudzoziemcy wolą kopać złoto, niż orać zagon, choć rola tu żyzna. Kłos pszenicy wydaje czasem 40 do 60 ziarn, a ogrody pełne są najpiękniejszych owoców, jak banany, pomarańcze, ananasy. Aż ślinkę łykać trzeba, przechodząc koło osady holenderskiej, w okolicach Lydenburga naprzykład.

Tam nawet palmy i trzcinę cukrową widzieć można, a ja spotykałem także moich imienników. Czy zgadujecie, koledzy, kogo? Oto strusie, bo fermerzy burscy hodują te olbrzymie ptaki (pseudonim waszego kolegi) i sprzedają ich pióra w Kapetownie, skąd ufarbowane jadą do Europy, żeby zdobić kapelusze pań.

Każdy Bur jest doskonałym myśliwym. Chłopiec dwunastoletni poluje już całymi dniami na antylopy. Opowiadają o Pawle Krügerze, który jest teraz prezydentem rzeczypospolitej Transwaalskiej, że mając lat 7, zabił kozę, a w jedenastym roku pierwszego lwa. Odtąd wojował nieustannie z Kaframi.

Raz, ścigany przez gromadę Basutów, odpoczywał głodny i zmęczony zdala od mieszkań ludzkich. Był sam. Nagle poruszyło się jakieś zwierzę w poblizkich trawach. Pawełek sądził, że zabije antylopę i zaspokoi nią głód. Na nieszczęście kapiszon zamokł od rosy, ale chrzęst odwodzonego kurka obudził czujność mniemanej kozy. Zwierzę wstało z legowiska i Krüger ujrzał... lwa!

Patrzyli na siebie przez kilka sekund. Chłopiec nałożył nowy kapiszon, lecz strzał nie dopisał po raz drugi. Zrozpaczony niepowodzeniem chwycił za lufę fuzyi i używając strzelby jak maczugi, wywinął kolbą młyńca.

Cóż myślicie, jak się skończył pojedynek Pawełka ze lwem? Otóż wyobraźcie sobie, że wynik tej nierównej walki był bardzo szczęśliwy. Odwaga chłopca podobała się widać królowi pustyni. Lew postąpił, jak



PAWEŁ KRYGIER,
PREZYDENT TRANSWAALU, PRZED DOMEM SWOIM W PRETORYI.

Uhi. Jag.

na wspaniałomyślnego monarchę przystało, bo darował życie Pawełkowi.

Burowie są niezmiernie silni, bo też ćwiczą się ciągle w bieganiu, dźwiganiu ciężarów i celowaniu. Ten sam Krüger wygrywał zakłady, które nam, piecuchom europejskim, wydają się bajecznymi. Pan Burns opowiada, że ścigając go pieszo, dobiegł pierwszy do mety, chociaż nasz gospodarz jechał na dobrym koniu. Meta była oddalona o 800 metrów. Ja wierzę, że niema przesady w tem opowiadaniu, bo widywałem Kafrów, biegnących przez dwie godziny obok najlepszych wierzchowców.

A jacy Burowie są wytrzymali na ból! Doprawdy, można uczyć się od nich męstwa. Ranę zszywają ścięgnem antylopy, które wrasta w ciało, i ani pytają o doktora. Aby dać wam przykład wytrwałości Burów w cierpieniu, znów przytoczę zdarzenie z życia prezydenta Transwaalu.

Fuzya urwała raz Krügerowi koniec pierwszego palca. Wuj Paweł (bo wujem zowią w Transwaalu wszystkich starszych mężczyzn, jak ciotkami starsze kobiety) nie zwrócił nawet uwagi na taki drobiazg, ale w zanieczyszczoną ranę wdała się gangrena. Chirurg chciał odciąć rękę.

— Stracić rękę, to nie módz utrzymać strzelby! — pomyślał Krüger i wiecie, co zrobił? Wyjął z kieszeni nóż myśliwski, naostrzył go, oparł palec na kamieniu i ciach... odciął chory członek.

Potem oskrobał jeszcze zgangrenowane części rany, opatrzył ją własnej roboty plastrem i skaleczenie zgoiło się wybornie.

Dzielnym jest prezydent Transwaalu, ale też równie dzielnemu panuje narodowi. Czy uwierzycie, że 16 - letni Bur ma już prawo wstąpić do wojska, a co ważniejsza, może być wybranym do sejmu, który tam rządzi całym krajem. Sejm ten nazywa się Volksrad, czyli Rada Narodowa. Zwoływany bywa w Pretoryi.

— Kiedyż więc uczą się młodzi Burowie? — zapytacie zapewne, bo w Europie szesnastoletni sztubak

musi pilnować lekcyi, inaczej, zamiast zasiadać w Volksradzie, zostanie posadzony do kozy. Czyż nie tak bywa w Warszawie?

Otóż przyznać muszę pod sekretem, nie chcąc obrazić tutejszych moich znajomych, że z nauką jest w Transwaalu trochę krucho. Burowie nie mają ani uniwersytetu, ani szkół specyalnych, są tu jedynie szkoły elementarne



Pretorya. Gmach Rady Narodowej.

i średnie. Uczą w nich przeważnie tylko religii, historyi ojczystej, matematyki i nauk przyrodzonych.

Mnie podobały się zwłaszcza szkoły wiejskie; tu każda osada ma swoją prawdziwie wzorowo urządzoną.

O wyższe wykształcenie trudno w Transwaalu i Burowie nie odznaczają się zapałem w tym kierunku, niektórzy tylko kształcą się w Europie.

Zato nie ma między Holendrami analfabetów. Każdy Bur, chociażby najdalej mieszkający od stolicy, czyta ga-

zety i interesuje się tem, co jego ziomkowie postanowią na zebraniu Volksradu. Jeśli uchwalą pokój, to Bur zapali fajkę, którą bardzo lubi, i będzie pracował dalej na fermie. Jeśli wojnę, pakuje cały swój dobytek na wozy; przy wozach zostają kobiety, żeby strzedz majątku rodziny, a Bur przewiesza fuzyę przez ramię i idzie się bić z Anglikami lub z Zuluanami.

Takiem jest życie prawdziwych Burów. Mała ich tylko cząstka mieszka w miastach, a i ci przyswoili sobie dotąd niewiele tych cech cywilizacyi, którą przynoszą im z sobą Uitlanderzy.

Wolność jest najwyższem dobrem Burów, postanowili też bronić się do ostatniej kropli krwi przed najazdem Anglików. Że zaś w dawnych ich posiadłościach została, pomimo trecków, część ludności holenderskiej, więc na całym półwyspie Afrykańskim, w Kaplandyi, Oranii i Natalu, wre także niechęć do Anglików.

Transwaal jest małym krajem, nie większym, niż Węgry, Anglia we wszystkich częściach świata ma swe posiadłości. Poddanych Wielka Brytania liczy przeszło trzysta milionów, Burów jest zaledwie trzysta tysięcy. A jednak chłopski rozum osadników afrykańskich radzi im nie ustępować przed przemocą.

— Jest Bóg na niebie — mówią Burowie i gotują się do walki. Prezydent Transwaalu zachęca do niej także. Obiecuje on, że wszystkich synów i wnuków wyprawi na wojnę. Dzielny to starzec i wielkie położył dla kraju zasługi. Krüger urodził się 1825 r., a w 1836 należał już do trecku. Jemu też zawdzięcza Transwaal rozwój handlu, zbudował on bowiem kolej od Johannesburga i Pretoryi do odnogi Delagoa. Tym sposobem miejscowe płody i towary wywożone są wprost z Transwaalu na ocean Indyjski. Tam zabierają je kupcy różnych narodowości, podczas gdy wprzód Burowie musieli używać pośrednictwa Anglii, która, mając w swem posiadaniu Kaplandyę i Natal, zamykała Transwaalowi dostęp do oceanu.

W 1877 r. protestował Krüger osobiście w Londynie przeciw zaborczym zamiarom Anglii, a w 1880 podtrzymywał całemi siłami walkę. Przyznaje on sam, że mało czasu poświęcił nauce i stoi pod względem umysłowym o wiele niżej od swego kolegi, prezydenta Orańskiego Stejna. Ale czasu tego nie trawił marnie: oddał go cały na pracę dla kraju. Wiedział, że do wojny przyjść musi. Zresztą wyprawa Jamesona na Transwaal była już pierwszą zaczepką Anglii.

— Cóż więc należało czynić?

— Zbroić się — odpowie pewnie każdy z was.

Tak też myślał i Krüger. Musiał jednak zachowywać wielką ostrożność, żeby nie obudzić podejrzeń Anglii. Dziś, w przeddzień wojny, te zbrojenia nie są dla nikogo tajemnicą, Tem lepiej wie o nich tatko, gdyż pan Burns znał i popierał swoim wpływem wszystkie plany Krügera.

Należało najprzód zebrać potrzebne na broń fundusze. Dostarczyły ich kopalnie, ale prezydent musiał przed Volksradem, to jest Radą Narodową, usprawiedliwić się z użycia funduszów krajowych.

Jak tu powiedzieć, że użyło się ich na broń, kiedy wieść o przygotowaniach wojennych rozeszłaby się natychmiast po całym świecie? Musiał więc Krüger działać nieraz tajemnie, ukrywać pieniądze, dawać im inne przeznaczenie, czem ściągał na siebie sarkania wielu członków Volksradu.

Byli nawet tacy, którzy posądzali czcigodnego starca o przywłaszczanie sobie funduszów narodowych, lecz Krüger zniósł niesprawiedliwość rodaków i dążył dalej do zamierzonego celu.

Pieniądze szły nie do kieszeni prezydenta, ale do portów francuskich lub niemieckich. Przywożono z Hamburga, z Hawru, z Antwerpii wielkie paki starannie deskami obite. Na pakach stało wypisane: „Maszyny rolnicze,“ lecz domyśliliście się już pewnie, koledzy, że w pakach

zamiast żniwiarek lub młócarni jechała do Transwaalu broń ręczna i armaty.

Mają się teraz czem bronić Burowie od Anglików, a zasługa to Pawła Krügera, wuja Pawła, jak go nazywają w Pretoryi, gdzie mieszka stale w ładnym parterowym domu. Codzień o szóstej rano, siada stary prezydent na werendzie, między dwoma kamiennymi lwami i wtedy każdy Bur, choćby najbiedniejszy, ma wolny przystęp do naczelnika rzeczypospospolitej, a on lubuje się pięknemi drzewami swego ogrodu i czystością ojczystego powietrza. To też mówią o Pawle Krügerze, że księgami, z których czerpie natchnienie, jest najprzód biblia, a potem natura. Ufa opiece Boskiej i zapewnia wszystkich, że Burowie odniosą zwycięstwo.

Będzie więc wojna! Wczoraj z powodu święta narodowego urządzili mieszkańcy Johannesburga uroczysty pochód. Czterokolorowa chorągiew transwaalska powiewała z gmachów publicznych. Na chorągwi stoi wypisane: „Eendwagt maakt Magt,“ co znaczy: „zgoda daje siłę.“

Pod tym sztandarem i pod tem hasłem będą się bili Burowie.

Ja życzę im szczęścia!

A teraz zapytacie mnie może, koledzy, co myśli zrobić tatko na wypadek wojny? Bank francuski, w którym ojciec służy, będzie zapewne zamknięty, straci więc tatko posadę. Ktoby się tam kłopotał o posadę, kiedy grzmią działa i kule świszczą... Mnie aż gorąco się robi, gdy o tem pomyślę! Jakże chętnie poszedłbym do wojska bronić dzielnych chłopów, których chleb jem od dwóch lat!

Ale jestem za słaby i za młody. Tatko jednak mówi, że każdy w miarę sił może służyć dobrej sprawie. Obiecuje tatko, że gdy wybuchnie wojna, pójdziemy obaj do szpitala pielęgnować rannych.

Kiedy więc w Warszawie roznosiciele gazet krzyczeć będą po ulicach: „Wojna! wojna!“ ja, wasz nieznany

kolega, pójdę wprost pod rozkazy siostry miłosierdzia. Potrafię przecież zwijać bandaże, lub czyścić noże operacyjne.

Czy potrafię tylko znieść widok krwi i ran? Sam nie wiem.

Od jutra zacznę codziennie zapisywać wszystkie ważniejsze zdarzenia. Może poślę wam kiedy mój dziennik, jak dziś posyłam opis Transwaalu, który kreśliłem z myślą o was, koledzy, a który tatko poprawił i uzupełnił datami. Już to daty najtrudniej trzymają się mojej głowy.

Janek, czy Struś — jak wolicie.

Dziennik Janka.

10 października 1899 r., godzina 11 rano.

Wojna czy pokój? Dowiemy się o tem dziś jeszcze. Rząd Transwaalski wysłał do Londynu ostateczne warunki zgody. Redakcye pism są oblężone, wszyscy wyczekują odpowiedzi. Dzięki drutom telegraficznym przyjdzie ona za kilka godzin. Miasto wyległo na ulice. Obcy ludzie rozmawiają z sobą, bo każdy spragniony nowin. Nawet tatko, taki zawsze spokojny, wyszedł dziś wcześniej do biura. Byłem z Mungą na spacerze. Czas jest prześliczny, ogrody publiczne przepełnione i okryte kwiatami. Natura odżyła, bo wiosna tu w całej pełni, a ludzie, niestety, chcą się zabijać!

Teraz Mungo gotuje obiad. Ja zasiadłem do pisania dziennika, ale na ulicach taki ruch, że nie wytrzymam i pobiegnę do okna.

Tego samego dnia wieczór.

Wojna, koledzy, wojna! Anglia odrzuciła warunki pokoju, więc wojna.

Kiedy ogłoszono tę wiadomość, powstał taki ruch na ulicach miasta, że sądziłem, iż nieprzyjaciel już się zbliża.

Ktoś zatrzasnął drzwi, a ja zeskakuję z krzesła i biegnę do okna. Byłem pewny, że to armaty zaczynają grać na zwykłą swą nutę bum! bum! bum!

Wstyd mi was, koledzy, postanowiłem jednak pisać zawsze prawdę, być szczerym, nie blagować.

11 października.

Dziś wszystko, co żyje, na nogach od rana. Miasto pełne Burów przybyłych z ferm. Cudzoziemcy zniknęli bez śladu z Johannesburga. Nie wiem, co się dzieje w kopalniach, ale na Commissioner street, gdzie mieszkamy, nie widać ich wcale. Dom pana Burnsa ubrany w flagi narodowe. On sam od rana na mieście, a jego najmłodsi synowie, Robert i Samuel, już się zbroją. Są niewiele starsi ode mnie, zwłaszcza Samuel, i bardzo ich lubię. Pozwolili mi robić ładunki. Wszyscy mężczyźni zdatni do boju stoją w szeregach. Wilhelmina, wnuczka pana Burnsa, płacze z żalu, że nie jest chłopcem. Mnie ogarnia wstyd, bo Wilhelmina gardzi takimi, którzy nie idą bić Anglików. Idą też wszyscy od szesnastoletnich do sześćdziesięcioletnich. Brat pana Burnsa to już starzec, a idzie na wojnę z synem jedynakiem i wnukiem.

Na placu przed arsenałem gromadzi się wojsko. Widzę doskonale z naszego okna, jak żołnierze stoją w szeregach. Chorążowie rozwinęli sztandary, a tłum wielkim głosem zaśpiewał hymn narodowy. Cóż to za wstrząsający widok! Śpiewają wszyscy jak jeden człowiek.

Bębny huczą, gra muzyka, formują się szeregi, komendant daje znak wymarszu. Trap! trap! trap! idzie kolumna za kolumną, wszystkie na południe do granicy Natalu. Tam na terytoryum angielskiem będzie wojna...

Widzę z okna Roberta i Samuela! Nie wytrzymam, pobiegnę na plac.

Tego samego dnia wieczór.

Uf! a to się zmachałem! Pędziłem za wojskiem

i krzyczałem tak, że aż ochrypłem, za co potem złajał mnie tatko. Żołnierze zniknęli pomiędzy wzgórzami, otaczającemi Johannesburg, a ja biegłem jeszcze. Biegli i inni chłopcy, ci, którzy są za mali, żeby iść na wojnę. Samuel i Robert mieszkają już w koszarach, ale byli także z nami. Nagle padł strzał. Myśleliśmy, że już bitwa, a to jakiś Kafr zabił jaguara w zaroślach.

Kafrowie pewno się cieszą z wojny białych. Ale to źle. Ja i czarnych ludzi lubię, zwłaszcza Mungę, naszego kucharza.

12 października.

Burowie przeszli granicę Natalu. Chłopcy burscy okrzykują tę radosną wiadomość po ulicach miasta. Johannesburg nie zaraz więc zostanie oblężony, a ja już naradzałem się z Mungą, jak gromadzić zapasy żywności. Nie chciałem tem kłopotać ojca, który ma dość zajęcia w biurze; zaopatrzenie się w żywność uważałem za swój obowiązek.

Pani Kety Burns, synowa naszego gospodarza, przywiozła z fermy dużo serów i wędliny. Ona także myśli pewnie o oblężeniu Johannesburga, bo zostaje na czas wojny w domu teścia z Wilhelminą, a teść jej i mąż już wyjechali wczoraj do Natalu. Wyjechał także Samuel z Robertem. Nasze pożegnanie było bardzo krótkie. Uściskali bratową i siostrzenicę, a potem podali mnie rękę.

Widziałem jednak, że Robert, żegnając Minę, pobladł, a ona ofiarowała mu na pamiątkę krzyżyk. Przypomniały mi się słowa piosenki:

„Wierna tobie, na twym grobie ucałuję krzyż.“ i omal nie rozpłakałem się głośno. Byłby to wielki wstyd wobec męstwa, z jakiem rozstawała się rodzina Burnsów.

Teraz dom opustoszał zupełnie. Pani Kety cały dzień zajęta, a Mina jej pomaga, mam więc czas myśleć o zapasach na wypadek oblężenia Johannesburga. W czasie oblężenia Paryża, Francuzi, chociaż są wybrednisie, jedli

koty, a nawet szczury i świec łojowych używali zamiast masła.

Opowiedziałem o tem Mungowi, ale on się śmieje i pokazuje białe zęby. Wolałby pewnie zjeść Zulusa, niż szczura, na co znów ja zgodzić się nie mogę. On nienawidzi Zuluan, bo wymordowali plemię, do którego



Mina przesyła ręką ostatnie pożegnanie Robertowi.

należy. Wszędzie ta nienawiść! Jakie to jednak smutne...

Dla mnie zwłaszcza. Mnie mama uczyła zawsze, że wszyscy bliźni są naszymi braćmi. Czyż kiedy będzie tak na świecie? Bo ja widzę, że jest zupełnie inaczej.

14 października.

Czytałem dziś gazety angielskie. Poczty tu wybornie urządzone. W Johannesburgu wychodzi parę pism

angielskich, które nawet Burowie czytają chętnie, bo dają świeże wiadomości o tem, co się dzieje w Londynie. Przez Suez, ocean Indyjski i odnogę Delagoa przychodzą listy z Europy. Może który z was, koledzy, napisze do mnie. Z tą myślą nawet podałem dokładny nasz adres w moim liście. Jakżebym się cieszył!

A potrzebuję pociechy, bo bardzo żal mi Burów i moich wyłącznych przyjaciół Burnsów. Zginą pewnie! Burów garstka, a Anglików tak wielu... Tyle okrętów naładowanych armatami, wojskiem i końmi płynie do Afryki. Konie podobno okropnie cierpią w czasie przeprawy, zwłaszcza, naturalnie, jeśli morze jest wzburzone. Armaty, wojsko, konie, wszystko to dąży na zgubę Burów. Strach pomyśleć o nich. A jednak Dawid pokonał Goliata. No i Kserkses posiadał moc okrętów, kazał chłostać morze rózgami, a jednak Bóg skruszył jego potęgę. To mnie pociesza, bo żałowałbym bardzo Burów, gdyby uledz mieli.

Chociaż żal mi i Anglików. Naturalnie tych biedaków, co do Afryki płynąć muszą, nie pana ministra Chamberlaina, który ich wysyła za morze. A jaki wstyd będzie dla niego w razie niepowodzenia! Cały świat wielbi pamięć sprawiedliwego Gladstona, a iluż ludzi już dziś przeklina Chamberlaina!

O wstyd mniejsza, ale tyle klęski, tyle śmierci sprowadziła nieszczęśliwa wojna. A ja już wiem, co to znaczy stracić ukochaną osobę, bo moja mama nie żyje...

15 października.

Piszę codzień i ledwie mam czas notować zaszłe wypadki. Burowie oblegli dwa ważne miasta: Mafeking i Kimberley. O Kimberleyu wiecie już, że leży na granicy orańskiej i jest sławny kopalniami dyamentów. Mafeking, na zachód od Johannesburga, stoi jak strażnica obok kraju Beczuanów, ujarzmionych przez Anglików.

Tatko mówi, że Burowie mogli mieć z Beczuanów sprzymierzeńców i przedmurze od Anglii.

Burowie jednak nie zwątpili o sobie, chociaż Anglia wzięła ich w dwa ognie. Z Londynu płyną okręty wojenne 34 dni, ale prędzej jeszcze spodziewają się tu floty angielskiej z Indyi. Wiecie przecież, koledzy, że królowa Wiktorya jest cesarzową Indyjską. Otóż na rozkaz jej królewskiej mości, jadą z Bombayu wojska, a z Bombayu do portu Natal przybędą w 18 dni.

Tymczasem jednak Burowie schwytali już wysłany przeciw nim opancerzony pociąg angielski.

Ale może wy, piecuchy warszawskie, nie wiecie, co znaczy pociąg opancerzony?

Ja wiem, bo ja tu prawie prowadzę już wojnę. To znaczy, że pociąg kolei żelaznej uzbrojony jest w armaty i, jadąc, strzela. Taki to pociąg zabrali Burowie, gdyż było już kilka utarczek. Gazety zapisują nazwiska rannych i zabitych.

Biedna pani Kety Burns! Doprawdy, nie śmiem spojrzeć na nią, kiedy czyta dzienniki. Najprzód naturalnie przegląda listy poległych, bo znaleźć w nich może nazwisko męża, teścia lub braci.

Wczoraj spotkałem ją w ogrodzie. Była bardzo smutna. Zapytałem o Samuela i Roberta.

— Żadnych wiadomości nie mam od nikogo z moich, a dziewięciu Burnsów maszeruje przeciw Anglikom.

— Dziewięciu—powtórzyła za nią Mina, patrząc na mnie z dumą, a potem dodała: — Żaden nie ucieknie, jestem tego pewna. — Zuch dziewczyna.

20 października.

Dziś widziałem rannych. Jakież to okropne! Nie zapomnę nigdy tej chwili...

18-go października była pierwsza większa utarczka. Anglikami dowodził generał White, nazwisko dowódzcy Burów niewiadome. Trudno ocenić, kto zwyciężył, ale

po obu stronach są znaczne straty. Dziś przywieziono rannych Burów do tutejszego szpitala.

Ach, koledzy, pomyślcie, co czuć muszą ci, którzy oczekują blizkich, kiedy mnie oddech zamierał w piersiach, bo może Samuel, może Robert... Na szczęście nie było żadnego z nich między przybyłymi.

Tłum osób biegł naprzeciw nadjeżdżającego pociągu.



Pociąg z rannymi.

Wagony toczyły się po relsach powoli i jakoś uroczyście. Wyglądało to niby wielki ruchomy karawan.

Matki wyciągały ręce. Chciały co prędzej objąć niemi rannych synów. Dzieci płakały. Ale gdy pociąg stanął przed dworcem, cały tłum krzyknął jak jeden człowiek:

— Cześć im! Niech żyją! Nasi, nasi! — wołano ze wszystkich stron. Sto rąk dobijało się o zaszczyt dźwigania noszów.

Ja stałem przy młodym żołnierzu, który miał uciętą nogę. Był bardzo blady, ale uśmiechał się i wyglądał na szczęśliwego. Uścisnąłem jego rękę. Zrozumiał moje wzruszenie i szepnął zaciśniętemi z bólu ustami:

— To nic, to nic, pamiętaj, że to nic... — a zobaczywszy nadbiegającą matkę, zemdlał.

Mam ciągle w uszach te słowa. Ach, gdyby mi pozwolono czuwać przy rannym żołnierzu!

Ale tatko nie opuścił dotąd biura, bo bank francuski nie zamknięty, nie jesteśmy więc jeszcze w szpitalu. Musiałem jednak przerwać lekcye, gdyż ojciec nie ma czasu odrabiać ich ze mną. Pomagam Minie pielęgnować kwiaty, a od jutra zacznę chodzić do redakcyi Kuryera Johannesburskiego. Jest wielki brak rąk, wszystko co żyło, poszło na wojnę, więc znajomy tatki redaktor prosił, abym pomagał składać numery gazety. Cieszę się tą pracą, bo będę miał dzienniki dla pani Kety Burns. Wolałbym jednak służyć w szpitalu. Może zobaczę jeszcze kiedy mego żołnierza, tego bez nogi...

22 października.

Wczoraj przyniesiono do redakcyi gołębia pocztowego. Leciał z Kimberleyu, bo, jak wam pisałem, Kimberley jest oblężony przez Burów. Gołąb miał pod skrzydłem depeszę, zamkniętą w rurce aluminiowej. Biedny ptak bronił się, trzepotał skrzydłami, a serce biło w nim tak głośno, że słyszałem wyraźnie: tik tak! tik tak!

Może ze strachu, a może ze wstydu, że zdradza tajemnice... Bo zdradzać to tak nikczemnie, że nawet niechcący jest już okropnie. No, ale naturalnie ptak nie rozumiał swego postępku i ja żartowałem, pisząc, że drżał ze wstydu.

Musieli jednak Burowie porządnie ścisnąć Anglików w Kimberleyu, kiedy wiadomości o sobie wysyłają przez gołębie. Odechce im się dyamentów: niejeden Uitlander drapnąłby teraz z powrotem do Europy, ale pikiety

burskie pilnują dobrze. Mógł się wydostać tylko gołąb. Biedny ptak zmylił drogę i zamiast do Kapetownu, gdzie był wysłany, frunął na północ, ku Johannesburgowi. Zaleciał do mieszkania biednego Kafra, który byłby go pewnie upiekł, lecz spostrzegł pod skrzydłami ptaka rurkę i spodziewając się nagrody, odniósł gołębia do redakcyi Kuryera.

30 października.

Przez cały tydzień nie napisałem ani słowa w dzienniku. Mam bardzo dużo do roboty. Redakcya zawalona gazetami, kto żyje kupuje dzienniki.

Dziś od rana nadchodzą ciekawe wiadomości z Natalu. Tam także szczęści się Burom. Mówią, że generał angielski White pobity i że z resztą wojska uciekł do Ladysmithu. I to więc miasto oblegają Holendrzy. Mafeking na północ, Kimberley na południe, a Ladysmith na wschód Johannesburga. Jesteśmy w środku trójkątu fortec angielskich; szczęściem te fortece same tymczasem bronić się muszą.

Nie wiem dotąd nic o losie młodych Burnsów. Pani Kety czeka napróżno wiadomości z pola bitwy, ale jest spokojna. Mówi sobie zapewne, jak ów ranny żołnierz:

— To nic. Ja też pamiętać będę, że to nic.

Mina zdaje się wątpić o moim wojennym animuszu. Wyśmiewała wczoraj sposób, w jaki używam kordelasa. Bo w tajemnicy przed tatką uczę się od niej strzelać i trafiać kordelasem do celu.

Już to kobiety burskie mogłyby zawstydzić niejednego u nas mężczyznę. Ale może znajdę jeszcze sposobność przekonać Minę, że i we mnie krew nie woda.

31 grudnia 1899 r. W kraju Orańskim (okolice Bethulii).

Dwa miesiące nie pisałem dziennika. Wstydziłbym się was, koledzy, gdyby to było z próżniactwa, ale teraz nawet Mina przyznałaby, że nie jestem tchórzem, a tem

mniej próżniakiem. Biedna Mina, czy też odebrała nareszcie jaką wiadomość o swoich wujach, o Robercie i Samuelu? czy oni żyją? Bo, że ja żyję, to wierzajcie mi, koledzy, cud prawdziwy, gdyż zblizka powąchałem prochu angielskiego. Wcale nie żartuję, a mogę wam zaręczyć, że kręci w nosie mocniej, niż najmocniejsza tabaka.

Brrr... jak o tem pomyślę, robi mi się głupio na sercu. Ale żyję. Nie czas więc lamentować. Ja też nie lamentuję wcale, owszem cieszą mnie wspomnienia przebytych niebezpieczeństw. Gdy się zestarzeję, będę mógł opowiadać swoim wnukom ciekawsze wrażenia, niż wrażenia filistrów, którzy się rozwodzą długo i szeroko nad stłuczoną nogą lub oparzoną ręką.

Tam, gdzie ja byłem, nie brakowało ognia. Ale ogień karabinowy budzi w sercu człowieka szlachetne uczucia. Kiedy koło uszów świszczą kule, kiedy armaty walą pif, paf, puf! to dusza otrząsa się z tchórzostwa.

Trzeba jednak porządnie opowiedzieć wam, koledzy, jakim sposobem dostałem się tam, gdzie pieprz rośnie, to jest gdzie kule biją.

Kiedy pisałem ostatni raz dziennik, sądzili wszyscy w Johannesburgu, że wojna się skończy prędko. Anglia taka potężna, tyle tysięcy wojska płynie do Afryki... Burowie zginą jak muchy, prawił niejeden. Ale stało się inaczej. Dzielni chłopi umieją bronić swoich praw. Generałowie angielscy pobici. To nic, mówiono, przyjdzie Buller i wszystko się zmieni. Tymczasem generał Buller przyjechał z Anglii, a jednak nic się nie zmieniło. Stoi on z wojskiem nad rzeką Tugielą i czeka, żeby wody opadły, a tymczasem Burowie na przeciwnym brzegu sypią szańce, zataczają armaty, gromadzą ochotników i żywność.

Teraz dopiero może się każdy przekonać, jak dzielnie prezydent Krüger przygotował Transwaal do wojny przeciw Anglii. W arsenałach Pretoryi i Johannesburga znalazło się więcej armat, niż przypuszczano, a Joubert,

chociaż nie kończył żadnej akademii, jest lepszym wodzem od generałów angielskich. Nietylko fortyfikuje brzegi Tugieli, żeby wstrzymać nieprzyjaciela w Natalu, ale na zachodzie oblega dalej Kimberley i Mafeking. Ach, jakżebym się ucieszył, gdyby mu się udało zdobyć te dwa miasta! Ja całem sercem sprzyjam Burom. Myślę



Pas z ładownic zdobytych na anglikach, używany przez Burów jak kamizelka.

też, że chociażby nawet wody Tugieli rozstąpiły się przed Bullerem, jak wody morza Czerwonego przed Mojżeszem użyje on jeszcze dużo biedy, zanim oswobodzi Ladysmith, Tatko mówi, że Anglik zgryzł Indye, lecz nie straw Irlandyi i Burów.

Kochany tatko! całe szczęście, że jestem z nim, że dzielimy razem niebezpieczeństwo. Ale w obcej okolicy tęsknię do Johannesburga, gdzie znałem dużo osób i gdzie tak wesoło spędzałem czas z młodymi Burnsami.

W Johannesburgu zmieniło się dużo od rozpoczęcia wojny i te zmiany właśnie spowodowały nasze dziwne przygody.

Miasto opustoszało, kto zdrów i młody, poszedł na wojnę, zabrawszy wszystkie konie. Wyprzęgano je nawet z dorożek: teraz ani dorożki, ani powozu nie ujrzysz na ulicy. Już to generał Joubert dał dowód wielkich zdolności wojskowych przygotowaniem obrony kraju. Z chwilą rozpoczęcia walki, cały naród mógł stanąć pod bronią. Podzielił on w tym celu Transwaal na 17 okręgów, zaprowadził w nich organizyę wojskową. Na czele każdego okręgu stał doświadczony i znany z dzielności oficer. Do tych oficerów wysłał Joubert telegramy, rozkazując natychmiastowy wymarsz. Raz, dwa, trzy — nim Anglik się spostrzegł, Burowie szli już na Mafeking i do Natalu. Nie szli, źle powiedziałem — jechali. Każdy Bur to urodzony jeździec, dopiero kiedy bitwa ma się już rozpocząć, zeskakują z koni, zostawiają je w bezpiecznem miejscu, a sami strzelają zaczajeni w kryjówkach. Kryjówek tych dostarczają im wzgórza, odłamy skał, krzaki. Bur potrafi wyzyskać najmniejszą nierówność gruntu na swoją korzyść.

— Każdy kamień Transwaalu powinien być dla was fortecą przeciw Anglikom — powiedział raz Joubert.

Nie uczęszczał on do akademii wojskowej, ale całe życie strawił na czytaniu dzieł, opisujących wyprawy Napoleona, cesarza Francuzów, i innych sławnych wodzów. Pod Majubahill dał już dowód swych zdolności, mobilizacya Transwaalu jest teraz drugiem świadectwem wielkiej energii starego generała.

Tak mówi tatko, bo ja się na tem nie znam. Na czem się znam jednak trochę, to na koniach, gdyż nie-



DELAREY POD RUSTENBURGIEM

zmiernie lubię te zwierzęta. Koń, zdaje się koń i koniec. A jednak jakże różne widywałempo świecie! Zacząwszy od chudych szkap dorożkarskich, aż do cudnych koni arabskich w Egipcie. Tatko znał Beduinów, handlujących końmi, i pośredniczył nawet w nabywaniu pięknych wierzchowców dla hrabiego D. Miałem więc sposobność napatrzeć się różnym stadom, ale takich koni, jak transwaalskie, nie widziałem nigdy.

Małe to, niepozorne, a mądre i wytrwałe, jak chyba żadne zwierzę na świecie. Trzeba widzieć konia transwaalskiego, kiedy zaczajony czeka, aż myśliwy wytropi zwierzynę. Stoi, jak posąg, i ani drgnie, zdaje się kamienny. Ale niech strzał będzie celny, wtedy koń cieszy się razem z panem. A jak te biedaki umieją piąć się po skałach, jak pędzą bez zmęczenia, zwłaszcza gdy są solone!

Widzę wasze zdziwienie, koledzy, jednak nie cofam tego, co powiedziałem. Tak, gdy są solene.

Trzeba wam bowiem wiedzieć, że panuje w Transwaalu zaraza na konie. Jak u nas każde dziecko przebywa odrę, tak w Afryce południowej każdy koń musi przebyć epidemię. Nieuniknioną jest zwłaszcza ta bieda dla koni importowanych z Europy. Anglicy wiedzą coś o tem, ich straty w koniach nie dadzą się obliczyć.

Ale zato wierzchowiec, który przebył zarazę, nabiera podwójnej wartości i nazywają go wtedy koniem solonym, to jest zaprawionym na wszelkie trudy, czyli a seltaed horse.

Z ulic Johannesburga znikły więc konie, znikli zaś i ludzie, bo Burowie wyruszyli tłumnie do obozu, a cudzoziemcy także chętnie opuszczali miasto. Puste ono było i smutne. Kupcy w obawie o swe sklepy, gdyż w czasie wojny nie brak rabusiów, zamykali je wcześnie. Wielu nawet, przewidując bombardowanie, otoczyło domy palisadami z drzewa. Byli i tacy, którzy cały parter osłonić kazali grubemi żelaznemi blachami. Te opancerzone mie-

szkania wyglądały bardzo groźnie: patrząc na ufortyfikowane domy, czuł każdy, że bitwa za pasem. Czuli to zwłaszcza cudzoziemcy, wywieszali też z okien flagi różnych państw. Flagi powiewały wesoło; ktoś nieświadomy polityki mógł pomyśleć, że przystrojono miasto na międzynarodową uroczystość, a to Uitlanderzy chronili się pod osłoną chorągwi, które szanować powinny strony wojujące. Obrażać chorągiew znaczy tyle, co obrazić państwo. Takie jest prawo, ja jednak, widząc te przygotowania, myślałem sobie: Wszystko to pięknie, ale prawo prawem, a wojna wojną. Co zaś jest wojna, o tem się już przekonałem.

A było to tak. W Johannesburgu strach. Wiadoma rzecz, koledzy, że strach ma wielkie oczy. Niech ciężki wóz przejedzie ulicą, niech wystrzeli kto na żart, zaraz ludzie biegną do okien. Bo nuż armaty dudnią po bruku?... Ach, jakie to bywa czasem zabawne! Widywałem największych bogaczów miasta w negliżach. Pękalibyście ze śmiechu, koledzy. Zwłaszcza Niemcy... Nie zdejmie taki Fryc szlafmycy, nie zapnie ani jednego guzika, a pędzi do okna, bo tam ktoś huknął z fuzyi za psem.

Ze strachu ucieka więc kto może do portów, to jest do Durbanu, do Kapetownu, gdzie Bóg da zresztą. Miasto pustoszeje i wygląda jak wymarłe. Restauracye zamknięte, kluby zamknięte, handel ustał, banki także próżnują.

Bankom grozi największe niebezpieczeństwo w czasie wojny. Wiedzą wszyscy, że w kasach leżą pieniądze, a chociaż rząd kazał zamknąć szynki, żeby wódka nie podniecała ludzi do złych czynów, łatwo trafić się może napad na kasę bankową.

— Czy podejmuje się pan, panie Jouasi, odwieźć pieniądze do Kapetownu? — zapytał tatkę dyrektor naszego banku, Francuz, który polskiego nazwiska wymówić nie umie. Zapytanie takie, to wielki zaszczyt. Powierzano pieniądze ojcu, bo wiedziano, że zaufania nie zdradzi, i choćby miał narazić życie, odda złoto w właściwe ręce.

— Cieszy mnie, że wybrano Polaka. Da Bóg, nie zepsuję swoim dobrej sławy — powiedział mój kochany ojciec i zaczął robić przygotowania do podróży.

Serce biło mi mocno, gdym widział, że Mungo, nasz kucharz, wyciąga kuferek z kąta pokoju.

— Czy tatko pojedzie sam? Sam przedzierać się będzie przez placówki nieprzyjacelskie? — myślałem przerażony. Ale tatko uspokoił moje obawy.

— Wezmę cię z sobą. Lepiej nam się nie rozłączać, chociaż wiem, że pani Kety Burns i Mungo daliby ci opiekę. W czasie wojny bodaj być razem, zwłaszcza gdy nas dwu na świecie, mój biedaku. Zresztą — dodał po chwili tatko — służę w banku francuskim i wiozę pieniądze francuskie. Pod osłoną pasportu, wydanego w Paryżu, nic złego spotkać nas nie powinno.

Kochany tatko! przekonaliśmy się wkrótce, że kule nie pytają o pasport.

Uściskałem ojca, a czułem się wtedy i jestem ciągle tak zdrowy, jak nigdy. Widocznie wojna wpływa dobrze na płuca. Ja sądzę, że najpewniej dobrze wpływa ciągły ruch, a ruchu miałem dosyć, bo przyznam się wam, koledzy, że nietylko składałem numery Kuryera Johannesburskiego, ale i roznosiłem go po mieście. Musiałem się podjąć tej pracy z powodu zupełnego braku młodych chłopców. Wszyscy poszli na wojnę, a mieszkańcy oczekiwali gazet ze zdwojoną niecierpliwością. Przynosiły im one wiadomości z pola bitwy.

Tatko jest zdania, że żadne zajęcie nie ubliża człowiekowi, myślę że i wy tak sądzicie, ja zaś zrobiłem doskonały interes, gdyż, biegając po mieście, przestałem kaszlać.

Ale wracam do podróży. Tatko pożegnał panią Burns, ja także ucałowałem jej ręce i uściskałem Minę, a było mi przytem bardzo smutno.—Kto wie, czy wrócimy jeszcze do Johannesburga—myślałem, czekając na dyrektora, który miał nam odnieść pieniądze. Lubiłem go, bo był wesoły

i zawsze żartował, a mnie uczył różnych figlów, nazywając przytem pieszczotliwie petit Jean.

Ach, gdybyście wiedzieli, koledzy, jak bardzo pragnie pieszczot dziecko, nie mające matki!

Dyrektor nie przyszedł sam, bo odebrał złe wiadomości i musiał natychmiast wyjeżdżać do Pretoryi. Pieniądze przyniósł sekretarz Anglik, pan Steney. Znałem i jego także, zauważyłem też zaraz, że jest bardzo blady.

— Czy pan chory? — zapytałem i biegłem już do Mungi, żeby przynieść Anglikowi szklankę gorącej herbaty.

Ale pożałowałem mojej niepotrzebnej gadatliwości. Pan Steney uśmiechnął się gorzko, dając tem poznać, że lekceważy cierpienie fizyczne. Dopiero po chwili dowiedzieliśmy się, co było przyczyną jego zmartwienia. Odebrał telegram, donoszący mu o śmierci krewnego, majora Scotta. Major dowodził załogą miasta Wryburga. Przestraszeni mieszkańcy nalegali na Scotta, żeby poddał Wryburg Burom, i on uległ ich prośbom. Tak jednak dręczył się myślą niedopełnionego obowiązku, że szukał śmierci. Zaraz też w następnej potyczce skoczył oślep na nieprzyjaciela i padł, przeszyty kulą Orańczyka.

— Pochowano go w obcej ziemi, pod krzakiem cierni, jak odrzuconego przez swoich, a mógł mieć inną mogiłę, gdyby był wytrwał na stanowisku — mówił rozżalony pan Steney.

— Każda mogiła daje spokój — pocieszał go tatko, myśląc pewnie o grobie mamy.

Nasza podróż trwała krótko. W czasie wojny, władze kolejowe obchodzą się bez żadnej ceremonii z prywatnymi podróżnymi. Zaraz na trzeciej stacyi od Johannesburga konduktor kazał nam wysiąść, mówiąc, że wagon jest potrzebny dla wojska. Czekaliśmy cały dzień na miejsce w pociągu, ale nie nudziłem się wcale. Wszędzie panował gorączkowy ruch i bieganina, w powietrzu czuć było już proch. Tak mówili przynajmniej żołnierze burscy,

którzy wracali z pod Estcourt, gdzie stoczono potyczkę i zdobyto na Anglikach pociąg opancerzony.

Przypatrywałem mu się z wielką ciekawością, bo stał spokojnie, jak niewiniątko, a niedawno pluł kulami. Wagony takiego pociągu wyglądają niby wielkie żelazne wanny. W tych wannach (w których, niestety, częściej płynie krew, niż woda) siedzą ukryci żołnierze, a z boków wanien sterczą armatki. Pociąg składał się z wagonu pomostowego z działem siedmiofuntowem, obsługiwanem przez oficera i kilku ochotników. Ci idą na pierwszy ogień i są najwięcej narażeni, bo pomost bywa zupełnie odsłonięty. Za pomostem z armatą, jadą przyczepione dwie opancerzone wanny, a w nich ukryta siedzi piechota. W środku pociągu umieszczona jest lokomotywa i tender, za niemi znów dwie wanny z ludźmi. Patrząc na żołnierzy, myślałem z żalem, że biedacy mogą się niedługo wykąpać we własnej krwi.

Na tyle wagonów jedzie odkryta platforma, taka sama jak na przodzie, jeszcze jedno siędmiofuntowe działo, oficer i ochotnicy gotowi iść na pierwszy ogień, gdyby nieprzyjaciel zaczepił z tej strony pociąg. Anglicy szli też podobno dzielnie w ogień pod Estcourt. Dowodził nimi porucznik Churchill. Ocalił on siebie i wszystkich rannych, ale opancerzony pociąg dostał się w ręce Burów.

Pokazywał nam go młody żołnierz z Johannesburga. Byłem bardzo kontent, spotkawszy znajomego, sądziłem bowiem, że dowiem się od niego o Samuelu i Robercie Burnsach. Ale Paweł Nyger (tak się zwał ochotnik) należał do innej kompanii. Opowiadał mi zato, jakich doznaje się uczuć, słysząc pierwszy raz świst kul koło uszu.

Miałem sam wkrótce spróbować tych wrażeń.

Wsiedliśmy do pociągu, jadącego na południe. Na południe, a było coraz zimniej. Czy wyobrażacie sobie tę sprzeczność, wy mieszkańcy północnej półkuli?

Pociąg przebył szczęśliwie granice Transwaalu, ale zaraz na wstępie do Oranii musieliśmy wysiąść znów

z wagonu. Tym razem czekaliśmy na stacyi całe 24 godzin, gdyż ruch wojska był tu o wiele większy, niż pod Johannesburgiem.

Nie wiem, co o tem piszą w Europie, ale przekonałem się własnemi oczami, że i Orańczycy pragną zachować niezależność. Tak jest niezawodnie: co żyje biegnie pod broń. Nie znam się na tem, sądzę jednak, że będzie miała Anglia w Afryce barszcz, jak przed stu laty miała go w Ameryce. A dobrowolnie sobie nawarzyła piwa. Czemu czyhała na cudzą własność?

Może niedługo powstaną tu nowe Stany Zjednoczone. Wszyscy to mówią.

Wracam do naszej podróży. Z coraz większą trudnością posuwaliśmy się naprzód. Im bliżej stolicy orańskiej, tej cudnej fontanny kwiatów, Bloemfontain, tem mniej miejsc w pociągu. Znajomy tatki poradził nam nająć wózek i przedzierać się bocznemi drogami do krajów Przylądka Po długich poszukiwaniach, znalazł ojciec Kafra, który za drogie pieniądze podjął się przewieźć nas aż do samego Kapetownu, omijając kolej, bo w okolicach Kolesberga toczą się ciągle utarczki.

Podróż daleka i uciążliwa, ale nie mieliśmy wyboru. Tatko schował w kieszenie paltota dwa nabite rewolwery, mnie oddał trzeci. Ucieszyłem się bardzo posiadaniem broni, ale ojciec robił umyślnie jawnie te przygotowania do drogi, żeby obudzić w woźnicy poszanowanie dla naszych osób. Kafrowie są niechętni Burom, a nas brano częściej za Holendrów, niż za Anglików.

Mówią, że ci ostatni rozdają Murzynom broń, żeby pozyskać w nich sprzymierzeńców. Takie są skutki wojny.

Ludzie, którzy wprzód znani byli z łagodności, teraz gotowi są mordować bliźnich. Zaczną od Burów, a skończą na fermerach angielskich, bo się lepiej obłowią u nich, niż w osadach holenderskich.

Jechaliśmy tymczasem jednak spokojnie, podziwiając piękności górzystego kraju Oranii. Konie pasł Kafr w cza-

sie odpoczynków na łąkach, których niema komu kosić, choć trawa pstrzy się tysiącem kwiatów.

Czasem dzień cały schodził bez jedzenia. Szczęściem przezorny Kafr miał z sobą kociołek, ukryty w sianie. Gotowaliśmy na popasach herbatę. Góry i herbata przypominały mi Zakopane. Zabita po drodze zwierzyna (Kafr rzuca zręcznie oszczepem) służyła nam za pożywienie. Piekliśmy, ją, kładąc między dwa rozpalone kamienie. Beefsteak smakował wybornie, bo byliśmy głodni.

Podróż trwała już dwa tygodnie. Dotąd prócz pojedyńczych patroli, wysyłanych za żywnością z obozu Burów lub Anglików, nie spotkaliśmy poważniejszych oddziałów wojska. Były zaś te wojska tak pomieszane z sobą, że wierzajcie mi, koledzy, nigdy nie wiedziałem napewno: Bur czy Anglik zastąpi nam drogę.

Aż raz... No, tego poranku nieprędko zapomnę. Nasz Kafr obejrzał się niespokojnie za siebie. Obejrzał się raz, obejrzał drugi. Patrzę, a on zeskakuje z wózka i jak długi pada na ziemię.

— Oszalał! myślę. — Wcale nie, koledzy. On tylko słuchał, bo wyborny słuch Murzyna rozróżniał w powietrzu echo strzałów wprzód, nim myśmy je zauważyć zdołali. Teraz leżał na wilgotnej od rosy murawie i chwytał uchem miarowy huk armat. Oznajmił nam o tem, wołając z przerażeniem: Bum! bum! bum! Potem zerwał się na równe nogi i zaczął z pośpiechem odprzęgać konie. Chciał uciec, dosiadłszy jednego z chudych jak szkielet wierzchowców, a nas i wózek zostawić w polu.

Ale tatko pokrzyżował plany tchórza. Wyjął rewolwer z kieszeni i przyłożył go Kafrowi do piersi. Pogróżka skutkowała, chociaż jestem pewny, że ojciec nie strzeliłby nigdy do bezbronnego człowieka. Jechaliśmy jeszcze z godzinę, wśród coraz wyraźniejszego echa strzałów, które rozlegały się ze wszystkich stron.

Nagle, jak burza, zatętniała za nami ziemia i prędzej, niż to opisać mogę, wypadł z pomiędzy wzgórz

konny oddział Burów i pędził na oślep przed siebie. Nie zapomnę nigdy wrażenia tej wspaniałej szarży.

Szare kurtki, znane mi dobrze z Johannesburga, osłaniały piersi bohaterów, bo tylko bohaterowie gonić mogą przed sobą śmierć z takim rozmachem, jak gonili ją ci dzielni jeźdźcy. Ale w mgnieniu oka straciłem zdolność kombinowania i podziwiania, gdyż od przeciwnej strony rozwinęła się przed nami kolumna piechoty angielskiej. Czerwone mundury przecięły drogę długą krwawą wstęgą i zasypały ogniem karabinowym jazdę burską, no i nas z nią.

Wiem teraz, co to świst kul, co to śmierć połknięta w jednej chwili, co koń, wlokący za sobą rannego jeźdźca. Z piersi zwierzęcia płyną potoki krwi, a ono rwie się jeszcze naprzód... Nawet koń transwaalski drogo okupuje swe życie.

Bitwa trwała zapewne nie dłużej, niż 10 minut. Burowie złamali kolumnę piechoty angielskiej, zabrali jeńców i popędzili dalej. Wystraszone konie Kafra skręciły same w bok. Dzięki instynktowi rozumnych zwierząt wydostaliśmy się szczęśliwie poza linię placówek, na olbrzymie trzęsawiska, o których zdobycie nie pokusiłaby się pewnie żadna armia. Po dwugodzinnem błądzeniu drogą, której ślad nikł wśród traw, dojechaliśmy do fermy Orańczyka, gdzie dano nam przytułek.

— A co, Janku? Bóg ocalił i Matka Boska Częstochowska. Jak się czujesz? Pierwszy raz dziś powąchałeś prochu i właśnie w dzień swoich urodzin.

Prawda, był to 18 grudnia, a ja zupełnie zapomniałem o tem. No, ale tatko sam przyznaje, że nie miałem bardzo wystraszonej miny, a co widziałem bitwę to widziałem. Pewnie mi tego pozazdrościcie, koledzy.

Poczciwy Holender gościł nas w swym domu kilka dni. U niego też spędziliśmy wigilię Bożego Narodzenia. Jakże inaczej, niż wy u siebie! Tu obchodzą tę uroczystość poważnie, ale nie łamią się opłatkiem, nie zastawiają na



SZKOŁA LUDOWA DO KTÓREJ UCZĘSZCZALI TOM i JAKÓB RASSEMUS

sianie kolacyi. Gotują tylko wspaniały pudding, który bardzo mi smakował, bo wojna uczy cenić każdy posiłek. Toż jadaliśmy pieczeń przyrządzoną prawie na surowo przez Kafra. Nasz Kafr dawno nas pożegnał; wystraszony wrócił w swoje strony, my zaś końmi gospodarza dojechaliśmy do fermy jego brata, położonej już w okolicy Middelburga. Przyjęła nas matka staruszka, oznajmiając, że syn pojechał do Kapetownu. Tatko nie odpowiedział ani słowa, ale pan Rassemus (tak się nazywa właściciel fermy) poszedł z pewnością na wojnę. Domyślamy się tego, a ja słyszałem nawet, jak Jakóbek, najmłodszy wnuk gospodyni, obiecywał bratu, że pomści się za ojca na Anglikach. Tom, starszy, więc roztropniejszy, zatkał usta malcowi. Mnie zrobiło się przykro, bo dlaczego pani Rassemus nie ufa tatce?

Musieliśmy jednak czekać parę dni, gdyż skutkiem deszczów wylały rzeki, a wszystkie łodzie i promy zabrali Anglicy pod przewóz wojsk. Dziś (31 grudnia 1899 r.) zjawił się tu patrol angielski, jadący na rekonesans, a może szpiegujący pana Rassemusa... Biada fermie, której właściciel chwyta za broń, to też nie dziwi mnie już teraz ostrożność, jaką zachowują Holendrzy. Oficer, dowodzący patrolem, przejrzał papiery tatki, a przekonawszy się, że są w porządku, obiecał zabrać listy, które ojciec pragnął wysłać do bankierów w Johannesburgu i Kaptownie.

Poprosiłem, czy nie wziąłby mego dziennika dla was, koledzy. Uśmiechnął się i obejrzał pismo.

— A może wasz syn zdradza tajemnice stanu? — powiedział do tatki.

Pewnie, że mógłbym pisać, co mi się podoba, bo nikt tu nie umie po polsku. Życzę wam szczęśliwego Nowego Roku, koledzy. Jutro już może wyruszymy stąd. Do widzenia więc... jeśli żyć będę, bo nie zawsze kule bywają tak łaskawe, jak te, które nas minęły.

Dalszy ciąg dziennika. W obozie angielskim nad Tugielą, 2 lutego 1900 roku.

Kochani koledzy! Prawdę mówi przysłowie: „kiedy na niedźwiedzia gałązka spadnie—mruczy, kiedy cała gałąź — to cicho siedzi. Tak było ze mną. Opisywałem wam obszernie pierwszą potyczkę, a teraz słucham nieustannej strzelaniny i często zblizka wącham proch, jednak nie chwalę się przed wami. Prawda, że w obozie mało jest czasu na kreślenie swych wrażeń. Znalazłem go jednak dziś.

Swoich wrażeń! aż mnie wstyd, że tak napisałem. Cóż znaczą moje osobiste wrażenia wobec zwycięstw całego narodu? Bo Burom sprzyja dotąd zasłużone, ale nieprzewidywane przez nikogo szczęście. Tatko mówi, że obecnie zaczyna się trzecia część tej samej walki.

Pierwszą już wam opisywałem. Była to genialna mobilizacya armii burskiej, przeniesienie wojny na terytoryum angielskie i oblężenie trzech miast: Ladysmithu na wschodzie, a Mafekingu i Kimberleyu na zachodzie. Kimberleyu zwłaszcza, gdyż zamknął się w nim sławny, a znienawidzony przez Burów awanturnik Cecil Rhodes. Jeśli dostaną go żywcem, to chyba obedrą ze skóry, tego niby-Napoleona, który od tak dawna czyha na zgubę Transwaalu.

Anglia lekceważyła z początku nieprzyjaciela, ale przekonała się wkrótce, że wojna z Burami to nie przelewki. Popłynęły więc do Afryki okręty, wiozące 80,000 żołnierza. Pomyślcie, koledzy! 80,000 matek wychowywało synów, pieściło ich tak, jak mnie pieściła moja mama, na to, aby padli w Afryce ofiarą chciwości panów ministrów...

Tak mówi tatko, a mnie żal i Anglików, chociaż więcej jeszcze Burów.

Z przybyciem wojsk zacząć się miała druga epoka, czyli druga część wojny, a raczej, jak przepowiadano, skończyć się miała cała wojna pod zalewem anglików.

Wojska te podzielono na trzy oddziały. Zachodnim dowodził lord Methuen i temu polecono oswobodzić Kimberley, środkowy korpus szedł pod rozkazami generała Gatakra, a wschodni maszerował wprost do Ladysmithu, żeby wypuścić z kozy oblężonego w tem mieście generała angielskiego Whitha. I wiecie co się stało?

Methuenowi zastąpił drogę wódz Burów Cronie, a zastąpiwszy, strzepał doskonale skórę pod Maggersfontaine, Gatakra pobili Burowie pod Stormbergiem, a na drodze Bullera położył się stary lew Transwaalu Joubert i pokazał zęby.

Kiedy Buller wyjeżdżał z Londynu, to żegnały go tłumy publiczności okrzykiem: „Remember Majuba!“ co znaczy: „pamiętaj Majubę.“

Chciano, aby pomścił klęskę Anglików, poniesioną w 1881 r., ale tatko mówi, że teraz wołać powinni w Anglii: „Remember Tugiela!“ Bo walk, jakie się toczą nad rzeką Tugielą, nie potrafiłbym wam opisać, koledzy, chociażbym isa tydzień.

Joubert jest chory, ale pomimo to cały czas spędza w obozie. Opowiadali nam więźniowie burscy, że stary wódz z nieodłączną swą fajką sam kieruje sypaniem wałów, którymi fortyfikuje brzegi rzeki. Pani Joubert gotuje tymczasem obiad dla męża, a robią to także żony najpierwszych dygnitarzy Pretoryi i Johannesburga. Dzielą trudy mężów, czuwając nad ich potrzebami. Kobiety burskie odznaczają się nieustraszoną odwagą. Nietylko, że przynoszą żywność żołnierzom, narażając się na śmierć, ale zbierają kule pod paszczami armat angielskich i zdobytą w ten sposób amunicyę odnoszą Burom.

Joubertowi pomaga dzielnie najmłodszy z generałów burskich, Ludwik Botha. Ma dopiero 35 lat. Choć dotąd zajmował się tylko gospodarstwem na fermie, potrafił zyskać sobie zaufanie rodaków. Wierzą mu bez granic, a on męstwem i zdolnościami usprawiedliwia dobre o sobie mniemanie. 15 grudnia 1899 r. odniósł Botha pod Colenso,

na brzegach Tugieli, walne nad Anglikami zwycięstwo. Zginął wtedy także młody, pełen nadziei syn sławnego marszałka Robertsa, wodza armii brytańskiej.

Ten to właśnie marszałek Roberts, razem z lordem Kitchenerem, przybywają do Afryki na czele stu tysięcy wojska i z ich przybyciem rozpoczyna się trzeci okres walki.

My z tatką bierzemy w niej mimowolny udział z łaski Anglików. „Im więc dziękuję za to, co się stało.

„A jak się stało, opowiem“.

Wiecie już, że święta Bożego Narodzenia spędziliśmy na fermie pana Rassemusa. Sądziłem, że za kilka dni wyruszę w nową podróż, aż tu 2-go stycznia... O, tę datę zapamiętam na zawsze! Bo wystawcie sobie, zrana tego dnia obudziłem się sam w pokoju gościnnej fermerki! Łóżko tatki było próżne, zniknął kuferek i rewolwery, a na stoliku leżała kartka, zaadresowana do mnie.

Drżącą ręką chwyciłem papier i któż opisze moje przerażenie! Tatko pojechał sam do Kapetownu, bojąc się narażać mnie na niewygody podróży. Prosił, abym dla jego miłości był mężnym i oczekując na powrót ojca, używał zdrowego wiejskiego powietrza.

Co się ze mną działo, tego opisać nie potrafię. Chciałem gonić tatkę, ale gdzie i jak gonić? Tatko pojechał koleją, bo udało mu się szczęśliwie dostać na pierwszej stacyi miejsce w pociągu. Powiedział mi to Kafr, który odwoził ojca. Wstydzę się przyznać wam, że płakałem jak dziecko.

Do pokoju weszła staruszka, matka pana Rassemusa. Patrzała na mnie ze współczuciem, ale kiedy nie przestawałem szlochać, zapytała łagodnie:

— Czy John kocha swego tatkę? John się rozchoruje, John umrze, tatko będzie smutny.

Mówiła źle po angielsku, bo Holendrzy tutejsi po angielsku mówią bardzo niechętnie. Płakałem wciąż.

— John mężczyzna starszy od Toma. John niech radzi sobie zamiast płakać. Bur nie płacze. Czy u was płaczą?

Patrzyła na mnie surowo. Była wysoka, silnie zbudowana, choć stara, prawie bałem się jej. Ale i wstyd jakiś ogarnął mnie na słowa Afrykanderki (tak je tu nazywają).

Wiedziałem już teraz od Toma, z którym się zaprzyjaźniłem, że syn pani Rassemus i trzech jej wnuków służą pod rozkazami generała Croniego. Nie rozpaczała za niemi, ukrywała smutek przed Anglikami i broniła od nich fermy. Do pomocy w pracy miała tylko Kafrów, bo synowa pani Rassemus dawno nie żyje.

— Mężna niewiasta — pomyślałem i otarłszy oczy, zacząłem zastanawiać się nad tem, jakimby sposobem wrócić do ojca. Wstyd mi było bezczynnie siedzieć. Poszedłem też zaraz na polowanie z Tomem i Jakóbkiem, wnukami gospodyni. Młodsi ode mnie, a strzelają celnie. Burowie są doskonałymi strzelcami: wiedzą o tem Anglicy, bo ich bardzo wielu ginie w każdej potyczce. Zabiłem dwa ptaki, Tom—antylopę. Pani Rassemus pogłaskała mnie po głowie i dała wybornego ananasa.

Odtąd polowałem codzień, chociaż upały były nieznośne, chociaż widywałem otwartą paszczę krokodyla, a raz wyszedł na mnie lampart. Uciekł wprawdzie, zobaczywszy człowieka, ale strzeliłem za nim, tylko, przyznam się wam szczerze, koledzy, nie szukałem rannego w zaroślach. Tak zeszedł tydzień. Codzień rano modliłem się za ojca, a potem biegłem z fuzyą w pobliskie wzgórza. Nie kaszlałem wcale i cieszyło mnie, że coraz lepiej znoszę trudy.

Czarny, bo opalony, wyglądałem teraz, jak młody Bur. Powiedziała mi to pani Rassemus.

— Tatko nie pozna Johna — śmiała się, klepiąc mnie po ramieniu. Tymczasem nadszedł list od tatki. Jakież to było szczęście! Ojciec dojechał prędko do Kapetownu,

oddał powierzone sobie pieniądze i wracał już na fermę, kiedy patrol angielski, objeżdżający okolicę, zabrał go z sobą i odstawił do kwatery generała Bullera. Napróżno tatko pokazywał pasport francuski. Kręci się teraz w Afryce mnóstwo szpiegów, Anglicy są ostrożni. Dali ojcu wygodne pomieszczenie, dają żywność, ale zatrzymują nad Tugielą.

Wszystkie te szczegóły donosił mi tatko w liście, który przywiózł na fermę Kafr, zapłacony drogo za tę usługę. Tatko prosił, abym czekał cierpliwie jego powrotu, zaręczając, że nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo.

— Siedzieć bezczynnie na fermie, kiedy ojciec jest w samem ognisku wojny, nad Tugielą! — zawołałem. — Muszę natychmiast wracać do ojca.

Przedstawiłem swój zamiar Tomowi i Jakóbowi. Uścisnęli mi ręce, wyrażając tem swoje uznanie, potem pomogli zapakować tłómoczek, a raczej zawiniątko z rzeczami, których miałem bardzo mało. Ale czyż dba o swe ubranie człowiek, jadący na tak niebezpieczną wyprawę? Zdawało mi się, że urosłem i zmężniałem w jednej chwili. Ach, gdyby teraz Mina Burns widzieć mnie mogła!

Pani Rassemus nie sprzeciwiała się moim zamiarom. Obiecała wprawdzie ojcu opiekę nade mną, ale cóż naturalniejszego, jak to, że jechałem do niego. Kiedy wszystko było już do podróży gotowe, otworzyła starą biblię i przeczytała nade mną błogosławieństwo, które patryarcha Jakób daje Józefowi. Ucałowałem ręce staruszki i wskoczyłem do wózka. Tom został na fermie, żeby pomagać babce, a Jakóbek odwiózł nas obu z Kafrem aż na wybrzeże rzeki Oranii. Zabrałem z sobą rewolwer i pieniądze, które tatko zostawił na moje potrzeby. Przydały się bardzo, bo kupiłem za nie maleńkie czółenko i pożegnawszy Jakóbka, popłynęliśmy niem w górę rzeki. Kafr robił wiosłem, a ja miałem czas przypatrzyć się malowniczym brzegom i mniej malowniczym a więcej strasznym paszczom krokodyli.

Pamiętacie zapewne, koledzy, wiersz, zaczynający się od słów:

Siedzi sobie ponad Nilem
Ptaszek, zwany krokodylem.

Ptaszków tych spotkałem kilka. Mogę wam zaręczyć, że ich wielkie zęby nie pociągały mnie wcale. Kafr groził pięściami potworom, wykrzykiwał przytem, zabawnie machając rękami; ale choć to bywalec, bo służył w wojsku i umie niby po angielsku, nie rozumiałem, co mówi.

Mieliśmy dostateczny zapas żywności danej nam przez dobrą panią Rassemus, nie groził więc głód. Ale zagroziła inna, zupełnie niespodziewana bieda. Łódka zwróciła na siebie uwagę krajowców zamieszkałych nad brzegiem Oranii. Wysłano za nami pogoń i choć uciekaliśmy dzielnie, gromada Basutów zabrała zbiegów do niewoli. Machali z radości rękami, krzycząc jak potępieńcy.

Mam zamiar, jeśli wojna skończy się szczęśliwie, opisać kiedyś obszernie przygody, jakich doznałem w czasie mego pobytu u Basutów. Dziś trudno mi się zdobyć na szczegółowe opowiadania. Huk armat nie jest dobrym akompaniamentem do zwierzeń, a pękająca bomba może wprawdzie zastąpić piaseczniczkę, bo zasypuje ziemią nawet oczy, ale jednocześnie przerywa ciąg myśli.

Powiem więc krótko, że karmiony obficie kukurydzą, byłem przez dwa dni podziwem krajowców. Przychodzili oglądać mnie, zupełnie tak samo, jak my w Europie oglądamy ciekawe zwierzę zamorskie. Widzieli nieraz zdaleka białych ludzi, ale pierwszy raz mieli na wyłączną własność białego chłopca. Szczególnie bawiło Basutów moje ubranie. Bo też sami niewiele zadają sobie trudu z tualetą.

Zato los Kafra był bardzo smutny. Należał on do plemienia, zamieszkującego Zululand nad oceanem Indyjskim. Jest to ten sam kraj Zuluan, gdzie w roku 1879

został zamordowany młody Ludwik Napoleon Bonaparte, syn Napoleona III-go, cesarza Francuzów. Zuluanie nie cieszą się sympatyą swych czarnych braci w Afryce, gdyż zanim zostali podbici przez Anglików, sami prowadzili zaborczą politykę i zaznaczyli się okrucieństwem.

Biedny mój towarzysz podróży, bity i potrącany, napróżno wygrażał pięściami. Basutowie, zarówno jak wprzód krokodyle, niewiele sobie robili z jego złości.

Tak przeszedł nam już drugi dzień pobytu w wiosce dzikich. Moi czarni rówieśnicy, na znak przyjaźni, zabrali mnie wieczorem do swojej chaty. Miałem dosyć wygodne posłanie, ale upał był nieznośny, przytem poznałem odrazu, że gościnni towarzysze noclegu nie myją się nigdy, bo zalatywała od nich woń okropna.

Wyszedłem pocichu z szałasu, żeby odetchnąć świeżem powietrzem, a wtem jakaś czarna łapa zasłoniła mi usta. Nie mogłem krzyczeć, ale musiałem biegnąć, bo ktoś ciągnął mnie z całych sił za rękę.

Najdziwniejsze myśli cisnęły mi się do głowy... Poleciłem duszę Bogu i pędziłem bez tchu aż do poblizkiego lasu. Tu dopiero poznałem, że to poczciwy Kafr wydobył mnie szczęśliwie z niewoli.

— Uciekniemy—pomyślałem, nie wiedząc jeszcze gdzie i jak uciekać będziemy. Dojrzałem jednak przy świetle gwiazd dwa konie w zaroślach. Nie, to nie były konie. Zgadnijcie więc, na czem odbywać mieliśmy dalszą podróż?

Nie zgadniecie, zaręczam. Oto Zulus zdołał pochwycić dwa strusie i one to wyciągały do nas swe długie szyje. Roześmiałem się, chociaż, jak się domyślacie, nie do śmiechu mi było wcale. Ale jakże się nie śmiać, kiedy to tak zabawnie wypadło. Ja, znany wam z pseudonimu Struś, miałem na strusiu pędzić przez równinę, która od prawego brzegu rzeki Oranii ciągnie się aż ku górom Drakenberskim.

W górach Drakenberskich, co znaczy dosłownie Smoczych, bierze początek rzeka Tugiela. Jakże gorąco pro-



BUROWIE PRZEWOŻĄ ARMATY PRZEZ RZEKĘ TUGIELĘ

siłem Boga, abym mógł dostać się do ojca! Ta nadzieja dodawała mi otuchy w czasie nużącej podróży. Nie będę jej wam opisywał szczegółowo. Zulus znał przesmyki, któryrni można się było dostać na przeciwną stronę pasma Smoczego. Nie pożarł nas też ten smok, nie pożarły hyeny; muszę nawet powiedzieć prawdę, że nie groziło nam żadne niebezpieczeństwo w drodze. Pawiany tylko zgrzytały zębami, kiedy spłoszyliśmy ich gromadę, ale i one ulitowały się nad waszym kolegą, który dążył do ojca.

— Czy zastanę tatkę w obozie? — myślałem z niepokojem, ja, biedny Telemak nowoczesny. Grek miał boginię Minerwę za przewodniczkę, to też odszukał ojca. Mnie prowadził dziki Kafr. Powodzenie wyprawy było też wątpliwe, chociaż sprawiedliwość każe mi przyznać, że Zulus okazał się nieocenionym towarzyszem. Umiał krzesać ogień, łapał zręcznie małe zwierzątka, podobne do naszych prosiąt i piekł je na rożnie wystruganym z twardego drzewa. Słowem, oddawał mi tysiączne przysługi. Ale muszę skracać swoje opowiadanie. Nie będę więc rozwodził się nad przymiotami Murzyna.

Obiecuję sobie jednak, że kiedyś opiszę obszernie wszystkie nasze przygody i moje cudowne ocalenie, bo istotnie cud to prawdziwy, że dostałem się szczęśliwie do obozu angielskiego. Właściwie przyprowadził mnie do niego patrol, ale ja też tego tylko pragnąłem, aby stawiono nas przed dowódzcą angielskim. Anglicy są wprawdzie teraz źle usposobieni dla Francuzów, bo wielu Francuzów pomaga Burom, a gazety w Paryżu nieprzychylnie się odzywają o królowej Wiktoryi... Prawdę mówiąc, ja także gniewam się na Anglików, nie zawiniłem jednak względem nich, powinni więc wybaczać mi francuski paszport tatki, w którym i moja osoba jest zapisana.

Zresztą któż może mieć za złe synowi, że dąży do ukochanego ojca? Byłem obdarty, jak prawdziwy włóczęga. Ubranie, a nawet bielizna, rozlatywały się w strzępy.

Włóczęgę odstawiono do głównej kwatery, a ja tego właśnie pragnąłem.

— Co też ojciec powie? — myślałem, bo czułem się zdrów, silny, niepodobny wcale do cherlaka, za jakiego przez zbytnią dobroć i troskliwość uważał mnie dotąd tatko. To też w pierwszej chwili nie poznał on swego Janka. A potem...

O, nie będę wam opisywał, co było potem: jak trzymaliśmy się w objęciach, jak ojciec słuchał mego opowia-



Obiad więźniów w obozie angielskim nad Tugielą.

dania i trochę, ale tylko trochę łajał za to, że bez jego pozwolenia opuściłem fermę pani Rassemus.

Kafr skakał z radości, gdyż tatko wynagrodził go bardzo hojnie za usługi oddane jedynakowi. Nie skończyłbym nigdy opisywać naszej radości, wolę więc odrazu przejść do opowiadania walk, których tu jestem świadkiem. Bo niema dnia bez bitwy... A bitwy te toczą biedni żołnierze w czasie nieznośnych upałów i oddychając wyziewami błotnistych, rozlanych rzek.

Wiecie, koledzy, co powinnoby skłonić Anglię do zaniechania wojny? Nie zgadniecie. Oto komary i milion innych dokuczliwych owadów, które, unosząc się w powietrzu, tną niemiłosiernie skórę, wpadają gromadami do ust, mieszkają w nosie, jak w szałasie. Wierzajcie mi, nikt nie jest w stanie wyobrazić sobie tej plagi, która zaiste doprowadzić może do rozpaczy. Słyszałem żołnierzy, mówiących, że znośniejszem jest dla nich brzęczenie kul w powietrzu, niż brzęczenie owadów. Ja kłaniam uniżenie: wolałbym, prawdę mówiąc, nie słuchać tych nieznośnych bzzzzz, z których jedne kolą żądłami, a drugie zabijają.

Już to śmierć łatwo tu połknąć — prawie równie łatwo, jak komara. Dla opisania walk, toczących się nad brzegiem Tugieli, trzebaby być Homerem. Tatko mówi, że Transwaal nie gorszy od Troi, a Burowie od jej obrońców. Niechby więc się znalazł poeta, opowiedziałbym mu moje przygody podróży, podjętej w celu odszukania ojca, i gotowa nietylko Illiada, ale i Odysseją.

— A Telemak-Żórawski
Pójdzie łapać karaski.

Tak powiedział tatko, przeczytawszy to, co napisałem, bo też istotnie większą część dnia spędzam z wędką i miewamy często wyborną z mego połowu kolacyę. Ale dziś, mimo żartów kochanego ojca, wędki nie ruszę, bo będę próbował opowiedzieć wam to wszystko, czego się dowiedziałem od tatki naprzód o rzekach afrykańskich w ogólności, a potem o zaszłych tu bitwach.

Afryka to dziwny kraj. Geologowie utrzymują, że ląd jej był kiedyś cały pod wodą i że powoli, bardzo powoli, wynurzał się z fal oceanu. Mnie trudno to zrozumieć, ale wierzę uczonym na słowo. Od tego oni wszystkie rozumy zjedli, a ze mnie dotąd (pochlebiam sobie, że tylko dotąd) hebes.

Otóż ocean, ustępując z lądu afrykańskiego, zostawił po sobie wielką ilość jezior, które zasilały rzeki swą wodą. Ale powoli jeziora te wyschły i nietylko, że nie pomagają strumieniom, lecz przez wyschnięcie jezior zmniejszyła się naturalnie i ilość opadów, bo gdy wody stojące nie parują, to i deszczu brak.

Brak deszczów w Afryce tłomaczą uczeni i inną jeszcze przyczyną — wycięciem, a raczej zniszczeniem lasów, których chłód sprzyja przechowaniu wilgoci. Już to trzeba przyznać, że człowiek jest bardzo lekkomyślnem stworzeniem. Dali tego dowód fermerzy afrykańscy, którzy zamiast rąbać las i karczować pnie, podpalali drzewa, a pożar obejmował niekiedy olbrzymie przestrzenie, czyniąc niepowetowane szkody. Prawda, że praca drwala i karczownika jest ciężką pracą, ale, jak tatko mówi, oszczędza się tym sposobem bogactwa przyrody. A oględnie używać go należy, bo już dziś daje się czuć w wielu krajach brak drzewa.

Drugą przyczyną pożarów w Afryce jest nierozwaga dzikich. Zapalają oni step dla wypłoszenia z niego zwierzyny, którą potem z łatwością zabijają. Naturalnie mniej się dziwię Kafrom, niż ucywilizowanym ludziom, ale jedni i drudzy, ogałacając ziemię z lasów, przyśpieszyli jej wysuszenie. Zdarzają się lata, w których wcale nie pada deszcz. Wschodnia Afryka ma go częściej, bo wiatry wieją tu zwykle od oceanu Indyjskiego i te sprowadzają chmury. Ale wiatry zachodnie bywają bardzo rzadkie, to też okolice, położone bliżej oceanu Atlantyckiego, są po większej części dziś już pustynią. Natal, Orania, Transwaal, kraj Zuluan i Swazów obfitują w deszcze. Wiedzą o tem Anglicy i to także podnieca ich zaborczy apetyt.

Ale bo też nie wyobrazicie sobie, koledzy, co to jest całoroczny brak deszczu. A czasem deszcz nie pada dwa, a nawet trzy lata. Ginie wtedy wszelka drobniejsza roślinność; bydło i zwierzyna, pozbawione paszy, zdychają stadami, rzeki wysychają, ryby umierają bez wody i gnijąc zatru-

wają powietrze. Sławny podróżnik Livingstone widział w czasie suszy zdechłego z pragnienia krokodyla. Ale tego mi nie żal.

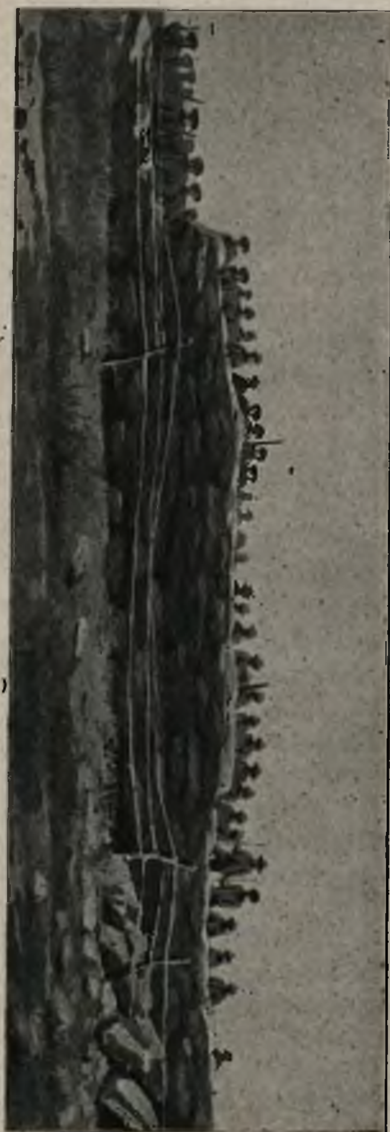
Zato gdy nastanie lato ulewne, wtedy oddaj się Bogu z duszą, bo to nie deszcz pada, jak w Europie, ale wylewają się potoki wód, od których wzbierają rzeki, jak teraz naprzykład wezbrała Tugiela. Nie dziw też, że Anglicy przedostać się nie mogą na drugi brzeg, zwłaszcza, że stary Joubert ufortyfikował go doskonale, a Ludwik Botha dzielnie mu pomaga.

Korzystam z gościnności angielskiej, podziwiam ten mądry i cywilizowany naród, a jednak moje sympatye są z chłopami burskimi, którzy walczą o każdą piędź ziemi — garstka ludzi przeciw tysiącom.

Będę się jednak starał być bezstronnym i opowiedzieć wam, koledzy, to, czego się od ojca dowiedziałem i na co własnemi patrzę oczyma.

Rzeka Tugiela wypływa, jak już wiecie, z gór Drakenberskich i wpada do oceanu Indyjskiego. Na lewym brzegu Tugieli leży Ladysmith, w którym broni się dotąd załoga angielska. Oswobodzić generała Whitha—oto hasło, pod którem Buller wkroczył do Natalu. Zadanie to trudne. Armia angielska wlecze za sobą 5,000 wozów, co nie ułatwia pochodu, zwłaszcza, gdy trzeba przeprawiać się przez tak kapryśną rzekę, jak Tugiela. Wzbiera ona nagle, a wtedy oddaj się Bogu z duszą.

Pisałem już, koledzy, o klęsce, jaką anglicy ponieśli tu pod Colenso. Opowiadał mi wczoraj o tej bitwie stary żołnierz, Smith, który usługuje tatce. Było to 15 grudnia. Nawet Smith, choć Anglik, przyznaje, że Burowie dokazywali cudów waleczności. Udało im się też zdobyć całą baterye Bullera, a stanowiła ją 12 armat. Możecie sobie wyobrazić wściekłość wodza. Przycwałował sam konno na plac bitwy i rozkazał natychmiastową szarżę dla odebrania dział. Wtedy to młody porucznik Roberts skoczył w ogień. Smith mówi, że syn marszałka



Szańce Burów nad Tugielą.

nie ujechał nawet kilku kroków, kiedy ugodziła go pierwsza kula. Podniósł się w strzemionach, obejrzał za siebie i padł na szyję konia. Anglicy unieśli ciało młodego oficera, którego piersi przeszyły jeszcze cztery pociski.

Czyż to nie okropne?

W Europie czytają może obojętnie, że tylu a tylu ludzi poległo pod Colenso, bo dokładną cyfrę rannych i zabitych oznaczyć jest trudno. Patrząc na wojnę zblizka, widzieć można dopiero, ile scen rozpaczy składa się na ten krótki telegram o bitwie, który za pismami angielskiemi lub holenderskiemi wydrukują w Warszawie kuryery.

— „Oddział został wybity do nogi“ lub „Pułk, stojący w okopach, poddał się“ — składa spokojnie zecer.

Ale niechby zobaczył pole zasłane trupami, niechby widział

rozpacz ludzi branych w niewolę, niechby pomyślał o rodzicach w Anglii i Transwaalu. Łamią ręce i nic, zupełnie nic, uczynić nie mogą dla poległych, ranionych, lub ujętych synów.

Wojna jest rzeczą okropną!

Nie uczestniczyłem w drugiej, wielkiej klęsce Anglików, jaką ponieśli pod Spion Kop 24 stycznia, bo dopiero 25 stanąłem w obozie Bullera. Ale Smith utrzymuje, że nastał wtedy prawdziwy sądny dzień. Spion Kop jest to góra, czyli wierzchołek Spion. Opanowali go Anglicy 23, bo Burowie słabo bronili pozycyi. Ucieszył się Buller, ale radość trwała krótko. Botha pod osłoną nocy i gęstej mgły poprowadził ochotników na wierzchołek Spionu. Udało im się tak zręcznie podejść nieprzyjaciela, że Burowie wyrwali z rąk placówek angielskich karabiny, nim stojący w pierwszym rzędzie żołnierze królowej zdołali wystrzelić i zaalarmować swoich. To też straty Bullera były olbrzymie, chociaż w tej bitwie nie dowodził on sam, tylko generał Warren. Ale odpowiedzialność za klęskę spada na naczelnego wodza.

Tem większy to wstyd dla Bullera, że pewnie chciałby się popisać zwycięstwem przed marszałkiem Robertsem, który może prędzej oswobodzi od oblężenia Kimberley, niż Buller Ladysmith. Bo nad Tugielą Burowie, zachęceni powodzeniem, bronią się doskonale. Lekceważono ich, nazywano chłopami ciemnymi i gburowatymi, a oni przekonali świat, że nie gorzej od Anglików bić się umieją. Artylerya Burów jest nawet, jak utrzymują znawcy, lepszą od brytańskiej. Sam miałem już sposobność widzieć, że celnie strzelają z dział. Granaty i szrapnele pękały w samym środku szeregów angielskich. Zwłaszcza zaś wielka armata, ustawiona na wzgórzach Doorn Kloof, rzucała z taką dokładnością pociski w obóz Bullera, że cofnąć się on musiał aż do Springfieldu, nad małą Tugielę. Armatę tę nazywają Burowie Długi Tomek (Loong Tom) i Tomek sprawił się dzielnie. Dzięki jemu

wasz kolega umykał co sił za rzekę, a nie mam się czego wstydzić, bo sam Buller poszedł za moim przykładem.

Nie chcę się chwalić, ale my z ojcem nie siedzimy tu bezczynnie. Ja wprawdzie łapię chętnie ryby, kiedy ustaje szturm, i tatko, żeby uchronić mnie od zarozumiałości, mówi, że lepszym jestem rybakiem, niż korespondententem.

Wy, koledzy, jednak nie będziecie mnie sądzić surowo. Nie mam czasu na pisanie staranne, bo jak tylko zaczyna się bim! bam! bum! armat, biegniemy z tatką do ambulansu. Anglicy potrzebują zdrowych rąk do przenoszenia rannych, służymy więc obaj w miarę sił. Ale nie będę wam opowiadał tego, co widzę w szpitalu: to zbyt okropne. Na dzisiaj zresztą dość bazgraniny. Dziś 2 lutego, dzień bolesnej dla nas z tatką rocznicy, bo to dzień imienin mamy. Tatko nie zapomina o nim nigdy. Jest dziś smutniejszy, niż zwykle, a ja na pociechę pisałem mój dziennik, który noszę zawsze przy sobie.

Gdzie i kiedy dokończę tych notatek!

Emaus, nad granicą Oranii i kraju Zachodniej Gryki. W klasztorze Ojców Misyonarzy, 31 marca.

Domyślacie się, skąd piszę?

Z więzienia. Tak, siedzę zamknięty w celi, która wprzód służyła za mieszkanie pobożnego misyonarza. Anglicy umieścili mnie i kilkunastu młodych Burów pod strażą w domu, należącym do księży alzackich, którzy mają tu swoje misye i nawracają Kafrów, zamieszkujących kraj Gryki. Zapewne niejeden z was, koledzy, siedział w kozie za psoty; wiedzieliście jednak, że areszt wasz skończy się prędko i po godzinie wrócicie do rodziców. A ja czy zobaczę kiedy mego ojca?

Okropność! Poszukałem tatkę nad Tugielą na to tylko, aby znów być z nim rozłączonym!

Gdyby mi nie było wstyd towarzyszów niewoli, płakałbym. Ale nie chcę, żeby Burowie sądzili źle o odwadze



ARTYLERZYŚCI BURSCY

Polaka. Więc też zamiast narzekać pracuję razem z nimi nad oswobodzeniem się z więzienia. Wprzód jednak, zanim opiszę wam nasze zamiary, muszę skreślić w krótkości przebieg moich losów.

Pisałem ostatni raz dziennik 2 lutego w obozie angielskim nad Tugielą. Wąchałem tam nieraz proch zblizka, nie groziło jednak niebezpieczeństwo ani mnie, ani ojcu, bo osłaniały nas prawa międzynarodowe, nie dozwalające strzelać do ambulansów, w których pełniliśmy służbę przy rannych. Ale 10 lutego Burowie zrobili wycieczkę ze swych oszańcowań, zajęli Bloys-farm (tam właśnie mieszkał tatko) i otoczyli baraki szpitalne. Nie popasali długo, z obawy przed Anglikami. Zabrali jednak do niewoli młodych i zdrowych, a zostawili na miejscu rannych wraz z dozorcami.

Został więc i mój drogi ojciec. Mnie wsadzono na luźnego konia. Pędziłem otoczony gromadą Burów. Byłbym wolał śmierć, niż to okrutne rozłączenie.

Pędziliśmy już kilka godzin. Dano mi kawałek placka kukurydzowego. Jadłem go, nie zwalniając biegu, kiedy nagle wierzchowiec, na którym jechałem, padł i zdechł po kilku chwilach. Był ranny, czego nie spostrzeżono odrazu. Dano mi innego konia, bo zabrano z obozu Bullera kilka luzaków. Siodłałem właśnie pięknego siwka, a tu obok mnie siodła swego konia młody Bur i przypatruje mi się ciekawie.

— Robert Burns! — zawołałem ucieszony.

— John! — odpowiedział, wyciągając do mnie rękę.

Nietylko rękę, bo rzuciliśmy się sobie na szyję. Robert powiedział mi, że zmieniłem się do niepoznania przez ostatnie cztery miesiące. Bardzo wierzę, bo też nie jestem już słabowitym Jankiem, tylko tęgim chłopakiem, który przedarł się sam przez góry Smocze do ojca.

Jechaliśmy koń przy koniu, teraz wolniej, gdyż nie groziło nam już niebezpieczeństwo ze strony Anglików.

— Tak, ale mój tatko jest w ich mocy! — zawołałem i zawróciłem z miejsca, żeby się przedrzeć do obozu Bullera. Robert wytłomaczył mi, że jest to niepodobieństwem. On także nie wiedział nic o swoim ojcu. Stary Pieter Burns bił się pod rozkazami generała Croniego, i groziło mu wielkie niebezpieczeństwo ze strony marszałka Robertsa, który pewnie, jak mówił mój towarzysz, pomści krwawo śmierć syna.

Nie śmiałem spytać Burnsa o jego brata Samuela. Bardzo lubiłem Samuela, więcej prawie, niż Roberta. Ale coś mi mówiło, że on zginął. I nie myliłem się. Biedny Robert powiedział mi sam o tem.

— Trzech Burnsów dało już życie za Transwaal — wyrzekł z dumą, a ja czułem, że i on gotów każdej chwili poświęcić swoje.

Odtąd polubiliśmy się jeszcze serdeczniej, a mogę wam zaręczyć, koledzy, że nic tak nie zbliża, jak wspólny pobyt w obozie. Byliśmy przez nieszczęście braćmi z Robertem: on myślał o swoim ojcu, ja o swoim. Nie mógł jednak wyrobić mi pozwolenia na powrót do Bullera, gdyż Joubert kazał strzedz pilnie jeńców, bojąc się, aby nie zdradzili przed Anglikami planu fortyfikacyi holenderskich. Na prośby Burnsa zostawiono mi konia, dano broń i ubranie. Nosiłem taki sam, jak on, okrągły kapelusz, bluzę i długie buty. Wyglądałem też na prawdziwego Bura i zostałem odkomenderowany z Robertem do oddziału, maszerującego na pomoc generałowi Croniemu.

Teraz dopiero miałem poznać co to wojna, bo teraz brałem w niej czynny udział. Występowałem już nie jako więzień, ale jako ochotnik. Tak przedstawił mnie Robert swemu stryjowi feldkornetowi.

— Ręczysz za niego? — zapytał stary Burns.

— Ręczę — odparł bez namysłu mój przyjaciel.

— Mam wnuka, który nie jest większy od twego druha, a bije się dobrze — powiedział dzielny starzec. I tak zostałem żołnierzem transwaalskim.

Byłem rad z siebie, tylko tęsknota za ojcem gryzła serce...

Każdy dzień przynosił nowe niebezpieczeństwa i nowe wypadki. Należało się śpieszyć, gdyż wiadomości z obozu Croniego nadchodziły coraz gorsze. Marszałek Roberts



Stryj Roberta, feldkornet William Burns, z synem i wnukiem 15-letnim. Wszyscy trzej walczą pod rozkazami generała Croniego.

oswobodził Kimberley i wódz burski cofał się przed nim, idąc z biegiem rzeki Moddery aż ku Paardebergowi. Zwycięskie wojsko z pod Maggersfontenu upadło teraz na duchu, bo liczyło tylko 7,000 ludzi z baterya ośmiu armat,

kiedy Roberts, wspomagany przez lorda Kitchenera, prowadził z sobą 70,000 żołnierza i 120 armat.

Nam, to jest oddziałowi wysłanemu w pomoc Croniemu, nakazał Joubert największy pośpiech. Szliśmy dzień i noc, jedząc a nawet śpiąc na koniu. Im bliżej Moddery, tem trudniej było przedzierać się pomiędzy oddziałami angielskimi, które coraz węższym pierścieniem opasywały ruchomą kolumnę Croniego. Na szczęście, rzeka Moddera ma kilka koryt, gdyż często zmienia kierunek. Takie wyschnięte, a głęboko w ziemi wyżłobione łożyska nazywają tu dongasami. Chyłkiem i milczkiem szliśmy więc dongasem, zasłonięci jego urwistymi i stromymi brzegami.

Raz cały oddział musiał wpław przebywać głębszą wodę, gdyż dongas nie zupełnie wysechł, raz znów siedzieliśmy kilka godzin zaczajeni w krzakach, porastających wąwóz, czekając, aż przejdzie patrol angielski, który mógł zaalarmować obóz.

Leżałem obok Roberta, wstrzymując oddech, gdyż żołnierze marszałka szli tuż koło nas. Bur zgrzytnął zębami i schwycił za karabin. Wyrwałem mu broń z ręki, bo rozumiałem, że zgubi mnie i siebie.

— Rozstrzelać każe Roberts Roberta Bura

I na tem się skończy cała awantura — szepnąłem przyjacielskie ostrzeżenie do ucha mego towarzysza. Mówiłem naturalnie po angielsku, ale to samo zdanie, przetłomaczone teraz na polskie, złożyło się w rym wcale niezły. Prawda?

Po niesłychanych trudach oddział nasz dostał się szczęśliwie do obozu Croniego. Były to ostatnie dni zaciętej jego obrony. Niewiele też i my mogliśmy przynieść pożytku generałowi, bo strudzeni forsownym marszem upadaliśmy ze zmęczenia. Byłbym sto razy zleciał z konia, gdyby nie Robert, który czuwał nade mną, gdy znużony jechałem śpiąc. A spałem nietylko ja, ale wytrwalsi i doświadczeńsi ode mnie żołnierze. Anglicy za-

sypywali nas kulami a pomęczeni biedacy, nie zważając, że bomby pękają opodal, padali na ziemię i zasypiali.

Czyż mogło być inaczej, kiedy bitwa pod Paardebergiem trwała 9 dni, prawdziwie sądnych dni. Pole tej bitwy nie obejmowało w końcu więcej nad kilometr kwadratowy zorany ogniem 120 armat i zasłany gnijącymi trupami ludzi i koni.

Nagle Moddera zaczęła przybierać i zalała dungasy, które osłaniały walczących, a odcięła ich od zapasów żywności. Sami Burowie błagali Croniego, aby się poddał, a jednak okropna rozpacz ogarnęła serca garstki walecznych, kiedy, ulegając woli własnych żołnierzy, stary generał wywiesił białą flagę, dając tem poznać, że chce kapitulować.

Było to 27 lutego, w sam dzień zwycięstwa pod Majubą! Biedni Burowie!

Przeżyłem wiele silnych wrażeń w ciągu ostatniego półrocza, ale nigdy chyba nie byłem tak wzruszony, jak wtedy, kiedy ujrzałem Croniego, oddającego się marszałkowi Robertsowi w niewolę! Co czuć musiał w sercu zacięty Bur, zmuszony nakoniec złożyć broń wobec znienawidzonego wroga Transwaalu!

Roberts czekał przed wozem, który służył mu za namiot, a Cronie szedł z twarzą nieruchomą, kamienną prawie, zczerniałą od dymu armat.

— Panie — powiedział wódz angielski — broniłeś się, jak na dzielnego wojaka przystało.

Miałem łzy w oczach, ale mieli je nawet Anglicy, oddając współczuciem cześć bohaterowi i garstce walecznych, która przez dziesięć dni broniła się przeciw tysiącom.

Co zrobili z dowódcami burskimi, nie wiem. Podobno mieli wywieźć ich na wyspę Świętej Heleny. Nas, pospolitą ruchawkę, zapędzono pod strażą do obozu angielskiego, nakarmiono i pozwolono wypocząć dwa dni.

Skorzystałem z tego czasu, żeby robić poszukiwania za ojcem. Byłem nawet w głównej kwaterze, bo dzięki

znajomości języka angielskiego chciałem sam przedstawić moją sprawę oficerowi dyżurnemu. Nikt jednak nie umiał mi wskazać, gdzie się znajduje ambulans, przy którym służył tatko. Robertowi nie powiodły się także poszukiwania, które robił dla odnalezienia swego ojca. Obaj więc jednakowo jesteśmy pokrzywdzeni.

Tymczasem nadeszła wiadomość, że Buller zdołał nareszcie przejść Tugielę i oswobodzić Ladysmith. Napisałem do tatki list i wysłałem go pod adresem szczęśliwego wodza, który teraz założył główną kwaterę w oswobodzonem mieście. Zaledwie zdążyłem wyprawić pismo, kiedy dano rozkaz wymarszu na zachód. Znakomitszych jeńców wyprawiono do Kapetownu, że jednak niepodobna odrazu przewieźć tak wielu ludzi, więc oddział, do którego włączono mnie i Roberta, skierowano na zachód i zamknięto w klasztorze ojców misyonarzy. Klasztor stoi na górze. Anglicy zrobili z niego małą forteczkę i strzegą nas, jak oka w głowie, żeby który gagatek nie uciekł.

Pokochałem tutejszych ojców misyonarzy za ich dobroć dla biednych Kafrów, których wychowują i nauczają. Smutnym jest los tych krajowców. Burowie biją się z Anglikami o Transwaal lub Oranię, a ci, do których właściwie należała Afryka, najpierwsi tutejsi mieszkańcy, uchodzić muszą przed najazdem jednych i drugich, krzywdzeni przez Burów i Anglików. Misyonarze alzaccy łagodzą te krzywdy, bo rozumieją je dobrze. Oni także wynieść się musieli z ojczyzny po wojnie francusko-pruskiej. Osiedli w Oranii i robią częste wycieczki do kraju zachodniej Gryki, nauczając tamtejszą ciemną ludność.

Nie myślcie, koledzy, że Emaus jest jedyną misyą w Afryce. Prócz pastorów anglikańskich, pracują nad nawróceniem pogan zakony Trapistów i Oblatystów. Do tej reguły należą właśnie księża, których dom zamienili Anglicy na więzienie. Oblatyści zakładają domy misyjne, przy każdym zaś takim domu jest szkoła. Chłopców, prócz religii, uczą uprawy roli, rzemiosł, uczą stawiać porządne chaty, w miejsce brudnych nor, w jakich zwykle

żyją Kafrowie. Zakonnice Nazaretanki wychowują czarne dziewczynki na czyste i dobre gospodynie.

A ile trudu zadają sobie ci świętobliwi ludzie! Przypatrywałem się ich pracy z okna refektarza, gdzie więziono nas przez pierwsze trzy dni w Emaus. Misyonarz musi sam wystarczyć sobie i musi wszystko umieć. O szóstej rano odprawia Mszę świętą i wtedy jest księdzem, o siódmej—kucharzem, rozdającym śniadanie czarnej dziatwie, o ósmej—mularzem lub rolnikiem, a poza tem zawsze nauczycielem, często zaś doktorem. Takim jest przynajmniej ojciec Dominik, którego bardzo pokochałem. W dni powszednie nosi czarną bluzę i fartuch skórzany, do podróży używa nawet podobno wysokich butów, a tylko w niedzielę kładzie sutannę.

Jak mi też było miło po tylu przygodach wysłuchać Mszy świętej w tutejszym kościołku, pomodlić się za tatkę! Żołnierz stał przy drzwiach, pilnując, by nie uciekli więźniowie, bo było nas trzech katolików. Ale wzlotów duszy karabin nie upilnuje, a dusza moja wznosiła się do Boga, ślubując, że jeśli odzyskam ukochanego ojca, będę zawsze dzielnym człowiekiem, choćby mi przyszło poświęcić siebie dla bliźnich.

Czy Bóg wysłucha mojej prośby, czy odzyskam ojca? Pracuję, dążąc do tego celu, a jak pracuję, opowiem wam, koledzy.

Robert, który siedzi zamknięty ze mną w tej samej celi zakonnej, potrafił hakiem wyrwanym ze ściany oderwać deskę w podłodze. Rzuciłem się przyjacielowi na szyję, bo zrozumiałem, że błysła nam obu nadzieja ocalenia. Klasztor misyonarzy stoi na górze, a u stóp góry płynie rzeka. Z tej strony Anglicy nie rozstawili wart, nie pilnują nas wcale, gdyż okna zaopatrzone są w mocne, żelazne kraty.

— Trzeba zrobić podkop pod fundamentami i wydostać się na zewnątrz murów — powiedział Robert.

— Ale czem zrobisz podkop? — zapytałem.

— Tym samym hakiem, z którego pomocą oderwałem deskę — odparł sprytny Bur i nie namyślając się dłużej, użył natychmiast haka, jak kilofa. Grunt okazał się niezbyt twardym. Ziemię i gruz wsypywałem ja pod tapczan, na którym mamy posłanie. Jeśli nam się uda zrobić podkop, to dopadniemy do rzeki, przepłyniemy ją wpław, bo jest ona niewielkim dopływem Moddery, i ukryjemy się w pierwszej fermie orańskiej. Zbiegowie burscy mogą tam być zawsze pewni przyjęcia.

Pracowaliśmy w pocie czoła cały dzień. Ziemi było już tyle, że mogła zwrócić uwagę danego nam do posługi Kafra. Ale zacny Kafr jest bardzo niemądry i nic nie spostrzegł, nie dosłyszał także pukania w ścianę naszej celi.

Pukano kilka razy z równymi przestankami. Domyśliłem się, że to koledzy Burowie pragną obudzić naszą czujność, żeby módz porozumiewać się z innymi więźniami. Jakoż tak było w istocie. Po kilkunastu daremnych próbach potrafiliśmy prowadzić rozmowę z obu sąsiedniemi celami. Kafr ułatwiał nam także wymianę korespondencyi. Karteczki papieru wędrowały czasem w placku kukurydzowym, czasem w cygarze. A tymczasem podkop stawał się coraz głębszym i towarzysze niewoli oczekiwali z niecierpliwością końca pracy.

Nasze zadanie nie było jednak łatwe. Robert hakiem rozbijał ziemię, ja rękami wybierałem ją z dziury i wsypywałem w worki. Poświęciłem na ten cel pewną część mego garnituru płóciennego. W tej improwizowanej torbie, a raczej dwóch torbach, wynosiłem ziemię i wysypywałem ją przez zakratowane okno. Robiłem to bardzo ostrożnie, bo gruz, spadając ze znacznej wysokości, mógł nas zdradzić hałasem.

Praca trwała dwa tygodnie. Im bliższą była chwila ocalenia, tem większy przejmował nas niepokój. Anglicy nie odkryli jednak podziemia. Było ono już tak głębokie, że Robert chował się w podkop, jak kret w norę.

ja zaś z wielką trudnością wydobywałem ziemię na wierzch.

Nagle — a stało się to o niezwykłej godzinie — zadzwoniły na korytarzu szable i wszedł do celi podoficer. Szczęściem Robert odpoczywał właśnie po kilkogodzinnej pracy i otwór w podłodze zasłoniliśmy deską. Struchlałem... Byłem pewny, że władza odkryła naszą tajemnicę. Anglik rozejrzał się po celi, nie spostrzegł jednak nic; przyszedł zresztą tylko, żeby zapisać nasze nazwiska. Powiedział nam przy tej sposobności, że cudzoziemcy, wzięci do niewoli razem z Burami, mogą być natychmiast wolni, byle dali słowo, że nie użyją broni przeciw Anglikom.

— Mogę więc odzyskać swobodę, mogę wracać do ojca! — pomyślałem. Ale co stanie się z Robertem i innymi Burami? Oni całą nadzieję pokładali w podkopie, a Robert sam przebić go nie może.

— Samuel Burns! — odpowiedziałem śmiało, gdy oficer spytał mnie o nazwisko. Robert uścisnął mi rękę i odtąd jesteśmy sobie braćmi na śmierć i życie.

Działo się to przed czterema dniami. Tak, cztery dni temu mogłem już opuścić Emaus i szukać ojca, a ja siedzę jeszcze w swojej celi. Ale podkop skończony.

Jutro jest 1 kwietnia. Wszystko do ucieczki gotowe. Jeśli szczęście dopisze, wyprawimy Anglikom wyborne Prima Aprilis.

Czas dłuży nam się okrutnie, bo przyzwyczailiśmy się z Robertem spędzać go przy pracy. Nasi towarzysze więzienia już są uprzedzeni. O samej północy, kiedy zegar wybije dwunastą, wypadnie dwóch najsilniejszych Burów, Paweł i Johann, ze swej celi. Zwiążą oni szyldwacha angielskiego, stróżującego w korytarzu. A zrobić to muszą tak prędko, żeby nie zdążył wystrzelić na alarm. Potem zamkną żołnierza w pierwszej lepszej celi, my zaś wydostaniemy się przez podkop za mury i przepłyniemy rzekę. W klasztorze spostrzegą naszą ucieczkę wtedy dopiero, gdy oficer przyjdzie zmieniać wartę.



Prezydent Oranii Stejn przemawia z wozu do zgromadzonych Burów, zachęcając, aby wytrwali w walce.

Cały plan wyprawy ułożył Robert Burns i ułożył go doskonale. Udało mu się przekupić Kafra. Obiecał on zostawić otwarte drzwi celi, w której siedzą Paweł i Johann. Murzyn ma potem wdać się w rozmowę z szyldwachem, odwrócić jego uwagę od spiskowców, a ci zajdą żołnierza z tyłu i pochwycą.

Boże! czy nasz zamiar się uda? Nigdy jeszcze nie żyłem w takiej gorączce, jak dziś. Rachuję godziny i minuty do północy. Jakże chętnie poszedłbym do kościoła, ale trzeba na to pozwolenia oficera, a nuż Anglik zechce przynieść mi sam pozwolenie do naszej celi... Dziękuję uniżenie. Mógłby zobaczyć podkop.

Musiałem więc wyrzec się pociechy, którą daje modlitwa w przybytku poświęconym Bogu, ale błagałem Go

z całego serca o miłosierdzie i moja droga mama modli się za mną pewnie...

Chcę wam zaraz odesłać, koledzy, to, co napisałem, bo kto wie, czy nas nie złapią, a wtedy krucho może być ze zbiegami. Prawa wojny są straszne: Anglicy ukarzą najsurowiej Roberta i mnie, gdyż my zrobiliśmy podkop. Wysyłam list swój razem z pocztą klasztorną. List nie zdradzi nas, bo dla Anglików i dla Alzatczyków pismo polskie jest niezrozumiałem. Napisałem także kilka słów do ojca, ale po angielsku, żeby nie wzbudzić podejrzeń władzy. Tylko pomiędzy wierszami nakreśliłem piórem umaczanem w mleku trzy polskie wyrazy: „Uciekam. Burns. Johannesburg.“

Dziwić was może, koledzy, dlaczego użyłem do tego mleka. Muszę więc wytłomaczyć piecuchom warszawskim tę zagadkę, a raczej ten sposób tajemniczego udzielania sobie wiadomości. Nauczył mnie go tatko. Trzeba mlekiem pisany list potrzymać nad żarzącymi węglami, a wystąpią żółtawe, ale wyraźne litery. W czasie wojny każdy papier może zawierać sekretne ostrzeżenie. Ogląda się go też na wszystkie strony i tatko, odebrawszy mój skrypt angielski, domyśli się pewnie, że ukrywa on tajemnicę. Uwiadomiłem ojca o zamierzonym moim w domu pana Burnsa pobycie, bo jeśli uda nam się ucieczka, to Robert zabierze mnie z sobą.

— Jesteś przecie moim bratem Samuelem — powiedział wczoraj, ściskając mnie za rękę.

— I jestem taki sam na świecie! — pomyślałem, dziękując przyjacielowi za okazane uczucie.

Ojciec znajdzie mnie więc w domu pana Burnsa, jeśli naturalnie powiedzie nam się wyprawa. Z Johannesburga napiszę do was znowu, tymczasem muszę list kończyć, bo o jedenastej ma przyjść Kafr po pocztę. Co słyszę? Zegar już bije? Ach, jak złowrogo brzmią jego uderzenia w nocnej ciszy! Jeszcze godzina!..

Struś.

Prima Aprilis udało się wybornie! Jesteśmy ocaleni. Piszę na kartkach notesu, dzwoniąc zębami po przeprawie przez rzekę. Kafr wciągnięty do spisku przyprowadził nas tu. Tu, to znaczy kraal, złożony z kilku chat i ukryty w lesie. Przesiedzimy w nim cały dzień, a w nocy pójdziemy dalej, bo noc uchroni nas od pościgu Anglików. Brrr! gdy o nich myślę, czuję dreszcz, a raczej podwójne dreszcze: z zimna i ze strachu.

Ocaleni! jak to brzmi pięknie! Ile jednak przeszliśmy wrażeń w tej przeklętej celi... Siedzieliśmy naprzeciw siebie, ja i Robert, czekając, aż zacznie bić dwunasta. Nie śmieliśmy jeden drugiemu spojrzeć w oczy, żeby nie wyczytać w nich potępienia. Bo projekt podkopu wyszedł od nas dwóch, my namówiliśmy towarzyszy do ucieczki, a teraz oni to mieli iść na pierwszy ogień. Jeśli szyldwach nie da się podejść? Jeśli Anglicy schwytają Pawła i Johanna? Będą rozstrzelani, bo takie jest prawo wojny— myślałem. Toż samo zapewne myślał i Robert. A tymczasem wskazówka zegarka dobiegała fatalnego kresu. Na wieży kościoła wybiła północ... Zerwaliśmy się obaj z krzeseł. Za drzwiami słychać było łoskot... Ach, siedzieć zamkniętym, nie módz biedz na pomoc braciom!...

Jak długo trwała niepewność? — spytacie. Któż obliczasekundy? Nam one wydały się wiekami. Szamotanie i tupot nie ustawały w korytarzu. Słyszałem, że jakieś ciężkie ciało upadło na ziemię, potem znów była chwila ciszy... i nic, nic nie zdradzało, czy rozstrzygnął się los kilkunastu nieszczęśliwych...

Nagle ostrze bagnetu błysnęło w szparze drzwi. To Paweł podważał zamek. Pękł skobel. Do celi wbiegło kilkunastu Burów — wszyscy wolni! Nie było chwili czasu do stracenia. Cała gromada oswobodzonych więźniów otoczyła podkop, ale Robert wszedł do niego pierwszy, bo on najlepiej znał przejście. Ja miałem być ostatni. Gdyby mnie schwytano, jako cudzoziemiec, mniej może surowo byłbym karany. Nie schwytano jednak zbiegów. Kafr,

znający miejscowość, doprowadził nas do brodu. Przebyliśmy rzekę wpław, przyczem omal nie poszedłem na dno, bo woda wezbrała od deszczów jesiennych. A jaka była zimna! Dotąd czuję po niej dreszcze. Coby tatko powiedział, słysząc, jak szczękam zębami...

Ale mniejsza o zaziębienie gagatka, kiedy ten gagatek wolny.

Kafr prowadził nas do swego kraalu, gdzie mieliśmy odpocząć po trudach i wrażeniach tej okropnej nocy. A czekało nas jeszcze najsilniejsze może z tych wrażeń. Tymczasem jednak, choć noc była bardzo chłodna, a my przemoknięci do nitki, maszerowaliśmy z dobrą fantazyą, słuchając Pawła, który opowiadał nam, jakim sposobem zdołał podejść żołnierza, stojącego na warcie.

Bo był to czyn nielada odwagi, czyn, od którego zależało powodzenie całej wyprawy. Pawłowi dzielnie pomógł przekupiony pieniędzmi Roberta Kafr. On to zabawiał szyldwacha i tak zajął Anglika, że ten nie dosłyszał kroków Pawła, który zbliżył się z tyłu i zarzucił na głowę żołnierza swój siennik więzienny. Nie upłynęło pół minuty, a szyldwach leżał już na ziemi, spowinięty jak nowonarodzone dziecko. Johann otwierał tymczasem drzwi sąsiednich cel. Poczciwi ojcowie misyonarze są ubodzy, prócz skarbów miłosierdzia nie ukrywają innych bogactw w swych mieszkaniach, mają też zamki u tych mieszkań stare i zardzewiałe. W mgnieniu oka byliśmy wszyscy wolni.

Los nasz jednak nie był godzien zazdrości, bo inna to rzecz, koledzy, wysypiać się pod kołdrą w Warszawie, a inna błądzić wśród piaszczystej równiny afrykańskiej. Kafr znał drogę, zapewniał nas o tem przynajmniej, ale w nocy któż na pustyni rozejrzeć się jest w stanie? Najmniej zaś chyba mógł to zrobić nasz przewodnik, gdyż głupszego stworzenia nie widziałem nigdy w życiu. Potrafił stroić małpie miny przed szyldwachem, ale noc i groźby Pawła odebrały mu przytomność.

A tymczasem pustynia brzmiała wyciem szakali i hyen. O rozpaleniu ogniska nie mogło być mowy. Nie mieliśmy ani zapałek, ani krzesiwa. A tylko ogień mógł zabezpieczyć nas od nieproszonych gości. Noce jesienne są długie. Czekaliśmy z niepokojem dnia, bezbronni prócz Roberta. On, jako zasłużony twórca podkopu, niósł karabin, zdobyty na szyldwachu angielskim. Należał się Burnsowi ten zaszczyt.

Droga wydawała się nam wszystkim nieskończenie długą. Jestem pewny, że błądziliśmy, choć Kafr utrzymywał przeciwnie. Szedł koło mnie i widziałem niepokój w jego ruchach; zdawał się przeczuwać niebezpieczeństwo, z którego my nie zdawaliśmy sobie sprawy. Nagle umilkły głosy hyen i szakali, cisza groźniejsza od najstraszniejszych hałasów zaległa pustynię. Powiał nad nią jakiś dziwny szmer czy pomruk. Co to być mogło, nikt z nas nie wiedział, ale najśmielsi nawet uczuli, że czeka nas coś niezwykłego.

Czekanie trwało zaledwie chwilę, która jednak wydawała się wiekiem. Krótki, oderwany ton wstrząsnął powietrzem. Nie był to grzmot, chociaż miał w sobie grozę piorunu, nie wycie, nie ryk—jakiś raczej odezw straszny i ponury.

Księżyc wypłynął właśnie z za chmur i w jego świetle ujrzeliśmy nagle, na odległości kilkunastu zaledwie kroków, lwa, najprawdziwszego króla pustyni.

Miał żółtą, długą, rozwichrzoną grzywę i twarz poważną, jakby znudzoną. Otworzył paszczę, ziewnął, mogliśmy podziwiać przez chwilę trwałość jego kłów. Popatrzył na nas, machnął ogonem i poszedł poważnym krokiem ku skałom.

Brrrr! Nie będę udawał, że vis à vis z lwem zostawiło mi przyjemne wspomnienie. Na szczęście ja i moi towarzysze nie przypadliśmy do gustu jego królewskiej mości. Wolał może antylopę, a ja nie zazdroszczę jej monarszych względów, bo wcale nie jestem usposobiony do czynów bohaterskich.

Zimna kąpiel i zimna noc nabawiły mnie gorączki. Robert oddał mi swoją bluzę, ale ona niewiele pomogła na dreszcze. Wschód słońca wrócił nam wszystkim otuchę, więc

i ja na chwilę czułem się zdrowszy. Wkrótce jednak trzęsło mną znów zimno i z trudnością przywlokłem się tu do kraalu Kafra. On i moi towarzysze śpią w najlepsze, żeby nabrać sił do nowej wędrówki nocnej. Ja tych sił nie mam wcale, a co gorsza mąci mi się chwilami w głowie, tak iż z trudnością zbieram myśli. Nigdy jeszcze nie czułem się taki zbity i połamany. Robert mówi, że to przejdzie, że trzeba się tylko przezwyciężyć. Ja też nie chcę się poddawać chorobie. Piszę... Może łatwiej usnę potem.

Robert poprowadzi swój oddział ku Brandfortowi. Ma nadzieję spotkać w okolicy tego miasta zbrojne siły Burów, do których się zaciągnie. Ja myślałem, że bezpieczniej byłoby jechać wprost do Johannesburga, gdzie czeka na mnie tatko. Ale może Burns ma racyę, może lepiej oddać się pod opiekę jakiego dzielnego wodza partyzanckiego. Bezbronnych a idących gromadą łatwo Anglicy pochwycić mogą, jeśli naturalnie wprzód jeszcze nie pochwyci nas lew, widziany tej nocy. Tak mi zimno i taki jestem rozbity, że nawet lew nie byłby zdolny mnie teraz przestraszyć...

Kwiecień.

(Ta i poprzednia część dziennika Janka spisana była na kartkach wydartych z notatnika).

Dotąd kładłem zawsze datę na początku każdego listu, kładłem ją również, opowiadając wam, koledzy, o przeżytych przygodach. Tak sobie życzył tatko.

Biedny, kochany tatko! Wspomniałem ojca i przestałem pisać, bo każde takie wspomnienie napędza mi łzy do oczu. Ukrywam je przed ludźmi, ale jakże cierpię...

Gdzie tatko jest teraz? Czy zdrów? Tak łatwo mógł zachorować, znosząc niewygody życia obozowego i tęskniąc za mną... Sto razy pytam i sto razy opuszczam ręce zniechęcony, bo nikt odpowiedzi mi nie da... Na dnie serca tylko słyszę jakby głos drogiego ojca:

— Wytrwaj, Bóg nas nie opuści — mówi mi coś w duszy. Chcę być dzielnym, jak tatko, jak Burowie,

którzy walczą do ostatniej kropli krwi, a odwagi nie tracą.

Darujcie mi, koledzy. Zamiast zająć was opisem dziwnych moich przygód, mówię o tęsknocie do tatki. Ale wy teraz w Warszawie gotujecie się do egzaminów i sprawiacie rodzicom pociechę, a ja... a ja...

Dość o tem własnem *ja*. Wracam do początku swego opowiadania czy listu, bo pragnę przesłać wam te odbitki za pośrednictwem redakcyi „Wieczorów." Nie napisałem dokładnej daty, gdyż nie wiem, jaki dziś dzień. Zgubiłem rachunek czasu, a tu, gdzie jestem obecnie, nikt kalendarza nie ma.

Mieszkałem w różnych europejskich i nieuropejskich domach, mieszkałem na okręcie, pod namiotem, ale nie mieszkałem nigdy w wozie. Otóż wyobraźcie sobie, że jednak tak jest. Wóz zastępuje mnie i rodzinie właściciela dom. W wozie żyją, a niekiedy nawet umierają Burowie, należący do gmin koczowniczych. Opowiem wam pokrótce, skąd ja znalazłem się między nimi.

Ostatni raz pisałem do was z kraalu Kafra. Czułem już wtenczas dreszcze i gorączkę, ale gdy nadeszła noc, wyruszyłem razem z Robertem Burnsem ku Brandfortowi. Nie zawsze jednak można mierzyć „siły na zamiary," wedle słów poety; moje wyczerpały się bardzo prędko i ogarnęła mnie rozpacz, bo nie mogłem postąpić kroku.

— Umrę zdaleka od ojca, na pustyni, hyeny rozszarpią moje ciało—mówiłem pół przytomny, upadając co chwila na piasek, chociaż Robert i Paweł prowadzili mnie pod ręce. Wesoły pasażer—prawda, koledzy? Mdleć w chwili, kiedy należało działać energicznie, bo mieliśmy przecież pościg Anglików za plecami...

Nagle usłyszałem trzaskanie batów i z zarośli wytoczył się wielki wóz nakryty czerwonem płótnem. W wozie siedziała młoda kobieta. Dwóch Kafrów popę-

dzało woły. Zaprząg stanął, bo w tem miejscu właśnie wypadł podróżnym nocleg.

Robert podbiegł do wozu i opowiedział nasze przygody właścicielce furgonu. Położył nacisk zwłaszcza na to, że cudzoziemcem będąc, biłem się za Transwaal pod Paardebergiem i że potrzebuję ratunku. Pani van der Noot (tak się zwała właścicielka furgonu) oddała Burnsowi wieczerzę przygotowaną dla dzieci. Towarzysze moi zjedli ją chciwie, bo w chacie Kafra nie zastaliśmy żadnego pożywienia. Myślałem, że mleko i placek z kukurydzy wrócą mi siły, ale, niestety, choroba to taka mocarka, że każdy przed nią broń złożyć musi. Kapitulowałem więc i ja. Przygotowano mi posłanie w najwygodniejszej części wozu i z rozkoszą wyciągnąłem na niem swoje nędzne, rozpalone ciało. Traciłem przytomność, pamiętam jednak, jak pani van der Noot opowiadała Robertowi, że jej mąż przyczynił się do zwycięstwa, które de Vett, dowódzca burski, odniósł nad Anglikami pod Kornspruitem.

— De Vett? Kto to de Vett?—pytałem słabym głosem z wozu, ale nie odpowiedział mi nikt. Usłyszałem tylko jeszcze Roberta, wołającego z żalem:—Jakto? generał Joubert nie żyje!—i zasnąłem, czy też straciłem zupełnie przytomność.

Odtąd budziła mię tylko z odrętwienia moja dobra opiekunka. Widziałem ją zawsze przy sobie. Zdawało mi się czasem, że to mama. Ach, te sny, te sny!

Pani van der Noot okazała się jednak istotnie bardzo troskliwą. Pamiętam, że lubiłem, kiedy przykładała mi do ust naczynie wyrobione ze skorupy jaja strusiego, bo w naczyniu tem było mleko, a ja czułem ciągłe pragnienie. Piłem także jakieś zioła. Kiedy bardzo bolała mnie głowa, Holenderka przylepiała mi za uszami plasterki, które piekły, jak synopizma europejskie. Wogóle niewiele wiem z tego okresu choroby, a już

wcale nie przypominam sobie rozstania z Robertem. Czasem męczyły mnie fantastyczne widziadła, podczas których zdawało mi się, że słyszę ryk lwa.

Lew jest już teraz bardzo rzadkim gościem w Afryce południowej, więc nie żałuję, że go spotkałem, bo zapewne pierwszy i ostatni raz w życiu miałem sposobność podziwiać na wolności wspaniałe to zwierzę.

Kiedy po dziesięciu dniach zupełnego wyczerpania (gdyż tyle podobno czasu trwała gorączka) wróciła mi nakoniec przytomność, nie mogłem zebrać myśli, ani zrozumieć, gdzie się znajduję. Wóz ujechał przez ten czas dość dużą przestrzeń drogi. Stanęliśmy wśród urodzajnych pastwisk. Naokoło, jak okiem sięgnąć, ciągnął się step. Nie możecie mieć pojęcia, koledzy, o bujności tutejszych traw: toną w nich stada antylop i tylko po falowaniu roślin poznać można kierunek uciekającej zwierzyny. Trawy te przetykane są różnobarwnymi kwiatami. Dzieci pani van der Noot robiły z nich wieńce. Mnie jednak najwięcej zajmował lasek nad strumieniem. Lubię rośliny. Pamiętam, że mama miała na oknie doniczkę araukaryi. Gałęzie tego drzewka rozrastają się symetrycznie, tworząc równoległe kondygnacye liści. Wygląda to jak szklany klosz, na którym podają cukierki. W Afryce araukarye wyrastają w drzewa, a ich gałęzie wyglądają niby szeregi półek tak wielkich, że ułożylibyście na nich wygodnie wasze rupiecie uczniowskie.

Słońce przeświecało ślicznie między zielonemi półkami.

Nie wiem, skąd mi się wzięło pisać tak długo o araukaryach, kiedy pisanie męczy mnie jeszcze. Pewnie dlatego, że te drzewa przypominają czasy, gdy miałem mamę. Ale nie o tem...

1 maja, 1900 roku.

Wiem już teraz dokładną datę i, jak widzicie, piszę piórem na porządnym papierze, a nie, jak dotąd,

ołówkiem na kartkach wydartych z notesu. Czy je zdołacie odczytać?

Jestem już zupełnie zdrów, więc i humor wrócił, a z nim wróciła nadzieja odzyskania ojca. Pani van der Noot, ciotka (bo ciotką zwykliśmy nazywać zamężne kobiety burskie), utrzymuje, że będę już mógł jechać do Johannesburga. Spodziewam się. Tylko pójdę, nie pojadę, bo wóz gospodyni dąży w innym kierunku, a zresz-



Wóz pani van der Noot.

tą nie chciałbym się wlec wolno, jak wlecze się ta szanowna Arka Noego. Burowie przywykli do tego rodzaju podróży. Ojcowie ich treckowali w furgonach z Kaplandyi do Natalu, a potem do Oranii i za rzekę Waal. Dziś jeszcze wielu Burów przenosi się z miejsca na miejsce ze swemi stadami, szukając dla bydła żyznych pastwisk i używając wozów, jak domów. Miałem w wojsku Croniego towarzyszy broni, którzy nigdy nie wi-

dzieli murowanego domu i nie chcieli nawet wierzyć, że ludzie zamykają się za życia w grobach kamiennych. Dopiero wojna oderwała biedaków od ich zajęć pasterskich, a w więzieniach angielskich poznali się z cywilizacyą, do której słusznie czuli wstręt.

Wóz burski, siedem łokci długi a przeszło dwa łokcie szeroki, zbudowany jest z mocnego drzewa, na grubych żelazem okutych kołach. Ale też tylko koła mają metalowe obręcze, poza tem wszystkie spojenia są ze skóry. Niema więc obawy, aby złamać się miał sworzeń lub dyszel, bo i sworzeń i dyszel zrobiono ze skóry reniferowej, stokroć mocniejszej od naszych skór. Ładunek wozu waży niekiedy do pięciu tysięcy kilogramów, a jednak woły afrykańskie dają sobie radę z tym niesłychanym ciężarem i wloką go nietylko po ubitych drogach, ale po stokach gór, po piaszczystych pustyniach lub błotnistych i trawą zarosłych mokradłach, przez bujne łąki lub głębokie brody rzeczne.

Prawda, że wołów w zaprzęgu idzie dwanaście, szesnaście, a nawet dwadzieścia cztery, a powozi nimi Kafr, przyuczony od dzieciństwa wywijać batem reniferowym tak olbrzymim, że samo biczysko bywa pięć metrów długie. Dorożkarze warszawscy umieją zręcznie manewrować wśród tłoku i z dobrą fantazyą popędzają chude konie, ale ciekawy jestem, coby zrobili, gdyby im przyszło powozić dwunastoma parami wołów, zczepionych z sobą rzemienną liną. Kafr biegnie obok zaprzęgu i popędza batem woły, a umie celnie trafić rzemieniem to zwierzę, które przez opieszałość opóźnia pochód.

Bywając dawniej na wsi u cioci, słyszałem, jak furmani polscy wołali na konie: „wio!“ lub „wiśta!“ Kafrowie przynaglają także woły głosem, ale chcąc, żeby ruszyły z miejsca, krzyczą: „awanhu!“ lub „treek!“ i poczciwe zwierzęta idą posłusznie w drogę, chociaż droga to często bardzo uciążliwa. A wiecie, w jaki sposób Kafrowie, których bywa czasem trzech przy długim

zaprzęgu, zatrzymują wóz swego pana Bura? Oto uderzają po łbie woły, idące na przedzie, i te stają w miejscu, a za nimi stają także wszystkie poprzedzające pary.

Wozy burskie pokryte są płótnem, wyglądają też jak namioty, zwłaszcza kiedy cała gmina treckujących Burów zbierze się w jedno obozowisko. Tabor wozów stanowi w razie wojny z dzikiemi plemionami fortecę dla Holendrów. My, Polacy, znamy dobrze ten rodzaj warowni, gdyż w ten sam sposób oszańcowywali swoją armię nasi hetmani w czasie wypraw przeciw Kozakom lub Tatarom. Rozerwanie taboru przez niesforne wojsko zgubiło Żółkiewskiego.

Taborem więc walczą Burowie z dzikimi mieszkańcami Afryki. Ustawiają w okrąg wozy, zczepiają je z sobą, otwory między wozami zapychają gałęziami kolczastej mimozy i bronią się z poza furgonów. Niewiele by one im pomogły przeciw angielskim, dalekonośnym karabinom, ale ta improwizowana forteca chroni wybornie Holendra od strzały Basutosa lub asagai Zulusa. Już to Bur szuka zawsze osłony w czasie bitwy, a umie ją upatrzyć nawet na równinie. Kilkanaście kamieni, zgromadzonych w jednem miejscu, stanowi już szaniec, za którym Holender znajdzie sposób ukryć się przed nieprzyjacielem. Widziałem w czasie mojej pod rozkazami Croniego służby, jak Burowie umieją pełzać na brzuchu. Szare ich kurtki nikną na szarej ziemi; czołgając się, podchodzą niepostrzeżeni pod szeregi nieprzyjacielskie. Czerwone mundury Anglików świecą przeciwnie zdaleka, łatwo też brać ich na cel. Ale teraz i Anglicy zmądrzeli i noszą ubranie koloru, który się nazywa khaki, co po indyjsku znaczy ziemia. Tatko mówił mi, że podczas kampanii indyjskiej 1857 r. zaczęło wojsko brytańskie używać mundurów z materyi bawełnianej, farbowanej na kolor khaki. Kolor ten jest podobny do świeżo zoranej ziemi. W czasie prób, robionych w obozie angielskim w Aldershot, celność strzałów była: 10 na ko-

lor biały, 6 na czerwony, 5 na żółty i szary, a 2 na kolor khaki. Ale też tkanina khaki stała się modną, nietylko użyteczną. Noszą ją podobno nawet londyńskie elegantki w czasie upałów letnich. Pod Paardebergiem Yeomanry, t. j. pułk ochotników pochodzenia szlacheckiego, walczył w wspaniałych czerwonych mundurach. Dziesiątkowali też Burowie bez miłosierdzia biednych strojnych paniczów.

Rozpisałem się zbyt obszernie może o sposobie wojowania Burów, ale pochlebiam sobie, koledzy, że zaciekawi was opowiadanie o życiu, jakie pędzę już kilka tygodni, to jest od chwili, kiedy udało nam się uciec z klasztoru ojców misyonarzy, a raczej z więzienia strzeżonego przez Anglików.

Miałem wtedy prawie pewność dostania się do ojca. Niestety, choroba odwlekła tę radosną chwilę. Straciłem kilka tygodni szczęścia i, co gorsza może, byłem ciężarem dla pani van der Noot, która, pieszcząc swoje dzieci, nieraz z współczuciem patrzyła na mnie.

Jakże zazdrościłem małym Noocietom pocałunków matki, z jakąż tęsknotą wracałem myślą do dni mego dzieciństwa, do wspomnień domu rodzicielskiego! Ach, koledzy, czy tęskniliście kiedy tak, jak ja tęsknię za ojcem, za Robertem, bo i o moim przyjacielu nie mam także żadnych wiadomości... Pocóż jednak mówić wam wciąż o sobie, zwłaszcza, gdy tyle jest ciekawych nowin. Przywiózł je dziś handlarz, dostarczający treckującym Burom potrzebnych im do życia towarów. Właściwie należałoby teraz mówić Burkom nie Burom, bo wszyscy mężczyźni wyszli do obozu, a w wozach mieszkają tylko kobiety i dzieci. One to czuwają nad stadami, one gotowe są bronić tych stad od napadu Beczuanów. Jak dzielnie zastępuje męża taka naprzykład pani van der Noot. W dzień zajęta dziećmi i kuchnią, wieczorem objeżdża lub liczy trzody, a w nocy stróżuje, jeśli na nią przypadnie kolej czuwania nad taborem

wozów, których jest razem z naszym dziewięć. Nie można dowierzać Kafrom, służącym, zwłaszcza teraz w czasie wojny: korzystają z niej plemiona dzikich i uprowadzają stada.

Pani van der Noot strzela celnie. Rzecz to zresztą bardzo zwykła. Kobiety orańskie kilkakrotnie już prosiły prezydenta Stejna o pozwolenie uformowania korpusu amazonek, tymczasem zaś strzegą majątku mężów i zaopatrują wojsko w żywność. Dzielne Burki! Prawda, koledzy, jak zabawnie brzmi ta nazwa? Burka! Mnie przypomina ona zawsze „Trzech Budrysów“ Mickiewicza. I wiecie, co mi dziś przyszło na myśl? Gdybym tak memu drogiemu ojcu przywiózł do Johannesburga Burkę pod burką? Byłem przecież już żołnierzem i mój feldkornet pochwalił mnie za odwagę.

Ot co to może zaświtać w głowie, kiedy się jest prawie zdrowym i kiedy błyska nadzieja powrotu do tatki!

Widzę jednak, że trzeba pohamować mój dobry humor i zająć się... polityką, bo, jak już pisałem, kupiec przywiózł gazety, a ja tak dawno nie czytałem gazet. Potwierdzały one smutną wiadomość o śmierci generała Jouberta.

Zgon tego siedemdziesięcioletniego obrońcy Transwaalu jest niepowetowaną stratą. Umarł 27 marca 1900 r. w Pretoryi, gdzie przybył dla porozumienia się z prezydentem Krügerem co do dalszego prowadzenia wojny. Nigdy nie zapomnę wspaniałej postaci starego wodza, z jego długą białą brodą. Widywałem go w domu pana Burnsa. Miał w twarzy coś ze spokoju i powagi lwa. W ostatnim roku cierpiał okropnie skutkiem raka, pomimo to z niestrudzonem męstwem prowadził sam przez 5 miesięcy kampanię w Natalu. Poddanie się wojsk Croniego było dla Jouberta ciosem śmiertelnym. Zrozumiał, że wojna zaczepna jest już niemożebna, dokonał jednak jeszcze wspaniałego odwrotu z pod Ladysmith do Dundee, nie straciwszy ani jednego żołnierza.

Kiedy marszałek Roberts zdobył 13 marca Bloemfontain, stolicę Oranii, Joubert nie stawiał mu oporu, bo chciał linię wojsk burskich oprzeć o Kronstadt. Zaczął też fortyfikować to miasto, kiedy nagle śmierć przecięła życie bohaterskiego obrońcy Transwaalu.

Umierając, zawołał z wielkim żalem: „Biedny mój kraj!“

Następcą Jouberta jest teraz Ludwik Botha, ten sam generał Burów, który już nieraz pokazywał zęby Bullerowi. Los nie sprzyja Holendrom, bo wkrótce po Joubercie zginął w bitwie pod Boshof dzielny ich sprzymierzeniec Francuz, pułkownik Villebois - Mareuil. To także strata niepowetowana.

Biedni Burowie! upadną pewnie pokonani przeważnemi siłami nieprzyjaciela. Na jednego walczącego Holendra jest już dziś w Afryce dziesięciu angielskich żołnierzy. Zostawią jednak po sobie wspomnienie godne bohaterów. Jestem niespokojny o Johannesburg, gdyż po zdobyciu Bloemfontain uda się tam pewnie marszałek Roberts. Chciał temu zapobiedz Joubert, fortyfikując Kronstadt, a z drugiej strony nakazując ruch zbrojny na tyłach nieprzyjaciela. Burowie oblegli Weppener i zebrali siedmiotysięczny obóz pod Dewetsdorpem. Mogło być krucho z Anglikami, bo wzięto ich w dwa ognie. Groziło im odcięcie od południowych posiadłości, to jest od Kaplandu, a co gorsza i od węzła kolei żelaznych.

Nie sztuka galopować naprzód. Trzeba mieć zapewniony odwrót w czasie wojny, trzeba zwłaszcza módz zawsze dowieźć żywność dla swej armii. Anglicy, zamknięci między Weppenerem i Kronstadtem, mogli być ogłodzeni. Należało bądź co bądź pozbyć się nieprzyjaciela, grożącego tyłom wojsk.

Na rozkaz Robertsa, gdyż Buller nic już teraz nie znaczy, zaniechano marszu ku północy, nie śpieszono z odsieczą Mafekingowi, lecz skierowano wszystkie siły przeciw Burom w południowej Oranii. Generałowie angielscy:



GENERAŁ JOUBERT ZE SWOIM SZTABEM PRZY ŚNIADANIU W OBOZIE

French, Hunter, Brabant i Hamilton, spadli ze swemi brygadami na nieprzyjaciela dowodzonego przez Ludwika Bothę. Nie zdołał on pokonać przeciwników, a Robertsa od Kaplandu odciąć, ale potrafił się jednak wymknąć z pomiędzy wojsk, któremi opasali go czterej generałowie.

Ten list, pisany częścią ołówkiem, częścią piórem, zabiera na pocztę handlarz razem z karteczką, którą wysyłam do ojca pod adresem pana Burnsa. Chcę uspokoić tatkę, dlaczego tak długo czekać musi na mój list. A jest pewnie bardzo zmartwiony, bo wie od Roberta, że byłem chory. Biedny tatko!

Handlarzowi wzamian za tę usługę dałem złotą szpilkę z krawata. Jedzie on wprost do Kapetownu po towary, bo handel idzie pomimo wojny. Ludzie wtedy nawet podobno najmniej oszczędzają pieniędzy. Kiedy życie niepewne, jakąż wartość może mieć złoto? Każdy więc dogadza swoim zachciankom, chociażby bez potrzeby. Tak mówił handlarz, ja nie znam się na tem.

Zresztą mnie zajmuje tylko jedna myśl — odszukać ojca. Jutro idę na północ ku Johannesburgowi. Pani van der Noot chciała mi dać konia, na tej zasadzie, że jako żołnierz transwaalski mam prawo do jej pomocy. Nie mogę jednak przyjąć tego daru, bo nie myślę brać nadal udziału w wojnie. Toż i tak doznałem wielu dobrodziejstw. Wstyd mi się do tego przyznać, ale pragnąłbym czasem, aby Basutowie (gdyż popasamy w ich sąsiedztwie) napadli na stado, bo mógłbym walczyć w obronie pani van der Noot, a jestem przecież jedyny biały mężczyzna wśród całej gminy koczowniczej. Vivat! idę do Potschefstroom, a stamtąd koleją do Johannesburga.

Dalszy ciąg dziennika, pisany znów na kartkach z notesu.

U was wiosna, śliczna polska wiosna. Chodzicie do Łazienek i odpoczywacie po egzaminach, siedząc pod kasztanami nad stawem.

Ach! ileż razy patrzyłem na wody tego stawu, a teraz...

Siedzę i ja pod drzewem. Jest ono tak olbrzymie, że równie wielkiego nie widzieliście nigdy. Tylko nikt powiedzieć mi nie umie, jak się nazywa ten gatunek drzew. Biedni Kafrowie niewiele dbają o botanikę...

Piątek, 11 maja.

Wczoraj przestałem pisać. Było mi zbyt smutno... Przeceniłem swoją odwagę, próbując nastrajać się na wesoły, a przynajmniej naturalny ton. Ze wstydem przyznaję, że łzy stanęły mi w oczach i rzuciłem ołówek. Ale podniosłem go natychmiast i schowałem starannie do kieszeni, bo to teraz najdroższy mój przyjaciel. Może nigdy nie będę miał już ołówka, ani przyjaciela? Może umrę w samotnej wiosce Kafrów, zdala od ojca, od Roberta, od swoich, od tych wszystkich, którzy zdolni są pojąć moje uczucia i myśli. Nie, to zbyt okropne!...

Niedziela, 20 maja.

Wstydzę się was, koledzy. Dwa razy już przerywałem pisanie. Dziś niedziela. Po gorącej modlitwie do Boga jestem spokojniejszy, nie będę się też rozwodził nad memi uczuciami, bo rozpamiętywanie odbiera energię.

Opowiem wam krótko historyę ostatnich tygodni.

Jeśli nie oszukał mnie kupiec, któremu powierzyłem list do was, to wiecie już, że mieszkałem w wozie pani van der Noot. List nosił datę pierwszego maja. Nazajutrz miałem opuścić gościnny dach wozu, żeby iść szukać ojca. Ale człowiek strzela, a Bóg kule nosi...

Myśl o podróży nie dawała mi usnąć.

Pani van der Noot objechała z wieczora stado, żeby się przekonać, czy nie grozi mu jakie niebezpieczeństwo, opatrzyła strzelby i poszła spać. Ja napróżno starałem się zmrużyć oczy: tęsknota do ojca spędzała z nich sen. Wstałem, żeby odetchnąć świeżem powietrzem.

Księżyc rzucał smugi światła, na łące pasły się woły wyprzężone z wozu. Poszedłem przyjrzeć się im po raz

ostatni. Poczciwe zwierzęta przypominały mi Polskę. Taką samą łąkę i takie same woły widywałem u mojej cioci, kiedy byłem mały. Zapomniałem na chwilę, że jestem w Afryce, kiedy nagle zwrócił moją uwagę jakiś szmer... z za krzaków wyjrzało coś czarnego.

— Pantera! — pomyślałem, i już biegnę po strzelbę, kiedy chwyta mnie ktoś z tyłu za ramiona. Nim zdołałem krzyknąć, leżałem obalony na ziemię i jakaś czarna łapa pakowała mi w usta garść traw.



Armata systemu Maksima, obsługiwana przez Vidala.

— Rabusie kradną stado! — Tak też było w istocie. Zerwałem się na nogi. Jak ostrzedz panią van der Noot? Ja, który tak pragnąłem wywdzięczyć się jej za doznane dobrodziejstwa, stałem bezradny ze związanemi rękami i zakneblowanemi ustami. A złoczyńcy spędzali tymczasem woły, nie zdradzając najmniejszym szelestem swojej obecności. Zdawać się mogło chwilami, że to czarne duchy biegają po łące. Ogarnęła mnie rozpacz.

Bo pomyślcie, koledzy: odebrać tyle dobrodziejstw od poczciwej Burki i nie módz uratować jej mienia!

Nagle uczułem pod stopą coś twardego. Błysła mi szczęśliwa myśl, pewnie natchnienie Boże. Cofnąłem się o krok w tył i podrzuciłem nogą kamień tak silnie, że przeleciał obok wozu i uderzył służącego Kafra, który spał, pilnując furgonu.

Łotr! do niego należało czuwanie nad stadem, ale zopija (tak Kafrowie nazywają wódkę) odebrała mu przytomność. Musiałem jednak nabić mu porządnego guza, bo krzyczał, jak opętany. Jakże dziękowałem Bogu, widząc, że pani van der Noot, zbudzona wrzaskiem służącego, wyskakuje z wozu i że biegną jej na pomoc Burki, śpiące w sąsiednich furgonach.

Nie wiem, co się działo potem. Wleczony za ręce przez dwóch czarnych dyabłów, pędziłem stepem z szaloną szybkością. Nie byłbym im nigdy nadążył, ale obchodzili się ze mną bez ceremonii, ciągnąc za sobą, jak przeznaczonego na rzeź barana. Czułem kolce kaktusów i mimoz, które darły mi ciało, czułem, że krew płynie z ran, ale moi prześladowcy nie zważali na mnie wcale. Pędzili coraz prędzej, a wkrótce przestałem zdawać sobie sprawę z tego, co się stało, bo straciłem przytomność.

Nie wiem, jak długo biegliśmy. Kiedy wróciła mi świadomość smutnej rzeczywistości, leżałem na posłaniu ze skór około ogniska, przy którem kręciło się kilka kobiet i siedziało w kuczki kilku starców z fajkami w zębach.

Byłem jak zbity, bolały mnie rany na ciele i z trudnością przypominałem sobie zdarzenia ostatniej nocy.

Jakaś stara Murzynka patrzyła z pewnem współczuciem na moje pokrwawione nogi i po chwili dała mi się napić mleka. Tak samo robiła dobra pani van der Noot. Dobroć jest więc uczuciem, które napotkać można zarówno u cywilizowanych, jak i u dzikich kobiet.

Ale jakże niepodobne do siebie moje dwie opiekunki!

Czarna była straszna. Zamykałem oczy, żeby nie widzieć miłosiernej karmicielki. Kobiety beczuańskie golą włosy, zostawiając tylko ich część na samym czubku głowy, potem pomadują warkocz szkaradnym tłuszczem i trefią wysoko nad czołem. U starych zwłaszcza wygląda to bardzo śmiesznie.

Beczuanka robiła masło. Widziałem, jak wlewała śmietanę do skórzanego worka i poruszała dziwną maślnicą, póki nie oddzieliła maślanki od tłuszczu. Potem przyniosła dużych liści, nasmarowała je masłem i obłożyła nimi moje rany.

Ach, jakże jej byłem wdzięczny! Wydawała mi się teraz prawie ładną, choć uśmiechając się, wyszczerzała szczęki, w których tkwił jeden tylko żółty ząb. Chłodne liście i masło złagodziły ból, który czułem w nogach, ale skutkiem zmęczenia i upływu krwi nie mogłem podnieść się z posłania. Leżałem więc cierpliwie. Moja opiekunka wróciła do swej pracy, ja zaś rozglądałem się ciekawie wokoło. O kilkanaście kroków od ogniska stała chata pokryta sitowiem a wsparta na jednym słupie. Dach, wystający ponad ścianami wyplecionemi z chróstu, tworzył jakby okrągłą werandę. Takich chat było kilkanaście. Stały wśród pola zasianego kukurydzą. Nie wiodła do nich żadna droga, tylko mnóstwo krętych ścieżek wiło się pomiędzy zielonemi łodygami roślin. Przed każdą chatą rozłożone było ognisko; siedzieli przy niem starcy, paląc fajki, a kobiety przygotowywały posiłek, wszystkie zaś dzieciaki zbiegły się do mego posłania i oglądały białego chłopca, jak ciekawe zwierzątko.

— Dlaczego oni mnie porwali? Co ze mną zrobią?— myślałem, ale nie znajdowałem odpowiedzi na to pytanie.

Gdyby Beczuani byli ludożercami, rozumiałbym ich postępowanie, choć lichą mieliby pieczeń z waszego korespondenta. Nigdy nie odznaczałem się tuszą, a wychudłem w czasie choroby.

— Na co mogę im być potrzebny? Dlaczego mnie tu przywlekli? — pytałem niecierpliwie starej Beczuanki, bo umiem kilkadziesiąt wyrazów z narzecza Kafrów, zamieszkujących Afrykę południową. Ale Murzynka trzęsła głową, dając mi poznać, że rozstrzygnięcie tej kwestyi nie od niej zależy. Mężczyzni mieli postanowić o moim losie, a wrócili z polowania dopiero wieczorem.

Zasiedli do wieczerzy. Dano i mnie kawałek pieczonej antylopy. Musiałem rozrywać mięso palcami, gdyż rabusie zrewidowali kieszenie kurtki i zabrali nietylko nóż, ale wszystkie drobiazgi, które się w nich znajdowały. Zostawili notatnik z ołówkiem, bo nie znali ich użytku, a przytem bali się liter, sądząc, że są to czarodziejskie znaki. Temu przesądowi zawdzięczam możność pisania dziennika, który może czytać kiedy będziecie.

Po wieczerzy mężczyźni zapalili gliniane fajki i naradzali się długo pomiędzy sobą. Patrzyłem z niepokojem na zgromadzenie, od którego zależało moje życie, i podziwiałem mimowoli powagę, z jaką jego członkowie rozmawiali. Było w ich twarzach coś smutnego a dostojnego zarazem.

Nie wiem, jak długo trwało posiedzenie czarnego trybunału. Mnie się ono wydało nieskończenie przewlekłem. Drgnąłem jednak mimowoli, kiedy jeden z obradujących wstał z koła i zbliżył się do mego posłania.

Mówił łamanym językiem angielskim. Czułem szum w głowie z wrażeń, a może z upływu krwi, nie mogliśmy się więc porozumieć. Dopiero po kilku nieudanych próbach potrafił wytłomaczyć mi swoją myśl. Pytał mnie o matkę, a ja omal nie rozpłakałem się z żalu. Beczuani sądzili, że jestem synem pani van der Noot. Dlatego tylko mnie porwali: byłem łakomym kąskiem, bo spodziewano się dostać za jeńca przynajmniej trzy woły.

Niestety, wasz kolega nie wyrównywał tej wartości. Nie było komu płacić okupu za więźnia. Beczuani, zgromadzeni na naradę, mieli bardzo kwaśne miny, kiedy tło-

macz powiedział im, że moja mama nie żyje, a pani van der Noot nie ma obowiązku troskać się o chorego, którego pielęgnowała z miłosierdzia. Wóz jej wyruszył też już pewnie w bezpieczniejsze, bliżej Lichtenburga położone okolice.

Byłem dla Beczuanów fantem, z którym nie wiedzieli co zrobić!

Nie zabili mnie jednak, nie wydali na pastwę hyen i szakali. Pozwalają żyć, dają jeść, a ja siedzę i czekam, aż wygoją mi się nogi bardzo jeszcze spuchnięte. Pamiętacie, koledzy, że byłem już raz w niewoli u dzikich nad brzegami rzeki Oranii. Wtedy wybawił mnie mądry Zulus, teraz nie mam już nawet jego opieki. Staram się nie myśleć o tem, co będzie dalej.

Piątek, 25 maja.

Znów wróciłem do pisania. Lżej mi na sercu, gdy wypowiem przed wami, koledzy, to, co czuję. Jestem okropnie zniechęcony. Dni płyną, nie przynosząc żadnej zmiany w mojem położeniu. Starałem się je wyzyskać, bo tatko mówił, że zawsze człowiek może zrobić coś dobrego, lub może nabyć nową jaką wiedzę. Żeby nie tracić odwagi, zabrałem się więc do nauki narzecza beczuańskiego. Od Mungi, naszego kucharza w Johannesburgu, umiałem już dużo wyrazów, teraz nabieram wprawy. Żeby tylko rany na nogach goiły się prędzej! Widać zostały w nich kolce, chociaż stara Beczuanka zapewnia, że wyjęła już wszystkie. Żyję pod jej opieką i pomagam staruszce w pracy.

Czy zgadniecie, jakie jest główne moje zajęcie? Niańczę maleńkie dzieciątko, które wygląda jak czarny kociak. Nauczyłem kociaka dwóch polskich wyrazów: tata i mama. Gdybyście wiedzieli, jak zabawnie wymawia. Czasem myślę, że powinienbym może ochrzcić biedactwo, ale nie mam odwagi tego zrobić. Może przybędzie do wioski misyonarz? Ach, gdyby przybył!

Czasami także tłukę kukurydzę za pomocą stępy, a raczej dziury, którą wypalono w grubym pniu drzewa. Mąka jest czarna od węgla, ale Beczuani nie zwracają na to uwagi i pieką z niej podpłomyki. Otóż pochwalić się wam muszę, koledzy, ulepszeniem, jakie tu wprowadziłem w przyrządzaniu mąki i podpłomyków. Umiem pleść koszyki dzięki mamie, która nie pozwalała nigdy, abym bezczynnie słuchał czytania. A tatko czytywał nam głośno bardzo piękne książki. Plotłem więc dla zabawy koszyki, potem Arabowie nauczyli mnie w Egipcie robić śliczne, wzorzyste kobiałki.

Widziałem, że Beczuani nie mają gdzie zsypywać nasienia żyta i kukurydzy, więc dla zabicia czasu zacząłem pleść koszyki z lian, to jest z pnących się roślin. Pierwszy darowałem starej Beczuance za to, że obkładała masłem moje spuchnięte nogi. Odtąd dzieci zaczęły naśladować plecionki i zostałem nauczycielem koszykarstwa.

Jedząc podpłomyk, przyszło mi na myśl, że byłby dużo smaczniejszy, gdyby oddzielić mąkę kukurydzową od twardych łupin ziarna.

— Robinson był piekarzem, czemu nie miałbym i ja spróbować tego rzemiosła — powiedziałem sobie i dalej do roboty.

Przedewszystkiem więc oczyściłem stępę z węgla. Użyłem w tym celu muszli, podobnej do tych, jakie znajdują się u nas niekiedy w sadzawkach. Muszlą więc skrobałem stępę póty, póki z czarnej nie stała się białą. Należało teraz pomyśleć o zrobieniu sita do przesiewania utłuczonego w stępie zboża. Właśnie zastanawiałem się, skąd wziąć włosia na plecionkę do sita, kiedy przyszedł Moopa, stary wódz plemienia. Moopa był okryty skórą lwa, łeb zwierzęcia zwieszał mu się przez ramię, a długa grzywa okrywała piersi wojownika.

— Zrobię sito z grzywy lwa! — pomyślałem — takiego nie miała pewnie żadna kucharka warszawska.

I cóż powiecie? zamiar powiódł się doskonale dzięki wypadkowi, jaki się zdarzył przed tygodniem. Tu znów zużytkowałem wiadomości zdobyte w szpitalu angielskim nad Tugielą.

Syn Moopy upadł na ostry kamień tak nieszczęśliwie, że przeciął żyłę w ręce i krew płynęła z otwartej rany. Próżno sprowadzono czarodzieja, który miał zamówić krwotok. Nie pomogły ani amulety, ani nacieranie ciała ogonem pantery. Chory zesłabł i jego matka przyszła mnie pytać o radę, bo, jak mówiła, biali ludzie mają na wszystko sposoby.

Ja jednak nie wiedziałem o żadnym. Ale widziałem, jak doktorzy bandażują rany i przez umiejętny opatrunek zmniejszają przypływ krwi do skaleczonego miejsca.

— Skąd wziąć bandaża? Nie namyślałem się długo i poświęciłem na ten cel własną garderobę. Czy przypominacie sobie, koledzy, w czem wynosiłem ziemię z podkopu zrobionego przez Roberta?

Ten sam szczegół tualetowy, wyprany przez dobrą panią van der Noot, miał teraz służyć za bandaż. Podarłem tak zwane cztery łokcie płótna na wązkie pasy i zaczął się opatrunek. Dzicy otoczyli kołem chorego, a ja z powagą wielkiego chirurga owijałem rękę płótnem. Starałem się tylko, aby bandaż nie przyciskał zbytecznie żył, co mogłoby sprowadzić gangrenę.

Nie wiem jakich wrażeń doznaje prawdziwy chirurg, ale co do mnie, to powiem wam szczerze, że potniałem jak mysz ze strachu, aby choremu nie zaszkodzić.

Na szczęście, krwotok zmniejszył się pod naciskiem bandaża, krew przepływała wolniej do rany i po godzinie zakrzepła na miejscu skaleczonem. Mój pacyent jest już obecnie zupełnie prawie zdrów. Przychodzi jednak jeszcze do mnie, a ja z powagą biorę go za puls i liczę uderzenia.

— Morimo! morimo! — szepczą Beczuani, którzy wszystko, co cudowne, określają tym wyrazem. Ruch

krwi w żyłach czyli pulsowanie uważają także za objaw nadzwyczajny.

Byłem więc już, jak widzicie, doktorem, a co dziwniejsza, chirurgia utorowała mi drogę do piekarstwa. Poprosiłem starego Moopę o trochę włosia z grzywy lwa; wdzięczny za wyleczenie syna, zgodził się na obdarcie swego płaszcza z jego królewskiej ozdoby.

Zrobiłem plecionkę, przymocowałem ją kolcami agawy do okrągłego koszyka i przesiałem utłuczoną kukurydzę przez improwizowane sito. Mąka otrzymana w ten sposób była czysta i podpłomyki z niej doskonałe. Powiedzcie, koledzy, czy nie jestem pomysłowy?

Beczuani żywią się przeważnie kukurydzą, żytem i mlekiem, zarówno słodkiem jak kwaśnem. Kwaśne mleko! co to za wyborna potrawa, kiedy je podają u nas z kartoflami na kolacyę! Nie wiem jednak, czy największy amator tego specyału chciałby go jeść tak, jak jedzą mleko Beczuani. Wyobraźcie sobie, że wlewają je do worka ze skóry; wszyscy obecni maczają w worku obrane z kolców liście agawy i oblizują je, poczem zanurzają znowu czarną łapę we wspólnem naczyniu.

Brrr! trzeba być bardzo głodnym, aby uczestniczyć w takiej uczcie. Ja zrobiłem sobie łyżkę ze skorupy orzecha obsadzonej na kiju i zachęciłem malców, którzy razem ze mną plotą koszyki, żeby także jedli mleko łyżkami. Nie pozostanie więc moja obecność bez dobrego wpływu na czarnych biedaków. Macie w tem dowód, jak bardzo potrzebnymi byliby biali w Afryce, gdyby, zamiast gorszyć dzikich wojną, nauczali ich dobrym przykładem.

Nie zawsze tak pomyślnie udają mi się moje zabiegi cywilizacyjne. Wczoraj naprzykład omal nie przypłaciłem ich własną skórą.

Beczuani jedzą bardzo chętnie mięso, gdy im się trafi upolować zwierzynę. Największym jednak dla nich przysmakiem jest ciepła krew wołu. Dlatego hodują, a co

prawda i rabują te zwierzęta, jak to było ze stadem pani van der Noot.

Stary Moopa obchodził ucztą narodziny pierwszego wnuka. Dwóch muzykantów grało na instrumentach, przypominających flet. Piszczeli przeraźliwie! Dwaj inni uderzali pałkami w bęben. Wierzajcie mi, że można ogłuchnąć od takiej orkiestry. Głośniej jednak, niż piszczałki i bęben, ryczał nieszczęśliwy wół zarzynany według zwyczajów beczuańskich. Wbito w ziemię cztery mocne pale i rozkrzyżowawszy zwierzę, przywiązano je do nich za nogi.

Dzicy szaleli z radości na widok tych przygotowań, a tymczasem Moopa rozerznął brzuch wołu tak zręcznie, że ani jedna kropla krwi nie pokazała się z rany. Wszystka ona spłynęła na dno brzucha, z którego oprawca wyrywał tymczasem wnętrzności.

Nie, nigdy nie zapomnę tego widoku, ani oczu biednego zwierzęcia, bo żyło ono jeszcze... Beczuani, jak czarni dyabli, tańczyli, wrzeszcząc około swej ofiary. Porwałem maczugę Moopy i uderzyłem nią w łeb wołu, żeby skrócić jego męki. Przestał ryczeć ogłuszony, a może nawet dobity, ale brzuch zwierzęcia zakołysał się przez niespodziane wstrząśnięcie i krew popłynęła na ziemię.

— Źle ze mną! — pomyślałem, widząc wściekłość gromady, którą pozbawiłem części ulubionego przysmaku. Kilku najbliżej stojących schwyciło mnie za ramiona i byłbym może przypłacił życiem zuchwalstwo, gdyby nie Moopa. Na rozkaz wodza Beczuani puścili wolno śmiałka, ale za karę nie dali mi się napić krwi, którą czerpali gorącą z wnętrza skóry. Życzyłem im smacznego apetytu i starałem się nie patrzeć na szkaradną ucztę. Ach, jakże ciężko żyć pomiędzy takimi ludźmi, jak smutno pomyśleć, że wojska, przybywające do Afryki, liczą się na dziesiątki tysięcy, kiedy misyonarzy jest tak niewielu!

A jednak kraj Beczuanów, to kraj większy, niż całe Niemcy. Ciągnie się on od brzegów rzeki Oranii aż w nie-

znaną głąb Afryki i zamieszkany jest przez ludność, która rządzi się sama. Tylko prowincye położone bliżej Oranii uznają protektorat Anglii, do czego zmusił je w r. 1886 generał Warren. Prowincye te są też najwięcej ucywilizowane, bo mają ciągłą styczność z Burami i Anglikami. Beczuani dowożą do Kimberleyu skóry zwierząt, a wielu pracuje w kopalniach johannesburskich. Widywałem takich, którzy umieli pisać i czytać dzięki szkołom zakładanym przez Anglików, oraz misyonarzom, mającym główny swój dom w Kurumanie.

Beczuani z nad Oranii noszą bawełniane spodnie i koszule, po stroju najłatwiej też poznać można Murzyna chrześcijanina. Poganie chodzą zwykle nadzy i noszą tylko mały skórzany fartuszek, zwany karos. Starsi pokolenia i wodzowie przywdziewają, jako oznakę godności, skóry lwa, pantery lub lamparta. Tak się ubiera Moopa i strój wodza wygląda bardzo poważnie.

Wojna źle wpłynęła na Beczuanów, bo obudziła w nich chęć do grabieży. Ja właśnie padłem ofiarą takiej zachcianki. Kraal, to jest wioska, w której żyję od kilku tygodni, stoi wśród nieurodzajnej piaszczystej okolicy. Mało tu pastwisk, więc też mieszkańcy są biedni. Ale bywają osady beczuańskie, w których można spotkać nawet murowane domy i dobrze uprawne ogrody.

Moopa miał dawniej dochód z piór strusich. Ptak ten był wprzód bardzo licznie rozmnożony w Afryce południowej, ale dzicy wyniszczyli strusie, zabijając matki w porze, kiedy te znoszą jaja. Już to nieumiejętne polowanie jest, jak mówił tatko, plagą krajów nieucywilizowanych. Podobno i my Polacy mamy się czego wstydzić pod tym względem.

A czy wiecie, jak Beczuani polują na strusie? Oto biorą w rękę kij, na którym jest obsadzona głowa ptaka, okrywają się skórą z umocowaną na tyle korpusu kitą piór, słowem—przebierają się za strusia. Umieją przytem tak dobrze naśladować ruchy ptaka, że nie budząc podej-

rzenia w zwierzętach, podchodzą do stada i chwytają strusie na lasso. Fermerzy burscy hodują te wielkie ptaki w urządzonych na ten cel zagrodach i miewają znaczne dochody ze sprzedaży piór, w które stroją się potem elegantki europejskie.

Niedziela, 27 maja.

Napadło mnie okropne zniechęcenie i przez dwa dni nie napisałem nic. Nie mogłem zresztą pisać, bo rozdarła mi się kieszeń i zgubiłem ołówek. Ach, jak ja go szukałem, moi drodzy, jak się ucieszyłem, znalazłszy! „Mądry Polak po szkodzie,“ mówi przysłowie. Ja też dopiero, zgubiwszy ołówek, wziąłem się do zeszycia dziury. Zrobiłem igłę z kolca mimozy i nawlokłem ją włóknem rośliny podobnej do lnu. Beczuani używają tej rośliny zamiast sznurka, podobno robią z niej sieci.

Byłem więc teraz krawcem. Wkrótce prześcignę nawet Robinsona w pomysłowości. Wy śmialibyście się z mojej roboty, ale obudziłem nią podziw w starej Beczuance. Pokazywała szew swojej synowej, a pozyskałem łaski obydwóch kobiet, piastując czarnego bębna, który coraz wyraźniej krzyczy „tata“ i „mama.“

Mój Boże! ja także miałbym czasem ochotę na cały głos wołać: tatko! mamo! . . . .
. . . .

Nie mogłem z początku rozróżnić dzieciaków beczuańskich, bo wszystkie są jednakowo czarne i podobne do siebie. Powoli jednak zacząłem rozpoznawać je, a dwunastoletniego Sambę lubię nawet bardzo i podziwiam jego talent rzeźbiarski.

Będziecie się śmiali, koledzy, jednak tak jest. Sambo rzeźbi, i to nawet bardzo artystycznie, o ile znać się na tem mogę. Wystrugał przy mnie trzonek siekiery, zakończając go łbem antylopy. Chciałbym, abyście mogli widzieć, jak doskonale naśladował rozwinięcie rogów zwie-

rzęcia. Sambo przyozdobił rzeźbami wszystkie sprzęty w chacie. Prawda, że sprzętów tych jest w mieszkaniu Beczuana bardzo mało. Stołki o trzech nogach stanowią główne umeblowanie izby.

Ale stołki Samby byłyby podziwiane w każdem muzeum afrykańskiem. A cóż mówić o tarczach, maczugach, dzidach: te całe pokryte są rysunkami. Staram się rozmawiać z Sambą. Piasek służy nam za papier. Kreślę na nim patykiem różne znane mi wzory europejskie. Sambo podziwia je i naśladuje z zadziwiającą łatwością. Oczy chłopca błyszczą, czasem krzyczy i skacze rad, że udało mu się odtworzyć to, co wyrysowałem na piasku.

Mnie żal tej iskry, która tli się w duszy czarnego malca...

Sobota, 2 czerwca.

Nie pisałem dawno. Co pisać? Straciłem nadzieję wydostania się stąd... Iść pieszo do Johannesburga nie mogę, bo nogi bolą mnie jeszcze, rany otwierają się na nowo. Moopa wrócił z polowania i mówił, że widział oddział angielski, maszerujący w kierunku północno-wschodnim ku Transwaalowi. Spotykają takie oddziały i inni Beczuani, ale w kraalu nie pokazał się dotąd żaden. A ja już miesiąc żyję w niewoli, tęskniąc do ojca, do białych ludzi...

Tak, miesiąc, bo dziś 2 czerwca. Mam swój kalendarz i sprawdzam datę. Wiecie, jakim sposobem? Oto robię każdego dnia małe nacięcie na kiju, a w niedzielę wyrzynam krzyżyk. Widziałem, że karbowy u cioci tak rachował i znaczył kopy żyta. Sposób okazał się dobry, bo pomaga mi liczyć dni niewoli.

Marna to pociecha! Staram się mężnie znosić przeciwności, ale pisać do was, koledzy, nie mam już odwagi. Czyż dojdą was te kartki? Jest ich już tylko dwie w notesie, a potem... Boże!... Co widzę?... Ktoś jedzie na koniu!...

Dalszy ciąg dziennika.

Lichtenburg, 13 czerwca 1900 r.

Kiedy ostatni raz pisałem do was, koledzy, byłem pewny, że kartki wydarte z notesu zginą razem ze mną. Sądziłem, że nigdy nie opuszczę ubogiej wioski beczuańskiej, wodza Moopy, starej mojej opiekunki, rzeźbiarza Samby. Mogłem przecież całe życie być piastunką czarnego malca. Brrr! strach pomyśleć! Tymczasem stało się inaczej.

Dobrze mówiła mama: „Bóg czuwa zawsze nad nieszczęśliwym.“ Miałem prawo nazwać się nieszczęśliwym, to też dobry Bóg zesłał mi ratunek wtedy, kiedy nie spodziewałem się go już wcale.

O, wierzajcie mi, trudno mi spokojnie pisać o tym dniu szczęśliwym, o dniu, w którym ujrzałem patrol angielski, wyjeżdżający z poza wysokiego łanu kukurydzy! Odżyła we mnie nadzieja ocalenia, a z nią wróciły i siły. Ja, który tego samego ranka z trudnością podnosiłem się na spuchniętych i owrzodziałych nogach, biegłem teraz jak szalony!

Krzyczałem, machałem rękami, powiewałem pękiem liści, słowem robiłem wszystko, co można, żeby zwrócić na siebie uwagę jeźdźców.

Pęk liści! Śmiać mi się chce, gdy sobie przypomnę, jak wrzeszczał mały Beczuanik, którego opędzałem z komarów tym właśnie pękiem liści. Babka oddała mi pod opiekę wnuka, kołysałem go w kobiałce, a uplotłem ją z lian w wigilię pamiętnego dnia. Kołyszę improwizowaną kołyskę, liśćmi odstraszam komary, pisząc jednocześnie swój dziennik na kolanie. Aż tu jak nie skoczę na równe nogi, jak nie porwę się z miejsca! Aż wywróciłem kobiałkę i Beczuanik bęc na ziemię.

Słyszałem, że darł się w niebogłosy, a ja hyc przez zagony kukurydzy i pędzę co sił ku jeźdźcom.

I Bóg zlitował się nade mną, bo patrol nie minął wioski. Wachmistrz, prowadzący go, myślał z początku,

że ma do czynienia z waryatem. Potrafiłem wytłomaczyć mu, dlaczego jestem prawie nagi, dlaczego zwłaszcza szaleję z radości, widząc białych ludzi. Stary żołnierz patrzył życzliwie na sierotę opuszczonego od wszystkich. Zabrać mnie jednak z sobą nie mógł, bo nie nadążyłbym biedz przy koniu, mając zwłaszcza spuchnięte nogi. Wachmistrz powiedział mi na pociechę, że wślad za nim idzie oddział konnicy i że oddział ten prowadzi nietylko armaty, ale i wóz z amunicyą.

Anglik unikał rozmowy o tem, dlaczego tak niespodziewanie znalazł się w kraalu beczuańskim, który stał zdala od wszelkiej uczęszczanej drogi. Domyśliłem się jednak, że Burowie musieli napaść na wojsko królowej i rozbić je.

— Dokąd teraz pójdziecie?— zapytałem.

— Do Pretoryi. Tam się złączą wszystkie oddziały, bo...

— Do Pretoryi! — zawołałem zdziwiony. — A cóż się stało z Johannesburgiem?

— Johannesburg jest w naszych rękach — odpowiedział wachmistrz z miną wielce zadowoloną.—Generałowie Hamilton i French zdobyli 29 maja maja Johannesburg, a wprzód jeszcze, 18 maja, generał Buller oswobodził Mafeking.

— Mafeking wolny i to Buller odebrał go Burom po siedmio-miesięcznem oblężeniu? Popisał się więc lepiej, niż nad Tugielą. Ale czy to tylko prawda! — zawołałem odurzony tylu niepomyślnemi wiadomościami.

— Zdajesz się, mój chłopcze, wątpić o możliwości tego zwycięstwa. A przecież dziwić się należy zuchwalstwu Burów, którzy śmieli więzić załogę angielską i teraz utrudniają pochód wojsk do Pretoryi, gdzie czeka na nas marszałek Roberts — powiedział wachmistrz niezadowolony z mego współczucia dla zwyciężonych.

Zamilkłem. Na cóż miałem drażnić starego żołnierza, który bądź co bądź okazał mi współczucie? Odjeżdża-

jąc, uśmiechnął się dobrodusznie i zaręczył raz jeszcze, że oddział, idący za nim, weźmie mnie z sobą do Pretoryi.

Zostałem sam. Szumiało mi w głowie... Przecierałem oczy, nie dowierzając sam sobie.

Sen to, czy jawa? Odebrane wiadomości były tak dziwne, tak niespodziewane! Marszałek Roberts w Pretoryi! Gdzież się więc podziała rzeczpospolita Transwaalu? Gdzie są prezydenci Krüger i Stejn?—myślałem. Ale w pierwszej chwili nie odczułem nawet klęski Burów. Odjeżdżający żołnierze, z którymi dopiero co rozmawiałem, nie zniknęli jeszcze, a mnie się wydało, że wszystko słyszane przed chwilą jest chorobliwem majaczeniem.

— Czy istotnie byli tu biali ludzie? czy przyrzekali mi ocalenie?—pytałem rozgorączkowany.

I opanował mnie okropny strach, że ci tam odjadą, a obiecywany przez wachmistrza oddział może obrać inną drogę. Może minie osadę beczuańską?

Chciałem biedz za oddalającymi się jeźdźcami, błagać ich, aby nie porzucali mnie samego... Ale było już zapóźno!

Napróżno kaleczyłem spuchnięte nogi, goniąc Anglików przez ciermiste zarośla, napróżno krzyczałem. Zniknęli, zostawiając ślad kopyt końskich na piaszczystej ścieżce. Mnie nawet te ślady były drogie. Zdawały mi się one jakąś zbawczą niteczką, łączącą sierotę ze światem białych ludzi.

Z odrętwienia, w które popadłem, zbudził mnie rzeźbiarz Sambo. Chłopiec pierwszy raz widział konie i piękne mundury huzarów, to też artystyczna jego natura odczuła niezwykłość zjawiska. Nie mógł tylko uporządkować w biednej swej głowie obrazów, które ujrzał tak nagle, zadawał mi więc tysiąc pytań, ciągnąc bez ceremonii za łokieć.

Zapomniałem o własnem zmartwieniu, bo żal mi było dziecka, którego duszy nie budził dotąd nikt. Sam-

bo pragnął odtworzyć to, co widział przed chwilą. Zaczęliśmy rysować razem mundur huzara, jego szablę, kask, a zwłaszcza konia. Ach, ten koń! jakże on opanował myśl małego artysty... Błyszczały mu oczy, drżały ręce.

Doświadczyłem już nieraz, że najlepszem lekarstwem na niepokój lub zmartwienie jest zająć się drugimi, nie myśleć o sobie.

Tak było i teraz. Sambo krzyczał z radości, patrząc na wyrysowanego przeze mnie żołnierza, a ja podziwiałem talent, z jakim pochwycił i utrwalił na papierze szkic konia, którego widział raz w życiu. Wtem daleki tentent zwrócił moją uwagę. Podniosłem głowę i ujrzałem jeźdźców, postępujących w doskonałym porządku.

— Ci nie zostawią mnie bez ratunku!—zawołałem, rzucając ołówek.

Pochwycił go Sambo. Może biedne dziecko ma dotąd ołówek, może rysuje nim na muszlach lub na deszczułkach... Biedny Sambo!...

Na czele oddziału huzarów jechał młody oficer w mundurze błyszczącym od złota. Pobiegłem do niego i opowiedziałem mu, w jak smutnem znajduję się położeniu.

— Sami ściągnęliście na siebie nieszczęście. Czyż źle było wam w waszych fermach?—odrzekł, patrząc na mnie z współczuciem.

— Nie jestem Burem—odpowiedziałem, ale zawstydziły mnie własne moje słowa. Anglik będzie sądził, że wypieram się wspólności z nieszczęśliwym i pokonanym narodem. Dodałem więc zaraz: — Polakiem jestem, lecz żałuję Burów z całego serca.

— Polakiem? Znałem Polaków w Paryżu—zawołał młody oficer. Cóż zapędziło cię do Afryki? Gdzie są twoi rodzice, mój chłopcze?

— Gdzie moi rodzice? — Z trudnością wstrzymywałem łzy, nie chcąc zdradzać wzruszenia przed obcym.— Grób mamy daleko, a mój ojciec u was w niewoli...

Oficer nie pytał więcej. Zawołał na żołnierza, jadącego w pierwszym szeregu, i kazał przyprowadzić konia. Dano mi nawet mundur, bo byłem okropnie obdarty. Wyobraźcie sobie waszego kolegę boso, na koniu, w mundurze długim do pięt i w białym kasku. Kask przydał się bardzo, bo choć teraz zima, słońce dogrzewa chwilami silnie.

Dziwne jest serce ludzkie! Zawsze czegoś żałować musi. Mnie żal było Samby... Dzieciak patrzył za mną smutnemi oczyma... Biedny Sambo!...

Pożegnałem starą Beczuankę, pocałowałem czarnego kociaka, który krzyczał na cały głos „mama“ i wyciągał do mnie rączki. Nie mogłem tylko pożegnać Moopy, gdyż pomimo podeszłych lat poprowadził on swoich towarzyszy na daleką w głąb kraju wyprawę. Temu zawdzięczam zapewne, że nikt nie opierał się memu wyjazdowi, ani nie żądał okupu za jeńca.

Oddział angielski ruszył w stronę Lichtenburga. Dowódzca pozwolił mi jechać obok siebie. Rozmawialiśmy coraz swobodniej o zwyczajach i różnych miastach europejskich, zwłaszcza o włoskich; znałem je, podróżując z chorą mamą. Podziwiałem niezmierny wdzięk Anglika. Powiedział mi, że nazywa się John Huntley.

Mieliśmy więc obaj jedno imię, ale on był synem lorda, a lord angielski znaczy mniej więcej tyle, co król małego niemieckiego państewka. Starszy brat Johna Huntleya mieszka w pięknym, starożytnym zamku i jest dziedzicem olbrzymiego majątku, sam zaś John nie posiada żadnych przywilei i musi własną zasługą dobijać się stanowiska.

W Anglii istnieje prawo, mocą którego najstarszy syn lorda zostaje właścicielem rodzicielskiej fortuny i tytułu, młodsi zaś w nauce lub w wojsku szukają sławy

i chleba. Sir John ma matkę, która go niezmiernie kocha i z wielkim niepokojem czeka powrotu syna. Jestem pewny, że moja mama kochałaby także więcej syna ubogiego, niż syna lorda, któremu nie grozi żadne niebezpieczeństwo w jego warownym zamku. Biedna lady Huntley! jak ona tęsknić musi!... tem więcej, że jest wdową. Ojciec sir Johna dawno już nie żyje, on też rozumie dobrze moje uczucia i obiecał mi swą pomoc w odszukaniu tatki.

Rozmawialiśmy potem o wojnie. Widziałem, że młody huzar, chociaż jest Anglikiem, współczuje Burom i niechętnie mówi o ich klęskach. Podziwiał nawet odwagę i wytrwałość Holendrów. Wiem od sir Johna, że 7 maja zwołał prezydent Krüger zgromadzenie narodowe, czyli tak zwany Volksrad, do Pretoryi. Jakże wzruszającym musiał być widok zebrania, które obradowało nad obroną kraju w chwili, kiedy marszałek Roberts zajmował jedną stolicę za drugą! Bloemfontain, Johannesburg, a teraz już i Pretorya jest zapewne w rękach angielskich. Wszyscy żyjący posłowie przybyli jednak na wezwanie Krügera. Byli między zebranymi i ranni w ostatnich potyczkach.

Tylko fotel generała Jouberta stał próżny, i wieniec laurowy związany czarnemi wstążkami oznaczał miejsce, gdzie zasiadał do narady nad dobrem ojczyzny stary lew transwaalski, bohater z pod Majuby!

Czyż potrzebuję dodawać, że Volksrad postanowił bronić się do upadłego przeciw tysiąckroć liczniejszemu nieprzyjacielowi? Burowie nie myślą wcale składać broni, a górzyste położenie Transwaalu ułatwi im walkę o każdą piędź ziemi. Potworzyło się też mnóstwo małych oddziałów i te trapią Anglików, napadając na nich niespodziewanie.

Zwłaszcza de Vett, dowódzca burski, jest mistrzem w wojnie partyzanckiej, umie spaść na kark Anglikom w chwili, kiedy się najmniej tego spodziéwają.



ODDZIAŁ OCHOTNIKÓW THERONA

Wszystkich tych szczegółów dowiedziałem się z gazet, pożyczonych mi przez sir Johna. Polubiłem go szczerze i rozmawialiśmy coraz swobodniej. Konwój prowadził z sobą armaty, był więc czas zaprzyjaźnić się, bo jechaliśmy bardzo wolno.

Jutro wyruszamy stąd po dwudniowym odpoczynku. Jedziemy wprost do Johannesburga, a na tę myśl, koledzy, serce waszego Janka bije przyśpieszonem tętnem.

Każda chwila zbliża mnie do miejsca, gdzie żyłem z ojcem, gdzie on czeka może na syna...

Johannesburg, 6 lipca.

Znalazłem list zaczęty w Lichtenburgu a pisany na papierze, który dał mi sir John.

Ach, jakże mi żal! jak żal tego biednego sir Johna! Ileż przeżyłem wrażeń w ciągu ostatniego miesiąca!

Wyjechawszy z Lichtenburga, wjechaliśmy w góry, których dalsze pasmo nosi nazwę Witwatersrandu, a dochodzi aż do Johannesburga. Wachmistrz, stary i doświadczony żołnierz, radził wielką ostrożność, ale młodemu Johnowi przykrzyła się nieustanna uwaga i baczność, z jaką należało postępować w dzikiej, przez Burów zamieszkałej okolicy.

Przebywaliśmy głęboki wąwóz. Nagle padł z góry strzał i artylerzysta, prowadzący pierwszą armatę, zwalił się z konia na ziemię.

Nie było można cofnąć dział, należało zatem uciekać co prędzej z pułapki, bo ukryci w skałach Burowie brali nas na cel. Padł wachmistrz, padła cała obsługa armat.

Oglądam się na sir Johna. Zawrócił konia w jar, chcąc przyśpieszyć ucieczkę wozów artyleryjskich. Zadrżałem... widzę, że rozkrzyżował ręce, że zachwiał się na siodle... Padł jeszcze jeden strzał... i młody wojak leżał już na ziemi!...

Przybiegłem do niego. Żył, ale krew szeroką strugą płynęła z piersi żołnierza.

— Boże, zbaw duszę moją — mówił martwiejącemi usty, a poznawszy mnie, dodał: — Odeślij listy matce! — i zamknął na wieki oczy... te dobre, łagodne oczy, w których było tyle współczucia, kiedy rozmawialiśmy o ofiarach wojny...

Klęczałem przy zabitym i podtrzymywałem jego głowę, bo choć chłód śmierci owiał już szlachetne czoło młodego rycerza, mnie się zdawało, że on żyć musi dla matki, dla Anglii, którą tak kochał!...

Żołnierze biegali koło mnie jak spłoszone stado owiec, a raczej jak myszy złapane w pułapkę. Nie dziwcie się im, koledzy: okropnie jest ginąć na dnie wąwozu, nie wiedząc czyja ręka zadała śmierć, gdzie szukać nieprzyjaciela. Bo jakże walczyć z ukrytymi na skałach Burami?

Strzelanina trwała jeszcze kilka minut. Byliśmy zdani na łaskę wroga, nie mogąc uprowadzić armat, gdyż zabito nam wszystkie konie zaprzęgowe. Na szczęście Holendrzy niewiele dbali o rozbrojonego niewolnika, który dla partyzantów byłby tylko niepotrzebnym ciężarem.

Przestałem trzeźwić sir Johna, bo przekonałem się, niestety, że moje zabiegi są daremne. Chciałem przynajmniej spełnić ostatnią jego wolę i odpiąłem właśnie mundur zabitego, żeby wyjąć listy, o których wspominał, kiedy odepchnął mnie jakiś młodziutki Bur.

Sądził, że rabuję i obdzieram trupa.

— Tomie!—zawołałem—nie poznajesz Johanna?

Tak, to był Tom, Tom Rassemus, ten sam, który uczył mnie polować, kiedy po odjeździe ojca zostałem sam w fermie orańskiej. Jakże miał mnie poznać! Toż urosłem, zmężniałem i miałem na sobie mundur huzara angielskiego. Zapytałem go o babkę, o ojca, o brata.

— Jeden tylko Jakóbek żyje—odpowiedział, odwracając głowę, żeby ukryć wzruszenie.—Anglicy spalili na-

szą fermę, babkę przywaliła płonąca belka, kiedy chciała ratować ojca, bo ranny ukrywał się na strychu. Nie uratowała—dodał, a łzy płynęły mu po twarzy—umarł. Jakóbek i ja pomścimy jego śmierć.

— Tak, tylu starszych Burów poległo, że dzieci teraz bronią ojczyzny... Biedny Tom, biedny sir John! — myślałem. Ale nie było czasu na bolesne zwierzenia. Daniel Theron, dowódzca partyzantów, naglił o pośpiech. Nakryłem zabitego gałązkami akacyi, żeby komary nie obsiadały pięknej jego twarzy.

Czerwony mundur huzarski świecił zdala jak mak polny, i jak podcięty kosą kwiat leżał też ten młody, śliczny, wykwintny panicz, zdala od swoich, na dnie wąwozu afrykańskiego. Znalazł w nim grób. Nieszczęsna ofiara wojny!

Oddział Therona, w którym służył Tom Rassemus, musiał pozostać w górach Witwaterskich. Pilnował przesmyków, przez które miało ciągnąć wojsko angielskie, wracające z pod Mafekingu. Mnie pozwolono iść do Johannesburga, bo Tom zaręczył, że nie zdradzę przed nieprzyjacielem tajemnic obozu holenderskiego. Uścisnęliśmy sobie ręce na pożegnanie i pojechałem. Ale trzy dni tylko cieszyłem się wierzchowcem, ofiarowanym mi przez sir Johna, gdyż odebrali mi konia Burowie, uciekający przed Anglikami. Nakarmili mię za to przynajmniej do syta i dali nawet suszonego mięsa na drogę.

Szedłem więc naprzód, kierując się wciąż na wschód. Nogi moje nie były już spuchnięte, ale głód dokuczał okropnie. Wiem teraz, koledzy, że liście akacyi są mdłe, a wiem także, że łodyga kaktusa jest cierpką. Raz udało mi się złapać zwierzątko, podobne do szczura. Zjadłem je i wierzajcie, że było wyborne. Znalazłem też kilka gniazd z jajami ptaków i te mnie trochę pokrzepiły.

Cóż znaczą jednak trudy i głód wobec nadziei odnalezienia ojca! Patrzyłem z ufnością w niebo podczas

długich zimowych nocy. Szakale i hyeny straszyły mnie swojem wyciem, ale na horyzoncie błyszczał wspaniały gwiazdozbiór krzyża południowego. Czułem opiekę wszechmocnego Ojca, tego Ojca, który karmi ptaki powietrzne i odziewa lilie polne...

O dwie mile od Johannesburga dogonił mnie wóz pocztowy. Byłem tak zmęczony, że nie mogąc mówić, wyciągnąłem tylko ręce do woźnicy i ten dobry człowiek ulitował się nad włóczęgą. On to przywiózł mnie dziś do miasta, poczęstował własną kolacyą i pozwolił przenocować w swojej izdebce. Jest już zbyt późno, aby wyjść na ulicę, po której chodzą patrole. Spełniam tymczasem wolę sir Johna Huntleya. Zapieczętowałem jego listy; poczciwy gospodarz obiecał zabrać je jutro. Na opłacenie porta dam mu srebrną tabakierkę, znalezioną w kieszeni siodła angielskiego... Jechałem na niem z sir Johnem. Biedny sir John! on nigdy nie zobaczy matki, a ja jutro...

Nie mogę pisać o tem, lecz wciąż myślę, że tatko, że Robert, że Mina...

Już trzecia godzina wydzwoniła na zegarze ratuszowym. Znam jego głos... Boże! tatko może także słucha uderzeń zegara, jak ja ich słucham. Kiedy o tem myślę, pot oblewa mi czoło... Trzeba jednak być rozsądnym. Spróbuję przespać się trochę, żeby nie wyglądać bardzo mizernie i nie zmartwić kochanego ojca.

Dobranoc, koledzy!

Johannesburg, 7 lipca 1900 r.

Mój Boże! Jak pomyślę, że wczoraj o tym czasie miałem nadzieję uściskania ojca, a dziś... Byłbym bez chleba, gdyby nie poczciwy murzyn Mungo!

Czy przypominacie sobie, koledzy, kucharza Mungę, który służył u nas przed rozpoczęciem wojny? Jemu zawdzięczam, że nie jestem głodny i że spać będę pod dachem.

Lichy to dach. Mungo mieszka w szałasie, skleconym z chróstu i z starych desek. Zbudował szałas w ogrodzie pana Burnsa, w tym ogrodzie dawniej tak starannie utrzymanym, a dziś opuszczonym. A sam pan Burns...

Będę się starał opowiedzieć porządnie wrażenia całego dnia. To mi ulży. Przytem wieczory są teraz takie długie. Poczciwy Mungo chrapie już po całodziennej pracy. Ja spać nie mogę, ale mogę pisać, bo mam świecę, papier i pióro. Kupiłem to wszystko za pieniądze Murzyna. Sam ofiarował mi pożyczkę i wziąłem od niego 10 pensów. Jutro postaram się o zarobek, więc oddam dług, a jednak ciąży mi on na sumieniu, bo nigdy dotąd nie pożyczałem pieniędzy. Myśl o zaciągniętym długu przeszkadza mi w pisaniu. Gdybym tak przypadkiem umarł tej nocy? Nie, nie pożyczę już nigdy nic od nikogo.

Ale wracam do swego opowiadania. Kiedy wyszedłem dziś rano na miasto, uderzył mnie widok zmian, jakie tu zaszły od czasu, gdy wyjechaliśmy z Johannesburga. Wtedy, z obawy przed wojną, kupcy osłaniali sklepy blachami, palisadami otaczano domy, restauracye były zamknięte. Teraz miasto jest znowu spokojne, bo Anglicy są panami w Transwaalu, ale miasto to wygląda jak wymarłe. Tylko w restauracyach gwarno od przechwałek i głośnych rozmów, od strzelających korków szampana. Wojsko angielskie, dumne z odniesionych tryumfów, ucztuje i przepija złoto zdobyte na wojnie. Tam się lała krew, tu wino...

A krew leje się i teraz jeszcze, bo Burowie nie dali za wygraną. Napróżno wyglądali pomocy od innych państw. Nie pośpieszyły z nią nawet Stany Zjednoczone, chociaż przed stu laty Ameryka także walczyła o niezawisłość z Anglią.

Burów nie widać też wcale na ulicach Johannesburga. nikły szare bluzy i okrągłe kapelusze. Zato

krąży po mieście mnóstwo czerwonych mundurów angielskich. Mnie przypominają one sir Johna Huntleya i jego matkę... Cóż ofiarom niesprawiedliwej wojny z tryumfów? Jest też w Johannesburgu znów dużo cudzoziemców i dużo Murzynów, a trzeba przyznać, że dla tych ostatnich Anglicy są sprawiedliwsi, niż Holendrzy.

Dążyłem na Commissioner Street. Tam mieszkał pan Burns. Jeśli ojciec odebrał list mój pisany w Emaus, jeśli odczytał słowa nakreślone mlekiem, to zgłosił się naturalnie po mnie na Commissioner Street i zapewne zamieszkał w domu Burnsów, czekając, aż powrócę. Upłynęło wprawdzie od tego czasu przeszło trzy miesiące...

— Tak, zastanę tatkę u Burnsów, zobaczę go może w oknie... A może siedzi w ogródku i pije kawę—myślałem, biegnąc coraz prędzej. Zdaleka już dojrzałem czerwony dach willi, w oknie jednak nie zobaczyłem nikogo. Ogródek porósł zielskiem: ani śladu róż, których tam bywało tak wiele...

Nie o różach przecież myślałem w tej chwili. Dopadłem do drzwi domu. Były zamknięte. Napróżno poruszałem klamką, nikt nie odpowiadał na stukanie...

Bez tchu, przerażony pustką mieszkania, w którem spodziewałem się znaleźć ojca, zbiegłem ze schodów, prowadzących na werandę. Brama ogrodu była zamknięta, ale brakowało sztachet w parkanie, przeszedłem więc przez dziurę, obiegłem dom dokoła i schwyciłem za klamkę kuchni. Stała otwarta, lecz pusta... Pustka również w pokoju jadalnym, w którym dawniej zgromadzała się cała rodzina pana Burnsa. Dopiero w przyległym gabinecie usłyszałem kaszel. Uchyliłem drzwi i w tej chwili zapomniałem o ojcu. To, co ujrzałem, nauczyło mnie rozumieć, że są cierpienia sroższe od najcięższych własnych cierpień.

Na fotelu siedział starzec. Z trudnością poznałem dawnego naszego gospodarza. Miał odcięte obie stopy, a umysł wstrząśnięty okropnemi nieszczęściami jedno tylko



NAD MODERĄ;
BITWA W KTÓREJ PIETER BURUS BYŁ RANNY W NOGI TAK NIESZCZĘŚLIWIE, ŻE ODJĄĆ MU JE MUSIANO

pojmował: upadek Transwaalu. Trzymał w ręku kordelas i uderzał nim w stół, powtarzając bezustannie:—Bij Anglika! bij Anglika!

Nie poznał mnie. Nie zwrócił uwagi na wchodzącego. Zapamiętałość jego rosła z każdą chwilą, ale brakło mu sił i upadł na poduszkę fotelu.

Krzyknąłem, bo myślałem, że umarł, tak był blady. Krzyk mój sprowadził do gabinetu panią Kety Burnsową. Od niej dowiedziałem się, że nieszczęśliwy jej teść miał amputowane nogi i że stracił w wojnie wszystkich synów, prócz Roberta, który jest w oddziale generała Dewetta. Pani Kety owdowiała. Mąż jej poległ, jak inni Burnsowie... Jest sama na świecie i pielęgnuje teścia.

— Sama? A gdzież Wilhelmina? — zapytałem.

— Wilhelminę odesłałam do ciotki — odpowiedziała niechętnie.

Stałem skamieniały.

— Czyż może tyle nieszczęść spaść na jedną rodzinę? — zawołałem przerażony.

Pani Kety uśmiechnęła się gorzko.

— Znajdziesz tysiące takich rodzin — odpowiedziała i poszła do kuchni przygotować śniadanie. Widziałem, że sama rozpala ogień. Zapytałem, dlaczego nie ma służącej.

Znów ten sam bolesny uśmiech wystąpił na bladę jej usta.

— Nie mam czem płacić służącej, Johnie. Zły człowiek zdradził nas, powiedział Anglikom, że przechowujemy w piwnicach broń. Zrewidowano dom i znaleziono kilka tysięcy karabinów. Musieliśmy zapłacić kontrybucyę. Poszła na nią wszystka gotówka. Mieszkanie, które zajmowaliście, stoi próżne. Jest ich tyle próżnych w Johannesburgu. Nasi walczą, a Anglika żaden Bur nie wpuści do domu. Nikt więc nie najmuje, nikt też nie płaci. Żywię teścia i siebie, sprzedając meble lub garderobę. Ale kto dziś chce co kupować?

Ścisnęło mi się serce. Zapytałem nieśmiało.

— Dlaczego pani pozwala, aby pan Burns bawił się kordelasem? Może skaleczyć rękę.

— Ty, Johnie, nazywasz to zabawą? — zawołała z goryczą. Mój teść trzy razy treckował, uchodząc przed Anglikami. Burowie nie mają już gdzie mieszkać, muszą zginąć lub poddać się. On nic nie rozumie: stracił zmysły, zobaczywszy Johannesburg zajęty przez nieprzyjaciół. Zresztą kordelas jest tępy. Teściowi się zdaje, że walczy jeszcze. To go uspokaja — dodała, ocierając łzy.

Z gabinetu dochodziły jednostajne, miarowe uderzenia kordelasu i ten sam straszny krzyk...

Chciałem uciec, nie wspomniawszy nawet o ojcu. Pani Kety była tak dobrą, że sama zapytała mnie o niego. Cóż mogłem jej powiedzieć? Toż spodziewałem się ujrzeć go tu, lub przynajmniej dowiedzieć się, dokąd mam się udać sierota...

Sierota? Czyż wolno mi myśleć o sobie wobec tylu nieszczęść? Pomogłem pani Kety w rozpaleniu ognia, a gdy wyszła na chwilę, zamiotłem za nią kuchnię i uciekłem. Nie chciałem, aby dzieliła się ze mną kawą: było jej tak mało w imbryczku!

Dzień zeszedł mi na błądzeniu po Johannesburgu. Znałem tu każdy dom, każdy sklep. Nie zmieniły się mury, ale zmienili się ludzie. Inni jacyś są, podejrzliwi, gorsi... To, co było lepszego, zginęło lub ukryło się przed okiem ludzkiem, a wyszło na jaw wiele podłości, jak wychodzą gady ze zgniłej wody. Spotykałem co krok handlarzy, sprzedających kosztowne sprzęty, garderobę, broń. Były to rzeczy ludzi, którzy śpią teraz w nieznanych mogiłach.

Zrobiło mi się okropnie smutno. Tatko pokazywał nam w Rzymie Panteon. W Panteonach grzebią ciała ludzi zasłużonych, ale kto postawi Panteon dla takich ofiar, jak synowie Burnsa? Tysiące myśli snuło mi się po głowie, a z przyzwyczajenia wracałem wciąż przed dom, w którym spodziewałem się zastać ojca.

Zmęczenie i głód odebrały mi siły. Nie zastanawiałem się już teraz nad niczem. Osłabiony, nie mogłem sobie przypomnieć chwilami, po co jestem w Johannesburgu. Byłbym upadł, ale schwyciłem się za mur i usiadłem przed furtką ogrodu pana Burnsa. Jak długo tam odpoczywałem — nie pamiętam. Wiem tylko, że trącił mnie ktoś nogą i że noga ta była bosa, czarna...

— Mungo! — zawołałem, odzyskując nagle siły.

— Master John! master John! — krzyczał poczciwy nasz kucharz, śmiejąc się i tańcząc z radości.

Mnie nie było do śmiechu, a jednak na widok znajomej twarzy tańczyłbym może także, gdyby nie głód. Nogi zachwiały się pode mną. Murzyn patrzył zdziwiony, bo z trudnością szedłem obok niego.

— Master John brzydko, master John pfe, nie pić zoopii, nie, nie, nie! Tatko bić master John — powiedział, trzęsąc głową z politowaniem.

Czy rozumiecie, koledzy? Mungo, widząc, że chwieję się na nogach, posądził mnie o pijaństwo. Wytłomaczyłem mu, że głód był przyczyną niepewnego chodu.

— Biedny master! — krzyknął przerażony. — Mungo pies, Mungo bić siebie, Mungo dać jeść Master John.

I płacząc ze skruchy, a także z żalu nade mną, wyjął garść gotowanej kukurydzy, którą miał napełnione kieszenie spodni, i podał mi ją skwapliwie.

Mungo jest chrześcijaninem, nosi więc bawełniany garnitur, jaki noszą wszyscy służący Kafrowie w Johannesburgu. Kieszeń i ręka Murzyna nie były zapewne tak czyste, jak półmisek porcelanowy, mogę wam jednak zaręczyć, koledzy, że zjadłem kukurydzę z najlepszym apetytem. Mungo zabrał mnie potem do szałasu, który on z dumą nazywa *swoim domem*, bo wystawił go sam z desek i chróstu, żeby pilnować w nocy ogrodu pani Burnsowej. Oddaje on jej różne przysługi, a podejrzywam, że nieraz nawet pożycza pieniędzy, bo gotuje obiady u pułkownika Ryszarda Colena, a Anglik płaci go i żywi do-

brze. Miałem tego dowód, zajadając resztki wybornego pasztetu londyńskiego. Takiego Mungo nie potrafiłby z pewnością przyrządzić, chociaż mówi, że tatko nauczył go wielu sekretów kucharskich.

Pasztet wrócił mi siły. Z siłami przyszła i energia, zaczynam więc zastanawiać się nad tem, jak zarobić sobie na życie i jak odszukać ojca. Mungo mówi, że o zarobek teraz bardzo łatwo. Anglicy potrzebują dużo ludzi, a wielki ich brak. Jutro zaraz pójdę do redacyi, w której mnie znają. Może znajdę tam pracę.

— Master wziąć pieniędzy, master kupić czapka, majtka, buta. Master pfe boso, Mungo boso! — wołał poczciwy Murzyn, wtykając mi w rękę sztukę złota i oglądając z oznakami wstrętu moje podarte ubranie. Tom Rassemus dał mi kurtkę zabitego Bura, wstydząc się na przyjacielu munduru angielskiego; ale chociaż kurtka była jeszcze dość porządna, brak butów i podarte spodnie mogły istotnie zrazić redaktora do bosego obdartusa. Nie przyjąłem tak wielkiej pożyczki; żeby jednak nie obrazić dobrego Murzyna, wziąłem od niego 10 pensów i za te pieniądze kupiłem świecę, papier, pióro i atrament.

Mungo pobiegł gotować kolacyę swemu pułkownikowi i przy tej sposobności opowiedział mu moje przygody. Sir Ryszard radzi, abym postarał się o widzenie z marszałkiem Robertsem, który za dwa tygodnie przybędzie do Johannesburga. Naczelny wódz może najprędzej dać mi objaśnienie, gdzie się teraz znajduje szpital polowy, który w lutym stał w Bloys-farm nad rzeką Tugielą. W szpitalu tym został mój drogi ojciec.

Tak zeszedł mi pierwszy dzień pobytu w Johannesburgu. Rozpoczynałem go z nadzieją zobaczenia ojca, kończę zaś w szałasie starego Murzyna, który pożywił mnie, przygarnął i oddał własne posłanie, a raczej własną derkę. Noce teraz chłodne i derka bardzo się przyda. Smutno mi... Ale czyż mam prawo wątpić o miłosier-

dziu Bożem? Rzucony na łaskę losu, mogłem zginąć sto razy, a Opatrzność ratowała mnie zawsze w przygodach.

Mówię codzień psalm Dawida, tak pięknie tłomaczony przez Jana Kochanowskiego: „Kto się w opiekę odda Panu swemu.“ Psalmu tego nauczyła mnie mama. Ona także czuwa nad sierotą...

Sieroctwo, samotność, tęsknota, to widać dobrzy profesorowie, bo nie uwierzycie, koledzy, jak łatwo mi teraz przychodzi pisanie dziennika. Dawniej przykrzyłem sobie ćwiczenia, a teraz czasem, dziś naprzykład, bazgrałbym całą noc, chociaż rozum każe iść spać, bo na wieży ratuszowej wybiła 12. Dobranoc, koledzy! „W cieniu swych skrzydeł zachowa cię wiecznie, pod Jego póry uleżysz bezpiecznie.“ Zasypiam...

8 lipca, 4 rano.

Brrr! A to doznałem strachu. Brrr! Gdy o tem pomyślę!... Czyż mogę nie myśleć, kiedy czuję jeszcze chłodne, ślizkie ciało gadu na mojej nodze. Brrr! obrzydliwość!

— „Pod Jego póry uleżysz bezpiecznie“ — myślałem, zasypiając i uleżałem bezpiecznie, a mogłem już nie żyć. Kto byłby wtedy oddał Murzynowi jego 10 pensów?

Aha, to prawda, że nigdy pożyczać nie trzeba. Ale posłuchajcie, jak to było. Zgasiłem świecę i położyłem się na kupie suchych liści przygotowanych mi przez Mungę. Noc była zimna. Czułem chłód mimo derki, którą się okryłem. Nie mogłem usnąć. Za dużo doznałem wrażeń, a może pasztet angielski był za mało strawny na mój wygłodzony żołądek.

Brrr! ten wąż! ten wąż!

Nie mogłem więc usnąć. W szałasie było zupełnie widno, bo księżyc przeświecał przez szczeliny desek. Nagle zaszeleściał chróst nad moją głową. W powietrzu zawisła jakaś czarna, okrągła, długa smuga. Chwiała się, jak gdyby poruszał nią wiatr. Co to być może? Czy to

bat, lina, sznur? Czy może przebić mnie ktoś chce dzidą? Nie, to coś straszniejszego...

To był wąż! Jadowity Cobra. Zawisł nade mną i kołysał zwolna grube swe cielsko. Wybierał miejsce, gdzie się ma rzucić... Mungo chrapał, jak tylko Murzyn chrapać przez sen potrafi, a mnie kostniały członki, śmiertelny pot oblewał czoło... Tymczasem wąż zakołysał się raz jeszcze, skurczył cielsko, potem wyciągnął je całą długością i spadł na moje posłanie. Czuję dotąd jego ślizkie dotknięcie. Zwabiony ciepłem derki popełznął na nią i zwinął się w kłębek.

Wstrzymałem oddech. Wiedziałem, że najmniejsze poruszenie zgubi mnie... Strach odbierał mi przytomność, a tu należało coś radzić, radzić natychmiast. Jeszcze chwila a mogło już być za późno.

„Pod Jego pióry uleżysz bezpiecznie"—mówiłem drżącemi ustami i wiara, że Bóg nie zawodzi ufających Mu szczerze, dodała mi odwagi. Prędzej, niż wypowiedzieć zdołam, prędzej chyba, niż myśl, schwyciłem brzeg derki, osłaniającej moje ramiona, nakryłem kołdrą węża i zawinąwszy go w nią, cisnąłem cały pakiet w głąb szałasu.

— Mungo! Mungo! — krzyczałem co sił w piersiach.

Ale Mungo chrapał. Porwałem kij, leżący obok jego posłania, i zacząłem bić nim po derce. Derka wzdymała się. Gad podnosił ją swem obrzydliwem cielskiem. Próbował wypełznąć z pod kołdry.

Wąż Cobra jest jadowitym i bardzo niebezpiecznym gadem, łatwo jednak można przetrącić mu kręgosłup. Zabicie więc potwora nie należy do prac Herkulesowych i nie mam się co chwalić tem zwycięstwem. Ja się też nie chwalę, koledzy, tylko siadłem pisać do was, bo za nic nie zmrużyłbym dziś oka. Wiatr szeleści, poruszając gałązki chróstu, a mnie się zdaje, że to węże spuszczają swe olbrzymie cielska przez szczeliny desek. Jakie szczęście, że mam świecę. A już też i słońce wejdzie niedługo.

8 lipca 1900 r.

Wczoraj marszałek Roberts zajął Pretoryę. Burowie nie stawili oporu, jak wprzód nie bronili Johannesburga. Mówią oni, że zajęcie stolic nic nie znaczy dla kraju rolniczego, gdzie rodziny wystarczają sobie własnym przemysłem.

— Transwaal jest w każdej fermie—powiedział prezydent Krüger. Burowie rozumieją to doskonale. Póki jeden Bur żyje, póty Anglik czuwać musi. Przekonałem się dziś w redakcyi, że Anglicy mają, mimo zwycięstw, porządnego stracha.

Bo właśnie wracam z redakcyi. Aż się wstydzę, koledzy, napisać wam, jaki spotkał mnie zaszczyt. Chodziłem najprzód ofiarować swoje usługi Kuryerowi Johannesburskiemu. Pamiętacie może, że roznosiłem go przeszłego roku, kiedy zaczęła się wojna. Ale zastałem lokal zamknięty, bo gazeta holenderska przestała wychodzić. Musiałaby ulegać cenzurze angielskiej... Prezydent Krüger, który jest teraz w Barbertonie, wydaje krótkie buletyny o wojnie, lub odezwy, zachęcające do obrony kraju, i pisma te są rozchwytywane przez Burów.

Nie mogąc służyć Holendrom, postanowiłem szukać zarobku u Anglików, tembardziej, że znam ten język daleko lepiej. Udałem się więc do redakcyi dziennnika Standard and Diggers's News, w którym kiedyś tatko umieszczał ogłoszenia, dotyczące banku. Chciałem bądź co bądź znaleźć zarobek, żeby nie korzystać, jak darmozjad, z wspaniałomyślności Mungi i z okruchów stołu pana pułkownika Ryszarda Colena.

Aż zarumieniłem się na tę myśl. Wolę już szczerze opowiedzieć, jakim sposobem zarabiam na chleb. W redakcyi rwetes, bieganina, gwałt z powodu nadmiaru pracy, a braku ludzi. Przyjęto mnie też z otwartemi rękami za roznosiciela, chociaż roznosiciel był bosy.

Jeden z panów, siedzących przy biurku, przypatry-

wał mi się uważnie, potem wstał, podszedł do mnie i zapytał po angielsku:

— Umiesz pisać ortograficznie?

Zawstydziłem się. Cóżby powiedział kochany tatko? Jego syn wygląda na takiego, który pisać nie umie! Byłem podobniejszy do włóczęgi, niż do literata, mogłem jednak śmiało zapewnić pana Anglika, że ortografię znam dobrze.

— Przepisz ten ustęp — powiedział nieznajomy, wskazując mi papier, leżący na biurku.

Przepisałem, nie chwaląc się, czysto i porządnie.

— Dziś będziesz adresował koperty. Zapłacę ci za to szylinga. Jeśli okażesz się pilnym, użyję cię do układania działu anonsów z pensyą 20 szylingów tygodniowo. Czy dobrze?

Czy dobrze? Pyszny facet! Toż mało nie oszalałem z radości. Mogę teraz czekać na przyjazd marszałka Robertsa, bo będę miał za co kupić sobie chleba, a potem nawet buty. Chciałbym także bardzo pomódz pani Kety Burnsowej. Byłem u niej dziś rano. Jest jakaś dziwnie roztargniona. Namyślała się długo, i nagle zapytała mnie, gdzie spędziłem noc. Opowiedziałem jej przygodę z wężem.

— Możesz, Johnie, zająć dawny pokój tatki, chociaż... — dodała po chwili, jakby wahając się, ale ja skwapliwie przyjąłem jej propozycyę. Pomyślcie, koledzy, co to za szczęście! Nie będę się już obawiał wężów. Zająłem zaraz nowy lokal i piszę do was na stole, przy którym odrabiałem lekcye z tatką. Obicie jest także toż samo, zielone z ciemnymi szlakami. Jakże mi miło patrzeć na nie... Drogi, kochany tatko!

Chciałem, żeby Mungo sypiał ze mną, ale odmówił, trzęsąc głową i wskazując na szałas, jakby to był pałac.

— Mungo tu spać. Mungo zabić węża! Mungo swój dom!

Dom... Wszakże to buda z desek. Prawda, ale jego własna. Rozumiem Mungę.

19 lipca.

Ręka drętwieje mi od pisania w redakcyi, dlatego rzadko zaglądam do dziennika. Wolę inną robotę: rąbię drzewo dla pani Kety lub wożę w wózku biednego pana Burnsa. Próbowałem rozmawiać z nim, ale zajęty jedną myślą, nie odpowiada na pytania. Już to mogę teraz zapomnieć mówić. W redakcyi trzeba pracować bez ustanku, a w domu niema z kim zamienić słowa. Mungo cały dzień u swego pułkownika na służbie, a pani Kety...

Przykro mi to napisać, ale boli mnie czasem jej obejście. Jest okropnie nieszczęśliwa, rozumiem to doskonale. Ależ i ja sierota bez...

Gdyby więc pani Kety chciała czasem porozmawiać ze mną o Robercie, o Minie... Wyraźnie jednak unika wszelkich zwierzeń. Czyżby nie odbierała wiadomości od szwagra? Nie wie może nawet, że biłem się za jej ojczyznę. Ja sam opowiadać o sobie nie chcę, a czasem mi się zdaje, że ona mi nie dowierza.

Próbowałem udzielać jej wiadomości zasłyszanych w redakcyi, ale odeszła, udając, że musi śpieszyć do kuchni. Nie gotowała jednak tego dnia nic wcale. Obiad składał się tylko z chleba i suszonych bananów. Biedna pani Kety!

Wiadomości z pola bitwy mogłyby ją pocieszyć. Anglicy zmartwieni, bo Burowie napadli na generała Huttona. Oskubano porządnie nieprzyjaciela, zabrano mu działa i niewolników. Jednocześnie 500 Burów przedarło się przez kordon wojsk Huntera i dotarło do Lindleyu, nasiekawszy po drodze sporo Anglików. Holendrzy dawno już nie odnieśli tyle zwycięstw. Generałowie Botha i Dewett wymykają się z pułapek, które zastawia na nich marszałek Roberts, i płatają Anglikom dzielne figle. Mungo powiedział mi z dumą, że jego ukochany master Robert jest feldkornetem Dewetta. Tyle tylko wiem o moim przyjacielu...

20 lipca.

Marszałek Roberts ma w końcu tego tygodnia przybyć do Johannesburga. Zobaczę go i dowiem się coś o moim drogim ojcu! Czekam go tak niecierpliwie!

Dostałem zaliczkę w redakcyi i kupiłem sobie nietylko buty, ale spodnie i cały garnitur bielizny.

Mungo tańczył z radości, widząc, że naciągam kamaszki. Mnie jednak największą przyjemność zrobiła nowa koszula.

Kupiłem także kawy i dosypuję ją tajemnie do puszki pani Kety. Dziwiła się dziś, czemu nie ubywa jej wcale zapasu. Ach, gdyby tylko patrzyła na mnie życzliwiej! Ja tak potrzebuję pieszczoty. Tatko mówił raz, że są ludzie, którym nieszczęście zagorycza serce. Nie rozumiem tego. Odkąd jestem pozbawiony opieki ojca, tem serdeczniej kocham was, koledzy, tem więcej pragnę, abyście byli szczęśliwi, bo wiem jak ciężko na świecie, gdy się ma ciągłą troskę. Ale widać każdy człowiek czuje inaczej.

21 lipca.

Doznałem wielkiej radości. Na strychu leżała paczka rzeczy zostawionych przez tatkę. Poznałem kuferek i pani Kety przypomniała sobie, że ma od niego klucz. W kuferku były listy mamy, różne papiery, których nie śmiałem czytać, i książki zabrane jeszcze z Warszawy. Ach, jakże się ucieszyłem! Odnalazłem wszystkich swoich dawnych przyjaciół: Mickiewicza, Sienkiewicza, Orzeszkową!

Otworzyłem „Nad Niemnem“ i czytałem z rozkoszą to cudne opowiadanie o wsi, o żniwie, o puszczy. Zdawało mi się, że patrzę na wszystko własnemi oczami. Czytałem głośno. Upajał mnie dźwięk wymawianych słów. Miałem złudzenie, że jestem znów w kraju, z wami, koledzy, że mówicie do mnie po polsku. Od tak dawna słyszę tylko Anglików lub Holendrów...

Rozłożyłem książki na stole w swoim pokoju i już nie jestem sam. Mam wokoło przyjaciół, którzy czują, jak ja.

Johannesburg, 1 sierpnia 1900 r.

Marszałek Roberts przyjechał! Serce bije mi na myśl, że dowiem się może od niego, gdzie jest tatko.

Nigdy nie widziałem piękniejszych pułków od tych, które prowadził za sobą stary wódz. Na czele szedł szwadron dragonów, a za nim oddział tak zwanej Light Horse, kare konie, karabiny przewieszone przez ramię. Potem miarowym krokiem maszerowała piechota. Czerwone mundury piechurów wyglądały bardzo barwnie przy białych pasach i białych hełmach korkowych, które są lekkie, a wybornie chronią głowę od upału. Teraz na zakręcie ulicy ukazały się armaty, dudniąc po bruku wozami zaprzężonymi w sześć mułów i świecąc błyszczącymi dumnie napisami „Royal Artillery.“ Oficerowie artyleryi mieli przy czerwonych mundurach czarne aksamitne kołnierze. Kołnierze i wyłogi haftowane były złotem. Świeciły złocone szpice hełmów, świeciły bogate rękojeście pałaszów, nawet uprzęż koni świeciła od złoceń, a przecież artylerzyści, choć wyglądali wspaniale, nie mieli tak pięknych koni, jak huzarzy.

Lubię bardzo jeździć konno, to też patrząc na huzarów, maszerujących w szeregu, z czapkami nałożonemi na prawe ucho, zapomniałem o okropnościach wojny i myślałem, że jednak niema to, jak być żołnierzem, a zwłaszcza huzarem.

Ostatni pułk szczególny i malowniczy podobał mi się najwięcej. Byli to górale szkoccy. Pamiętam, że mama kupiła mi raz sukienkę szkocką, ale nie lubiłem jej, gdyż Antoś, znajomy z Ogrodu Saskiego, który nosił już długie spodnie, wyśmiewał kraciaste ubranie. Żałuję, że nie znałem wtedy gwardyi szkockiej: byłbym wiedział, co odpowiedzieć Antosiowi. Bo wystawcie sobie, kole-

dzy, wojsko, w którem żołnierze mają krótkie kraciaste spódnice, a oficerowie takież kraciaste szale przewieszone przez ramię. Najzabawniej zaś wyglądała muzyka tego dziwnego pułku. Muzykanci zamiast mundurów noszą kraciaste spódnice i takież kaftaniki, zamiast butów mają trzewiki z kamaszami i nagie przytem kolana, a zamiast hełmów okrągłe czapeczki, obszyte kraciastą wstążką. Końce tych wstążek spadały aż na plecy muzykantów: grali zaś oni na kobzach, których długie piszczałki przybrane były w jaskrawe kokardy.

Przyznajcie, że mogłem z podziwem przyglądać się góralom szkockim. Z podziwem, ale i z żalem. Iluż z tych biedaków zostawiło w domu żony i dzieci... Góry Transwaalu przypomniały może gwardzistom rodzinne strony.

Za muzyką jechał marszałek Roberts, otoczony sztabem. Zobaczywszy go, zapomniałem o Szkotach, przejęty tylko jedną myślą: czy zechce wysłuchać mojej prośby, czy powie mi co o ojcu?

Ach, moi kochani, może nigdy nie ścisnęło się wam tak serce, jak czułem, że ściska się moje na widok człowieka, którego słowo miało mi odebrać lub ziścić wszystkie moje nadzieje! Marszałek jest już stary, liczy 68 lat wieku. Pomimo to wygląda czerstwo i trzyma się na koniu doskonale. A koń to nielada! Złotogniadej maści, miał w oczach tyle ognia i tak niecierpliwie gryzł munsztuk, że zdawać by się mogło, iż poniesie jeźdźca poprzez ogrody johannesburskie. Jeździec jednak umiał opanować wierzchowca. Cienkie i muskularne nogi rumaka stąpały w takt muzyki Szkota.

I koń i ludzie słuchać muszą starego Roba (tak żołnierze angielscy nazywać zwykli swego wodza), bo też ten wódz strawił życie w trudach wojennych. Miał dwadzieścia pięć lat, kiedy walczył już w Indyach i odznaczył się męstwem, trzydzieści pięć, kiedy pod rozkazami generała Napiera zdobywał Abisynię. Odtąd nie złożył broni. Zwycięstwa odniesione w Azyi wyniosły go na stopień generała, a w 53-im roku życia był już głównodowodzącym w Indyach. Nie

zaznał tam nigdy spokoju, bo musiał poskramiać bunty niechętnych Anglii plemion Birmy i Madrasu.

W 60-tym roku życia złożył dowództwo, żeby wrócić do ojczyzny, ale niepowodzenia wojsk angielskich w Transwaalu skłoniły starca do nowej ciężkiej walki. Przyszedł poprawiać błędy i niedołęstwo Bullera, z którego winy stracił syna nad Tugielą. Pomścił jego śmierć przez pokonanie Croniego, zajął Bloemfontain, Johannesburg, Pretoryę... Taki to niestrudzony rycerz jechał teraz na czele zwycięskich wojsk. Całe życie oddał na usługi ojczyzny. Podziwiałem tę wytrwałość i patrzyłem z uszanowaniem na bladą, wychudłą twarz Robertsa.

Patrzących był tłum. Tłum tak dziwny, że chciałbym go odfotografować, żeby odbitkę posłać wam, koledzy. Ale czyż fotografia dałaby pojęcie o różnobarwności tego tłumu? Więcej w nim było kolorowych twarzy, niż białych. Burowie nie brali, naturalnie, udziału w uroczystości, która boleśnie raniła ich uczucia narodowe. Wyległa zato cała tutejsza czarna ludność, a składa się ona z niezliczonej ilości plemion, różnych odcieniem skóry. Widziałem nawet mieszkańców Azyi: Chińczyków, pracujących w kopalniach złota, i kupców malajskich, przybyłych dla zawiązania stosunków handlowych z Anglikami. Wyglądali wspaniale na koniach okrytych pięknymi czaprakami. Mieli głowy owinięte jaskrawymi turbanami i jaskrawe szale zamiast płaszczów.

Dla was, koledzy, każdy czarny Afrykanin zowie się poprostu i krótko Murzynem. Darujcie, jeśli zawracam wam głowę swoją znajomością stref i plemion południowych. Ale właśnie nawet ja, przyzwyczajony rozróżniać typy tutejsze, bywam zdumiony ich różnorodnością. Niby to oni wszyscy czarni, lecz jak rozmaicie czarni!

Zuluanie i Swazowie, mieszkający nad oceanem Indyjskim, mają skórę koloru palonej kawy. Są wysocy, dobrze zbudowani, a że ciało smarują tłustością, która nadaje mu połysk, więc wsparci na długich tarczach wyglądali jak spiżowe posągi. Przytem w postawie Zuluan

jest wielka godność i majestat ludzi przywykłych do rozkazywania. Nie zapomnieli, że przed 20 laty byli niepodległem, potężnem plemieniem, że w 1879 r. zadali Anglikom pod Izandulą straszną klęskę. To też Zulusa odróżnilibyście odrazu wśród gromady Kafrów, którzy od kilkuset lat znoszą jarzmo białych ludzi.

Inaczej czarni, jakby umaczani w atramencie, są Basutowie z Natalu. Niepodobni do nich ani typem, ani strojem, chociaż także czarni, są Murzyni z pokolenia Namaqua lub Griqua, niepodobna ludność kraju Matabelów, a cóż mówić o utatuowanych w różnokolorowe desenie mieszkańcach Afryki środkowej, osiadłych za rzeką Limpopo.

Wszyscy ci żółci, bronzowi, czarniejsi i mniej czarni ludzie, przypatrywali się wojskom marszałka Robertsa, maszerującym ulicami Johannesburga.

I powiem wam prawdę, koledzy, że wstyd mi było za moich europejskich braci. Misyonarze uczą pogan miłości bliźniego w imię przykładu Chrystusa, karcą plemiona dzikich, gdy te wzajemnie napadają na siebie, a teraz szły oto w tryumfie pułki białych, chlubiąc się wymordowaniem braci! Anglicy chrześcijanie zabijają chrześcijan Burów... Piękna lekcya dla pogan!

Wiele nauczyła mnie wojna, wiem, że trzeba się umieć odgryzać w walce o byt narodowy, podziwiam rycerską postać Robertsa, ale pamiętając słowa mamy, wolałbym być misyonarzem, niż Anglikiem zdobywcą.

Czytałem z tatką historyę Cyrusa, Aleksandra Wielkiego, historyę legionów rzymskich; wszyscy ci wojownicy zniknęli ze świata przeklinani przez ofiary ich podbojów, a praca misyonarzy w Emaus tysiące dusz budzi do użytecznego życia. Te dusze nawrócą innych ludzi, ci znów innych poprawią i w nieskończoność rość będzie dobre dzieło. Czyż to także nie nieśmiertelność zasługi? Wprawdzie cicha, bezimienna zasługa, ale stokroć pożyteczniejsza od nieśmiertelnej sławy wielkich wojowników.



GENERAŁ DELAREY

Ach, jabym tak pragnął, żeby wszyscy ludzie się kochali, bo być sierotą, nie pieszczonym przez nikogo, smutno, bardzo smutno...

5 sierpnia, w południe.

Dziś więc zobaczę marszałka Robertsa i przedstawię mu swoją prośbę. Napisałem ją zwięźle, czy jednak dobrze? Nie mam kogo o to zapytać. W stanowczej chwili życia chciałoby się biedz do ukochanych po radę, ale ja tutaj jestem zupełnie sam. Mungo bawi ze swoim pułkownikiem w Pretoryi, a pani Burnsowa, jakaś bardzo zakłopotana, mniej jeszcze, niż dotąd, okazuje mi zaufania.

Musi mieć nowe zmartwienie, które ukrywa nawet przede mną. Widziałem wczoraj, że schodziła ze światłem do piwnicy, a kiedy chciałem ją wyręczyć, spojrzała na mnie przykro. Czy ma jaką tajemnicę? Czy mi nie dowierza?

To pewna, że dzieje się z nią coś nadzwyczajnego. Tłomaczy źle każdy mój postępek, każdy wyraz. Widziałem wczoraj wieczorem, jak wymykał się ktoś z naszego domu. Ostrzegłem ją o tem, ale nie odpowiedziała ani słowa, była jednak niezadowolona. Czyżby biedna zdziwaczała przez nieszczęście? Żal mi jej, ale przecież musiałem ostrzedz panią domu, że z tego domu wychodzą jacyś obcy ludzie. Może złodzieje? Trudno wprawdzie okraść mieszkanie nędzarzy, lecz któż zgadnie, co zły człowiek ma na myśli? Jeżeli naprzykład chciał zabrać moje palto?... Bo muszę pochwalić się wam, koledzy, że za pieniądze zarobione w redakcyi sprawiłem sobie palto, które służy mi jako kołdra. Noce sierpniowe są zimne.

Chciałbym jeszcze kupić zegarek, chociażby najtańszy. Wielka to niewygoda nie wiedzieć godziny, zwłaszcza mając obowiązek regularnego uczęszczania do redakcyi. Ot i teraz może należy się śpieszyć, może jest

późno? O czwartej mam być w kwaterze marszałka Robertsa... Pójdę zobaczyć godzinę na wieży ratusza.

5 sierpnia, godzina 10 wieczór. W hotelu „Pod Gwiazdą".

Próbuję uporządkować doznane wrażenia. A było ich tyle dzisiaj! Najsilniejszem jednak ze wszystkich była myśl, że od mojej prośby, od mego zachowania się zależeć może powodzenie całej sprawy. Bo nuż rozgniewam generała nieostrożnem słowem i nie zechce zwrócić uwagi na los sieroty?... Pierwszy raz w życiu miałem rozmawiać z wielkim człowiekiem. Marszałek Roberts zasługuje bądź co bądź na to miano. Tylu ludzi żyje tylko, aby jeść i pić, a on strawił swoje życie, służąc krajowi.

Na kilka minut przed czwartą byłem już w przedpokoju marszałka. Wpuszczono mnie do sali, gdzie czekało dużo osób, a wszystkie trzymały w ręku prośby. Miałem i ja swoją, ale wydało mi się w tej chwili, że jest bardzo źle napisana, że trzebaby zmienić niektóre wyrażenia.

Zmartwiony siadłem na wyplatanej kanapce i badałem twarze obecnych osób.

— Czego ci ludzie żądać będą? — myślałem. — Czy marszałek znajdzie dość cierpliwości, aby wysłuchać tylu próśb?

Zegar nad drzwiami wskazywał upływające minuty. Co czuć muszą skazani na śmierć, kiedy my, oczekujący łaski, doznawaliśmy tak silnych wrażeń. W pokoju panowała zupełna cisza. Mieliśmy oczy zwrócone na wskazówkę zegara. Tykotanie wahadła odbijało się zapewne we wszystkich mózgach tak, jak ja słyszałem je w moim.

Wybiła czwarta! Do sali weszło dwóch adjutantów, za nimi marszałek. Blada jego twarz miała wyraz łagodny: zdawał się rozumieć, że czekają go tu wszyscy z niepokojem.

Niepokój ustąpił wobec dobroci starego wodza. Nie było w jego mocy uczynić zadość wszystkim żądaniom, ale chciał ulżyć doli nieszczęśliwych.

Już tylko dwie osoby oddzielały mnie od marszałka. Najmłodszy, stałem nieśmiało za drugimi. Spojrzał, potarł czoło i skinieniem ręki przywołał mnie do siebie.

— Za kim prosisz? — spytał łagodnym głosem.

— Za ojcem — odpowiedziałem, tłumiąc z trudnością łzy.

Drgnął, jakby dotknęły go moje słowa. Wyciągnął rękę po papier, który trzymałem w ręku i szepnął coś do adjutanta, ale nie oddał mu mojej prośby, chociaż robił to z innemi. Zachował ją przy sobie, słuchając skarg dwóch pozostałych w sali osób.

Stałem, nie wiedząc, co sądzić o losie mojej supliki. Pokój opróżniał się powoli z biedaków przybyłych na posłuchanie. Generał zniknął za drzwiami, a ja jeszcze nie ruszałem się z miejsca. Nagle dotknął ktoś mego ramienia.

— Chodź ze mną. Marszałek chce sam rozpatrzeć twoją sprawę — powiedział adjutant. Brzęknął ostrogami, nacisnął klamkę przyległego pokoju i cofnął się od progu.

Wszedłem do gabinetu wysłanego dywanem. Jedyny to zbytkowniejszy sprzęt w salonie wodza, inne nosiły cechę prostoty żołnierskiej. Stanąłem nieśmiało przy drzwiach, ale nie miałem czasu zdać sobie sprawy z tego, co się ze mną działo, bo w tej samej chwili wszedł marszałek i skinąwszy mi głową, zasiadł przed biurkiem.

— Jesteś cudzoziemcem, Polakiem? — zapytał, patrząc na notatkę, którą mu podałem w audyencyonalnej sali.

— Tak — odpowiedziałem nieśmiało.

— Ojciec twój 2 lutego był w obozie generała Bullera w Bloys-farm nad Tugielą?

— Tak.

— Czy ojciec twój ma więcej dzieci?

— Nie, jestem jedynakiem. Ojciec dlatego nie wrócił do kraju, żeby klimatem Transwaalu ratować mnie

od suchot, na które też umarła moja matka — powiedziałem jednym tchem. Ale kiedy podniosłem oczy na marszałka, spostrzegłem, że nie słucha mego opowiadania. Stał zapatrzony w śliczny portret młodego chłopca.

— Jesteś jedynakiem i chciałbyś wrócić do ojca—powiedział, a głos mu drżał. Byłem tak wzruszony, że upadłem przed nim na kolana.

— Ach, panie! wskaż mi, gdzie mam szukać mego ojca? Pójdę choćby na koniec świata, pójdę bosy i głodny, jak przyszedłem za nim już do Johannesburga, bylem go ujrzał, bylem mógł ucałować jego ręce!...

Szlochałem, a Roberts milczał i patrzył wciąż na portret chłopca.

Nagle przypomniałem sobie to, co wiedziałem przecież doskonale, a o czem zapomniałem wobec własnej troski. Marszałek także miał syna jedynaka, a syn ten zginął bohaterską śmiercią nad Tugielą. Dlatego smutny, dlatego zamyślony. Pełni obowiązki swoje sumiennie, jak na żołnierza przystało, ale życie jego złamane. Czyż mogłem się temu dziwić? Toż wiem, jak tatko mnie kocha. Nic nigdy nie pocieszyłoby go po mojej stracie.

— Wyślę telegram do pułkownika Wodworsta—powiedział marszałek, spojrzawszy w papiery, leżące na biurku. — On 2 lutego konsystował w Bloys-farm, powinien wiedzieć, co się stało z twoim ojcem. Za kilka dni otrzymam raport. Zostaw swój adres u oficera służbowego.

— Mieszkam na Commissioner Street Nr. 6 w domu pana Burnsa.

— Burns! Znam to nazwisko. Mówiono mi o nim już tu, w Johannesburgu.

— Burns stracił trzech synów na wojnie.

Pożałowałem swoich słów, bo generał zmarszczył brwi. Odchrząknął, jak gdyby poczuł nagle wszystką gorycz wspomnień i otworzywszy drzwi przede mną, powiedział stłumionym głosem:

— Tak, tak, na wojnie ginie dużo synów. Ty je-

dnak, chłopcze, zobaczysz swojego ojca — dodał, dając mi poznać skinieniem głowy, że rozmowa nasza skończona.

W kilka minut potem byłem znów na ulicy. Zmieszany z tłumem czarnych i białych ludzi, szedłem aleją eukaliptusów i starałem się zebrać myśli, bo audyencya moja u marszałka wydawała mi się snem.

Siadłem na ławce bezsilny, pewnie dlatego, że od rana nic nie jadłem. Stołował mnie dotąd stróż w redakcyi, ale dziś zapomniałem o obiedzie wobec spodziewanego posłuchania. Nie myślałem o posiłku i teraz, kiedy zabłysła mi nadzieja zobaczenia drogiego ojca, a przytem byłem wzruszony smutkiem generała, którego oczy, utkwione w portret syna, miałem ciągle w pamięci.

O jakże zwodnicze są pozory szczęścia! Widziałem przed kilku dniami Robertsa, wjeżdżającego na czele zwycięskich hufców do miasta. On, którego sława rozbrzmiewa w trzech częściach świata, patrzył dziś na mnie z takim okropnym żalem! Zazdrościł może mojemu biednemu ojcu, że odzyska syna, kiedy jego własny jedynak padł przeszyty kulami. Wszyscy więc cierpieć muszą? wszędzie ból? Nietylko u zwyciężonych Burów, ale i u samych zwycięzców... Słusznie mówiła mama: — „Ocierajmy łzy bliźnim, nie wyciskajmy ich nigdy.“ Czemuż na tryumfach Robertsa cięży tyle łez?

Tak myślałem, siedząc pod eukaliptusem. Prawda, koledzy, że czasem miewam ochotę rozczulać się nad sobą. Dziś jednak przejęło mnie to powszechne prawo cierpienia. Własny mój ból zmalał. Była chwila, w której zrozumiałem uczucia ludzi, idących dobrowolnie na męki, byle wywalczyć bliźnim trochę światła i ulgi.

Ale chwile takiego uniesienia duszy są krótkie. Ściemniło się już. Głód począł mi dokuczać. Miałem na szczęście kilka pensów w kieszeni. Z kilku pensami nie można iść do porządnej restauracyi. Otworzyłem więc drzwi baru, to jest zakładu, przypominającego nasze szynki.

Nigdy nie byłem w barze. Sądziłem jednak, że można

tam dostać herbaty lub kawy. Izbę zastałem pełną. Holendrzy rozmawiali z niezwykłem u nich ożywieniem. Nagle spostrzegłem w najciemniejszym kącie pokoju Roberta Burnsa.

— Robercie! — zawołałem, a serce biło mi gwałtownie na widok przyjaciela, z którym dzieliliśmy trudy wojenne i niebezpieczeństwa niewoli.

Jestem pewny, koledzy, że to był on i że mnie poznał. A jednak nim docisnąłem się do niego, skinął na towarzysza, siedzącego przy tym samym stole, i razem zniknęli za drzwiami, prowadzącemi w głąb mieszkania.

Stałem osłupiały. Mój wykrzyk zwrócił na siebie uwagę obecnych. Szynkarz mruczał pod nosem o niepotrzebnych gościach i ofuknął mnie ostro, gdy zażądałem kawy.

— Nikt w barze nie pije kawy, tylko whisky, a takich, którzy chodzą po zakładach dla szpiegowania, może łatwo spotkać nieprzyjemność — powiedział, zmarszczywszy groźnie brwi.

Powinienem był może skarcić zuchwalstwo starego Holendra, ale straciłem głowę i wybiegłem na ulicę, nie odpowiedziawszy ani słowa. Oszołomiony tem wszystkiem, co mnie spotkało, myślałem tylko wciąż o Robercie i o niepojętem jego zachowaniu. Uciekać przede mną... kto? on, mój przyjaciel, towarzysz niedoli, prawie brat! Toż dla ratowania współwięźniów, nazwałem się w Emaus Samuelem Burnsem. A może się myliłem, może to nie był Robert? Bo dlaczegóż unikałby spotkania ze mną? Dlaczego także łajano mnie w barze, podejrzywając o jakieś złe zamiary? Burowie są podrażnieni przyjazdem marszałka, ja mówiłem po angielsku, to zapewne rozgniewało szynkarza. Ale Robert, Robert!...

Nie tu jednak koniec niespodziankom, jakie mnie dziś spotkały. Ostatnia była najmniej zrozumiałą ze wszystkich. Posłuchajcie.

Kupiłem w sklepiku chleba i wyrzekłszy się ciepłego posiłku, wracałem do domu. Jakże się ucieszyłem, zobaczywszy przed kuchnią Wilhelminę, tę Minę, do któr tęskniłem nieraz. Pani Kety utrzymywała, że Mina jest u ciotki, ale domyślałem się, że nie mówiono mi prawdy. I miałem słuszność. Coś niepojętego dziać się musiało przez ten czas z Miną, bo była czarna, do Murzynki podobna, włosy jej nawet pokrywał czarny pył, jak gdyby pracowała w kopalni węgla.

Omal nie krzyknąłem zdziwiony, widząc ją tak zmienioną. Wzruszenie odebrało mi mowę. Wyciągnąłem do Miny rękę.. ona cofnęła swoją.

Myślałem, że mnie nie poznaje, chciałem upomnieć się o prawa przyjaciela, a wtem nadeszła pani Kety.

— Mino!—zawołała, nie widząc, że stoję we drzwiach— masz tu koszyk i pieniądze, idź kup, co potrzeba na wieczerzę dla sześciu osób, a pamiętaj, żeby roast-beef by duży, bo oni jedzą dobrze.

— Oni? Kto byli oni? — myślałem zdziwiony. — Skąd pani Burnsowa ma sztukę złota?

Mina trąciła stryjenkę i ta teraz dopiero spostrzegła, że nie są same.

— Ach, to ty, Johnie! Dlaczego ukrywasz się za drzwiami? — zawołała niezadowolona. — Idź, Mino, potrzebuję się rozmówić z Johnem.

Ja także chciałem zapytać panią Kety, czy wie, że Robert jest w Johannesburgu, opowiedzieć jej o tem, co zaszło w barze. Ale nim zdołałem otworzyć usta, wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do pokoju, który zajmowałem w ich domu.

— Proszę pana... proszę cię, Johnie — dodała zmieszana — poszukaj sobie innej stancyi. Szanowaliśmy twego ojca i przez przyjaźń dla niego pozwoliłam, abyś zajął dawny wasz pokój. Ale teraz zarabiasz w redakcyi, masz więc czem zapłacić za stosowniejsze dla siebie mie-

szkanie. Książki twoje i bielizna są już spakowane. Chcę, abyś dziś jeszcze, abyś natychmiast opuścił ten dom.

Stałem oniemiały ze zdziwienia. Dlaczego? za co spotykało mnie to upokorzenie? Przyszło mi także na myśl, że zostawiłem swój adres w kwaterze generała Robertsa, że szukać mnie będą u Burnsów z wiadomością o ojcu. Powiedziałem to pani Kety.

— Tego tylko brakowało! — zawołała, a głos jej drżał od gniewu. Schwyciła moje rzeczy i nie mówiąc ani słowa, wyniosła je przed dom.

Szedłem za wdową oszołomiony niepojętem jej postępowaniem. Przez ścianę korytarza dochodził odgłos tępych uderzeń kordelasa. Słyszałem ochrypłe od zmęczenia wołanie pana Burnsa: „Bij Anglika! bij Anglika!“

Kety zatrzasnęła drzwi domu. Zostałem sam na progu, czekając napróżno, czy Mina nie przyjdzie wytłomaczyć mi okrutnego postępku stryjenki. Ale Mina znikła bez śladu. Cóż miałem robić? Zabrałem graty i udałem się do najtańszego, jaki znałem, hotelu.

Przyznajcie, koledzy, że życie moje obfituje w dziwne niespodzianki! Nie tracę jednak odwagi, ufając Bogu i opiece marszałka. Krzywda boli zawsze, ale człowiek niewinny znosi ją spokojnie. Staram się też nie myśleć o wyrządzonej mi niesprawiedliwości. Abym tylko odnalazł ojca, o resztę mniejsza. Może tatko jest niedaleko, może ujrzę go za kilka dni!

Tymczasem jutro trzeba iść do redakcyi, a wieczorem będę się starał zobaczyć adjutanta Robertsa i powiem mu, że zmieniłem mieszkanie.

Dlaczego jednak pani Burnsowa odmówiła mi schronienia? Dlaczego Robert uciekł przede mną, a Mina nie powitała towarzysza zabaw ani jednem słowem? Za co spotkała mnie ta krzywda?

Na przyszły raz opiszę wam, koledzy, moje powitanie z tatką. O, jakże będę szczęśliwy!

7 sierpnia 1900 r.

Piszę znów. Ale co robić? Wieczory takie długie. Spędzam je samotnie w hotelu, oczekując wiadomości o ojcu. Musicie więc, koledzy, słuchać wyrozumiale moich zwierzeń, bo z kimże mam je dzielić? Sierota, nie znam na obu półkulach nikogo, nikt nie współczuje z moim smutkiem.

Czasem szmer budzi we mnie nadzieję. Zrywam się z krzesła i biegnę na korytarz, sądząc, że może niosą mi upragnioną wiadomość, że może tatko przybył już do Johannesburga i ujrzę go za chwilę...

Czasem znów upadam na duchu. Bo nuż marszałek zapomniał o przyrzeczeniu? Robert Burns jest moim przyjacielem, a jednak...

Nie chcę myśleć o tem. Marszałek mógł nie dotrzymać danej mi obietnicy, gdyż on także ma wiele trosk. Od kilku dni mówią w Johannesburgu o klęskach poniesionych przez wojska królowej Wiktoryi. Biedna królowa! stara, pewnie już niedołężna, a czynią ją odpowiedzialną za okropności wojny... Wiktorya wypłatała mimowoli figla cukiernikowi Francuzowi, mieszkającemu w Johannesburgu. Nazywa się on Martin, a jego zakład—Frascati. Pan Martin, jak każdy Francuz, lubi się śmiać, pełno też w cukierni humorystycznych pism francuskich, a wszystkie wyszydzają Wiktoryę. Jedno przedstawiło królową płaczącą, bo prezydent Krüger bije ją rózgą. Obraziło to Anglików i Frascati jest zamknięte.

Ale większy, niż z cukiernikiem Martin'em, ma marszałek Roberts kłopot z generałem Burów Delareyem. Obległ on Rustenburg, miasto położone na drodze od Mafekingu do Pretoryi. W Rustenburgu stał załogą generał angielski Boden-Powel; grozi mu podobno wielkie niebezpieczeństwo. Co gorsza, w samym Johannesburgu panuje teraz niepokój. Podwojono straże, ulicami przeciągają patrole, uwięziono nawet wielu Burów. Słyszałem

w redakcyi, że Anglicy natrafili na ślad spisku. Mieszkańcy Johannesburga chcą podnieść bunt, wymordować Anglików, niebezpieczeństwo grozi podobno i marszałkowi. Ja niebardzo wierzę tym wiadomościom. Martwią mnie tylko aresztowania, bo nowe nieszczęście może spotkać panią Kety lub Roberta, jeśli ten jest jeszcze w mieście. Chciałem zapytać o to Minę Burnsównę, gdyż spotkałem ją dziś na targu. Myślałem, że wytłomaczy mi nareszcie niesprawiedliwe obejście stryjenki, ale odwróciła głowę i unikała wszelkiej rozmowy.

Czy pojmujecie takie postępowanie? Wypędzić dobrego znajomego z domu i odmawiać mu tłomaczeń. To niegodziwie. Gdybyż chociaż Mungo wrócił! Mógłbym z nim rozmawiać o ojcu.

A może nadeszła już odpowiedź pułkownika Wodworsta? Boję się, czy sprawa cukiernika Francuza nie wpłynie źle na bieg mojej prośby... Bo tatko służył przecież w banku francuskim.

Ach, ileż niepokoju przeżyć można w ciągu jednego wieczora!...

8 sierpnia.

Stało się! Dziś wręczono mi kopertę, zawierającą papiery przysłane z kwatery marszałka Robertsa.

Boże, cóż za okropna niespodzianka! W kopercie był raport pułkownika Wodworsta i rozkaz marszałka, aby władze angielskie nie stawiały przeszkód memu przejazdowi na wyspę Świętej Heleny, a po przybyciu tam ułatwiły mi widzenie się z ojcem, któremu Roberts wracał wolność... Tak to więc, tak daleko mam szukać tatki? Na skalistej wyspie wśród oceanu! Kiedy, jak, za jakie pieniądze dopłynę do ojca? A on tęskni samotny... On tam w więzieniu, ja tu, rzucony wśród obcych...

9 sierpnia, wieczór.

Nie byłem dziś w redakcyi. Musiałem uspokoić się

trochę po nocy bezsennej, a nie zmrużyłem oka aż do świtu. Zawiedziona nadzieja zobaczenia ojca i pamięć doznanej od Burnsów niesprawiedliwości spędzały mi sen z powiek.

Dopiero ranna modlitwa wróciła siły, modlitwa i ta myśl, że człowiek powinien mężnie znosić wszelkie przeciwności.

Sprawa moja jest przecież dobrą. Dlaczegóżby więc Bóg nie miał pobłogosławić usiłowaniom sieroty? Próbuje, doświadcza, ale nie opuścił dotąd, przeto i nadal strzedz mnie raczy, bo jest miłosierny. Należy tylko skupić wszystkie siły. Pisząc, łatwiej uporządkuję myśli. Zdawać mi się będzie, że rozmawiam z przyjacielem, że zasięgam jego rady.

Ojciec jest więc na wyspie Świętej Heleny! Pułkownik Wodworst donosi w swoim raporcie, że tatko, posądzony o sprzyjanie Burom, został wywieziony tam, dokąd wywieziono generała Croniego i wielu cudzoziemców.

Ach, ten raport, ten raport! Po przeczytaniu go szumiało mi w głowie, jak gdyby huczał w niej straszny ocean. Przebywałem go kiedyś z ojcem, a teraz oddziela on mnie od niego! Bo wiem przecież doskonale, gdzie leży wyspa Świętej Heleny, wiem nietylko z geografii. Jadąc do Afryki, płynąłem koło niej i pamiętam, co tatko opowiadał mi o tej smutnej, spalonej skwarami równika skale.

— Sto mil od brzegu i sto mil do brzegu—mówił tatko, powtarzając słowa Juliusza Słowackiego, a potem rozmawialiśmy długo o Napoleonie.

Wyspa Świętej Heleny leży na oceanie Atlantyckim pomiędzy Ameryką i Afryką, choć znacznie bliżej tej ostatniej. Dla was, koledzy, to maleńki punkcik na mapie dla mnie—świat!...

Przestałem pisać... To tak strasznie pomyśleć, że dzielą nas z ojcem fale oceanu, dzieli wielka odległość,

tyle niebezpieczeństw... Rozważywszy wszystko, nabieram jednak przekonania, że ojciec bezpieczniejszym jest na Świętej Helenie, niż byłby teraz w Transwaalu. Regularna wojna jest może już skończona. Umarł Joubert, rozbrojono Croniego, zajęto stolice, wydano nawet manifesty, ogłaszające przyłączenie Oranii i Transwaalu do Anglii. Ale Burowie nie uznają powagi tych manifestów, zaczął się tylko nowy okres walki. Każdy Bur broni teraz ojczyzny na swoją rękę. Niema dnia bez wiadomości o potyczkach.

Dowódzcy holenderscy, Botha, Szalk-Burger, Delarey, Theron, z którym spotkałem się w górach Witwaterskich, a zwłaszcza Dewett —to prawdziwi bohaterowie. Przerzucają się oni z miejsca na miejsce, dziś są tu, jutro tam, a spadają na karki Anglików wtedy, gdy oni najmniej się ich spodziewają. Mają Burowie wyborne konie, podczas gdy w wojsku angielskiem jest koni wielki brak, bo osłabione podróżą z za oceanu zdychają masami.

Może to więc i lepiej, że tatko żyje sobie bezpiecznie pod osłoną straży angielskich. Tęskni tylko pewnie, jak tęsknił na tej samej wyspie wielki cesarz Francuzów, Napoleon Bonaparte; tęsknił do Francyi i do syna. To zupełnie, jak tatko: on także tęskni do ojczyzny i do mnie. Drogi tatko!...

Gdybym miał pieniądze, pojechałbym natychmiast do Kapetownu lub do Durbanu, gdyż są to dwa porty, z których odpływa najwięcej statków. Nie każdy tylko statek zatrzymuje się u brzegów Świętej Heleny, ale znalazłbym w końcu i taki. Czem jednak opłacić przejazd? Nie przyjętoby mnie za chłopca okrętowego, bo choć jestem teraz silny, nie umiem pełnić służby majtka.

Co robić? Co robić? Już też najrozsądniej byłoby pracować dalej w redakcyi i zbierać pieniądze na drogę. Ale to trwać będzie długo, a ja ptakiem leciałbym do ojca.

Gdybym mógł przynajmniej dać mu wiadomość o sobie... Drogi tatko! jakżeby się ucieszył, mając pewność, że żyję...

A toż osieł ze mnie! Mogę przecież napisać po angielsku otwartą kartę. Władze brytańskie nie posądzą o knowanie spisków tego, kto wysyła jawnie listy, a ja zaniosę swój adjutantowi Robertsa. Marszałek kazał mi zostawić u niego adres. Może nie odmówi prośby i wyśle moją kartkę razem z korespondencyą sztabową. Tak dostanie się ona najpewniej na Świętą Helenę. Co za szczęśliwa myśl! Siadam natychmiast i piszę: My dear papa..

20 sierpnia.

Piszę znów do was, koledzy, bo Burowie dokazują cudów waleczności, a ja nie mam z kim podzielić uciechy, jaką mi sprawiają ich zwycięstwa. Doprawdy, są to zuchy nad zuchami! Dawno świat nie widział takich.

Do tatki wysłałem już dwa listy. Wyprawiłem nawet telegram na Świętą Helenę, chociaż to kosztuje dość drogo, bo zapłaciłem z góry za odpowiedź. Tatce nie mogę donosić o zwycięstwach Burów, gdyż Anglicy zabraniają komunikowania wiadomości politycznych więźniom internowanym na wyspie.

Posłuchajcie więc wy, koledzy, o bohaterskich czynach dowódzcy Burów, Dewetta. Pochodzi on z rodziny, która oddawna piastowała najwyższe godności w Transwaalu. Kształcił się w Londynie, gdzie otrzymał zaszczytny tytuł doktora praw. Powróciwszy do ojczyzny, został członkiem Rady Narodowej, a gdy rozpoczęła się wojna, wstąpił razem z synami do armii Burów. Zdobył prędko sławę jednego z najlepszych dowódzców dzięki zwycięstwom odniesionym nad generałem angielskim Gatacre. Po zdobyciu Bloemfontain Dewett zgromadził oddział ochotników i rozpoczął z nim na własną rękę wojnę podjazdową.

Jak Kmicic trapił Szwedów, tak Dewett trapi Anglików. Niepokoi on ich wojska, zabiera żywność, niszczy koleje, a niekiedy odnosi nawet znaczne nad nieprzyjacielem zwycięstwa. Marszałek Roberts wysłał dwóch swoich wodzów przeciw Dewettowi. Kitchener i Methuen zrobili nagankę, chcąc obsaczyć Bura, jak się obsacza wilka w kniei, ale naganka zawiodła, chociaż Anglicy mieli z sobą 30,000 żołnierza, a Dewett dowodził tylko 3,000 partyzantów. Dziesięciu na jednego...

Kitchener ścigał Dewetta od brzegów Oranii a Methuen czekał na niego nad rzeką Vaalem. Może myślicie, że wzięty w dwa ognie dał się schwycić, jak mysz w pułapkę? Otóż wcale nie: potrafił i teraz wymknąć się Anglikom. Przeszedł rzekę Vaal pod nosem Methuena, pokazał figę obu generałom i ruszył na północ do Wentersdorpu. Tam pobił Anglików, wziął im sporo niewolnika, amunicyi, zapasów żywności, a przytem tak ożywił ducha w swoich rodakach, że utworzyło się w całym kraju mnóstwo oddziałów partyzanckich. Podchodzą one aż pod Pretoryę, a i w Johannesburgu spodziewany jest Dewett.

Johannesburg to punkt wielkiej wagi dla Anglików, bo stanowi ognisko produkcyi złota. Tak się dziś wyraził jeden pan w redakcyi. Ja słuchałem go uważnie, a nawet zanotowałem sobie kilka cyfr, dotyczących dobywania złota w Transwaalu.

Nieraz myślę, że niesłusznie biorę zapłatę za swoją pracę w redakcyi, gdyż nauczę się tam więcej, niż zarobię. Dziś, naprzykład, położyłem pióro, bo uważałem, co mówili dwaj młodzi Anglicy, przybyli świeżo z Londynu. Zrozumiałem teraz dopiero powody, dla których Brytania walczy z taką zaciętością o Transwaal.

Smutny to powód, koledzy: krew tysiąca ludzi płynie—dla złota!

Kiedy przed 20 laty przyszło do wojny między Burami a Anglią, to w Londynie oburzano się powszech-

nie na zaborczą wyprawę afrykańską, i Gladstone, kanclerz angielski zawarł chętnie pokój z Transwaalem. Dlaczegóż więc teraz mimo tylu klęsk (bo Anglicy stracili już przeszło 40,000 ludzi w Afryce) wojna prowadzona jest z taką zaciętością i nikt nie protestuje w Brytanii przeciw jej okrucieństwu? Postaram się wytłomaczyć to wam i sobie, koledzy.

Rok 1886 będzie na wieki pamiętnym dla Transwaalu, bo, jak już wiecie, w roku tym znaleziono w górach Witwaterskich pierwsze pokłady złota. Wydobyto go wtedy za 700,000 marek, ale produkcya drogocennego kruszcu rosła tak szybko, że w roku 1898 wyniosła już 400 milionow marek. Taka sumka to łakoma rzecz!

Złakomili się też na pieniądze ludziska w Anglii i powstały tam towarzystwa akcyjne w celu wydobywania złota afrykańskiego. Powstały także towarzystwa, budujące w Transwaalu różne fabryki, koleje żelazne, zaprowadzające urządzenia wodne. Akcye wypuszczano na bardzo nizkie sumy. Jest wiele towarzystw, których akcye kosztują tylko jeden funt szterling, co znaczy około 10 rubli.

Takich akcyi sprzedano w Anglii 77 milionów. Uważajcie — 77 milionów! Niemal wszystkie rodziny angielskie posiadają w swoich rękach akcye transwaalskie, to jest uczestniczą w zyskach lub stratach towarzystwa, pracującego za oceanem.

Pomyślcie, koledzy, toż gdyby u nas ludzie tak oszczędzali, jak oszczędnymi są Anglicy, każdy służący warszawski kupiłby sobie z łatwością akcyę dziesięciorublową.

A teraz któż nie zrozumie, jakie zainteresowanie budzi w Londynie wojna afrykańska.

Wygrają Anglicy, to akcya 10-rublowa może być warta 200, a nawet 300 i więcej rubli.

Przegrają—kraj zubożały wskutek wojny upadnie, upadną towarzystwa, a wtedy właściciel akcyi dostanie za nią rubla, może nawet nie dostanie nic wcale.

Dlatego wojnę popierają wszyscy w Anglii. Pragnienie zysku zagłuszyło uczucie sprawiedliwości. Smutne to, ale, niestety, prawdziwe.

Ma więc marszałek Roberts trosk nie mało. Żal mi starego wodza, bo czuję dla niego wdzięczność, ale po co mu było przykładać rękę do krzywdy Burów? Krzywda ta boli mnie okropnie, jak boleć musi każdego bezstronnego świadka wojny, która pociąga za sobą tysiączne niesprawiedliwości. Wczoraj, naprzykład, ogłoszono, że Bur, młody czy stary, składać ma przysięgę na wierność Anglii. Jeśli przysięgi odmówi, będzie wywieziony na wyspę Świętej Heleny, chociażby liczył tylko 12 lat wieku.

A wiecie, co mi teraz na myśl przyszło? Że los, który dla tylu ludzi jest postrachem, dla mnie byłby szczęściem. Pewnie, że to szczęście dostać się tam, gdzie jest tatko. Niech mnie porwą Anglicy, niech wywiozą na Świętą Helenę. Jakże będę im wdzięczny! Ale nie zrobią tego i muszę jeszcze długo pracować, zanim zdobędę pieniądze na podróż do ojca.

22 sierpnia 1900 r.

Koledzy! jutro, jutro już jadę do ojca! Czy wyobrażacie sobie moją radość? Czy domyślacie się, komu zawdzięczam to szczęście? Tatce, jego pracowitości i uczciwości. Kochany tatko!

Kończę naprędce list, bo chcę wam posłać swój dziennik pisany w ostatnich kilku miesiącach, nawet kartki z notesu. Czy zdołacie odczytać to, co kreśliłem na nich ołówkiem u Beczuanów? Spróbujecie, prawda? List będzie gruby, ale to nic nie szkodzi. Mam dość pieniędzy, żeby kupić marki.



PREZYDENT ORANJI STEIN

Żegnam was, koledzy, zapewne na długo. W podróży mało się ma ochoty do pisania, zwłaszcza podróżując w czasie wojny, gdy trzeba skupić całą uwagę na to, aby unikać niebezpieczeństw.

Słuchajcie więc, jak się to stało, że mam pieniądze, że pożegnałem już redaktora listem, który wrzucę do skrzynki, siadając na kolej, że za osiem godzin i piętnaście minut (właśnie zegar hotelowy wybił dziewiątą) wyruszam z Johannesburga.

Idę dziś z redakcyi, a idę zmartwiony, bo tatko nie odpowiedział dotąd na mój telegram. Wtem staje ktoś przede mną, patrzy, przypomina sobie, ale nie poznaje. Ja jednak poznałem odrazu dyrektora banku francuskiego, tego banku, w którym pracował tatko.

Czy pojmujecie, koledzy, co to za radość spotkać w obcem mieście kogoś znajomego, kogoś, z kim mogę mówić o ojcu?

— C'est donc vous, petit Jean! — woła dyrektor i natychmiast dodaje, że wcale nie jestem już „petit,“ że urosłem, zmężniałem, dlatego nie poznał mnie w pierwszej chwili. Pyta o tatkę. Opowiadam mu historyę naszego rozłączenia i to, że zbieram pieniądze na podróż do ojca. A on wtedy chwyta mnie za obie ręce, potrząsa niemi po przyjacielsku i z żywością, właściwą Francuzom, opowiada swoje dzieje, a raczej dzieje banku. Z obawy przed wojną i bombardowaniem Johannesburga przeniesiono bank do posiadłości portugalskich. Dyrektor mieszkał w Lorenzo-Marquez, przyjechał jednak teraz dla widzenia się z marszałkiem Robertsem, sądził bowiem, że będzie mógł rozpocząć na nowo obroty interesów w Johannesburgu.

Jak też to miło słuchać, gdy ktoś wychwala drogą nam osobę! Dyrektor wychwalał tatkę za jego pracowitość, sumienność i za odwagę, z jaką narażał życie, odwożąc pieniądze bankowe do Kapetownu. Wiadomości

o zwycięstwach Dewetta i aresztowaniach w Johannesburgu napędziły trochę strachu panu dyrektorowi. Nuż zacznie się na nowo wielka wojna i Burowie wysadzą w powietrze miasto? Francuz utrzymuje jednak, że z tego, co słyszał, nie grozi Johannesburgowi poważne niebezpieczeństwo, chciałby więc jak najprędzej skompletować personel bankowy.

— Il me faut votre papa, jeune homme — mówił, klepiąc mnie po ramieniu — partez, partez au plus vite!

Dobry mi ze swojem *partez*! Toż jechałbym dziś, gdybym tylko miał za co. Powiedziałem mu to szczerze.

— Sapristi! mais nous devons de l'argent à votre papa! *) — zawołał i wyjąwszy książeczkę czekową, napisał przekaz na angielski dom bankowy, z którym bank francuski zachował w Johannesburgu stosunki. Stałem oniemiały ze zdziwienia i ze szczęścia.

— Allez, allez vite, jeune homme, ramenez nous papa et nous ferons alors notre compte **). Bon voyage, bon voyage! — zawołał jeszcze, machając kapeluszem, a ja patrzyłem za nim, wątpiąc o tem, co widziałem własnemi oczyma.

Nie było to jednak złudzenie. W czeku, czyli przekazie do banku angielskiego, stało czarno na białem, że okazicielowi wypłacić mają trzydzieści funtów złotem. Coś około trzystu rubeliansów, koledzy!

— Tyle pieniędzy!—pomyślałem, przestraszony prawie wielkością sumy. Nie wahałem się jednak podnieść jej, bo tatko wspominał kilka razy, że w banku, w którym służył, zdeponował, to jest złożył, pewną kwotę pieniędzy.

— Czy tylko bank angielski zechce mi je wypłacić? — pytałem sam siebie. Nie oswoiłem się jeszcze z tem, że pozbawiony opieki ojca muszę działać samodzielnie. Wy-

---

*) Winni jesteśmy pieniądze twemu ojcu

**) Jedź co prędzej, przywicź nam ojca, młodzieńcze, a wtedy policzymy się z sobą.

obraźcie sobie waszego kolegę, idącego z czekiem do banku. W Ameryce młodsi ode mnie chłopcy rozporządzają nieraz dużemi sumami pieniędzy, ale u nas uchodziłbym za wyjątkowy okaz. Mnie też biło serce niespokojnie przy oddawaniu przekazu, biło jeszcze silniej, kiedy zgarniałem złoto, które miało mi ułatwić dostanie się do tatki. Prędko jednak oswoiłem się z myślą posiadania pieniędzy. Przecież bądź co bądź nie jestem już dziecko, a kiedy Bóg zesłał mi tak niespodziewanie ratunek, to da i rozwagę potrzebną do wyswobodzenia ojca z niewoli angielskiej.

Była chwila, że myślałem oddać część złota pani Burnsowej. Może tam bieda, może Robert aresztowany, a Mina nie ma czem ratować stryja? Skręciłem już na Commissioner Street, ale brakło mi odwagi. Bo nuż odpędzą znów od swego progu? Nawet pożegnać ich nie mogę, ani ich, ani Mungi. Poczciwy Mungo nie wrócił dotąd z Pretoryi.

Jadę więc za kilka godzin. Hotel płacę codziennie, gdyż to buda nie hotel, szybko przeto załatwię rachunek. Moja bielizna już spakowana, a zabieram i książki polskie. Nie zostawię ich tu, gdzie nikt nie rozumie po polsku. Tatko rad będzie starym znajomym.

Bywajcie zdrowi, koledzy. Następna koperta do was nosić będzie stempel Świętej Heleny. Może zbieracie marki, to i ta się wam przyda. Kopertę zaadresuje nie opuszczony, bezdomny sierota, ale szczęśliwy, ach! jak szczęśliwy

Janek Żórawski.

Dalszy ciąg dziennika.

Johannesburg, 29 sierpnia, godzina 4 rano.

Czy to, co mnie spotkało, jest snem, czy prawdą? Piszę, żeby się przekonać, że nie straciłem zmysłów, ale nie wierzę sam sobie.

A jednak to nie sen. Na mojem łóżku leży Robert Burns i muszę ratować go od więzienia, może od śmierci. Ratować jak? kiedy?... Doprawdy, chce mi się płakać, to znów śmiałbym się gorzko, bo przecież za kilka godzin miałem pożegnać Johannesburg i jechać do ojca, a teraz... Teraz nie wiem, co będzie z Robertem i ze mną. Nie mogę opuścić przyjaciela w nieszczęściu, ale od wczoraj doznałem tylu nadzwyczajnych zmian losu, że w głowie mi się mąci.

Spotykam dyrektora banku, otrzymuję od niego pieniądze na podróż do ojca. Czyż to nie cudowne zrządzenie Opatrzności? W tej samej chwili jednak spada mi na kark nieszczęście przyjaciela. Gdyby dzień później, byłbym już w drodze...

Wstydzę się tego, co napisałem. Biedny pan Burns, biedna pani Kety! Obraziłem jej uczucia narodowe, pracując w redakcyi i prosząc marszałka o audyencyę, ależ powinna była zrozumieć, że choć sprzyjam Burom, jestem bądź co bądź cudzoziemcem W każdym razie nie miała prawa posądzać mnie o tak nieszlachetny postępek. Przekona się teraz, że Polak nie zdradza! Dołożę wszelkich starań, aby ocalić Roberta. Ale jak go ocalić?

Odniosłem na pocztę list do was, koledzy, i miałem już kłaść się spać, żeby wypocząć przed podróżą, kiedy zapukano do moich drzwi. Ucieszony otworzyłem, sądząc, że przynoszą mi wiadomość od ojca. W progu stał człowiek okryty narzuconym na plecy paltotem. Twarz miał zasłoniętą wysokim kołnierzem, tak iż nie mogłem rozróżnić jego rysów. Wszedł do pokoju, zamknął za sobą drzwi, zrzucił paltot i wtedy dopiero poznałem — Roberta Burnsa!

Jakże był zmieniony! Drżał z zimna, blada twarz zdradzała wyczerpanie. Upadł na sofę i wymówił jeden tylko wyraz: — Wody!...

Dałem mu pić. , Odetchnął z głębi piersi, a potem sięgnął po chleb, leżący na stole. Jadł jak ktoś okropnie

zgłodniały; kroplisty pot okrywał mu czoło, dreszcze wstrząsały ciałem. Patrzyłem oniemiały na tego biedaka, pożerającego wyschnięty kawał chleba, nie śmiałem o nic pytać, czekałem, aż się posili. W szafie stał dzbanek z mlekiem i kawałek szynki przygotowanej na drogę. Podałem Robertowi cały zapas mojej śpiżarni. Pił chciwie mleko i gryzł szynkę, jakby nie wiedząc, co je. Kiedy nic nie zostało na stole, otarł usta, odetchnął i wyciągnął do mnie rękę. Schwyciłem tę biedną wychudzoną rękę i uścisnąłem ją, jak się ściska dłoń dawno niewidzianego przyjaciela.

— Byłem pewny, że nie odmówisz mi schronienia, że mnie nie zdradzisz — wymówił stłumionym głosem i obejrzał się na drzwi.

— Ja zdradzić ciebie? Przed kim, dlaczego? — pytałem zdziwiony.

— Przed Anglikami. Kety utrzymuje, że trzymasz z nimi. Ale ja ufam ci, Johnie.

— A jednak uciekłeś przede mną z baru — przerwałem, bo przypomniało mi się ostatnie nasze widzenie.

— Nie chciałem wciągać cię do roboty, którą mogłeś przypłacić głową. Teraz wszystko skończone... Ścigają nas, dom ojca otoczony... Jeśli odepchniesz mnie, Johnie, nigdzie nie znajdę schronienia.

Byłem blizki płaczu. Wyjazd do ojca odłożony, posądzenie pani Kety, niebezpieczeństwo, w jakie popadł Robert, którego kochałem jak brata — wszystkie te wrażenia rozdrażniły mnie okropnie. Nie wiedziałem, co robić, co myśleć? Przedewszystkiem jednak należało ratować przyjaciela. Robert był tak zmęczony, że z trudnością odpowiadał na moje pytania. Dowiedziałem się nakoniec, że wysłany przez Dewetta, przybył tajemnie do Johannesburga, żeby podburzyć mieszkańców przeciw Anglikom.

Miano napaść na gmachy rządowe i na kopalnie, a Dewett, skorzystawszy z popłochu, opanowałby obóz marszałka, może udałoby mu się nawet wziąć samego wo-

dza do niewoli. Plan był obmyślony dobrze, ale ktoś z wtajemniczonych popełnił nieostrożność, lub dopuścił się zdrady... Dość, że Anglicy trafili na ślad spisku. Zabrano Burom wielki zapas broni, którą ukrywali w kopalniach, aresztowano wielu sprzysiężonych i tem zniweczono cały plan Dewetta.

Pani Kety posądziła mnie, że zdziwiony obecnością obcych ludzi w jej domu powiedziałem o tem redaktorowi.



Klęski wojny. Most na rzece Vetriver, wysadzony przez Burów.

Jak mogła przypuścić coś podobnego! Chyba nieszczęście pomieszało biedaczce zmysły. Ona, a nawet Wilhelmina, naraziły się na wielkie niebezpieczeństwo, bo obie ułatwiały Dewettowi komunikacye z miastem. Zwłaszcza Mina biegała wciąż do obozu i do kopalni, dlatego to opaliły ją tak wiatry zimowe. Mina! ona także zwątpiła o mnie! Może w tej chwili jest już uwięziona!..

Największe niebezpieczeństwo grozi jednak Robertowi. Ściga go policya tak zażarcie, że od dwóch dni ani

na chwilę spocząć nie mógł. Nic też nie jadł przez ostatnie dwie doby. Dowiedział się od Miny, że mieszkam w hotelu „Pod Gwiazdą“ i wbrew podejrzeniom bratowej przyszedł szukać u mnie schronienia. Szalone zuchwalstwo! w hotelu jest ciągły ruch, ludzie wchodzą i wychodzą: łatwo mógł ktoś poznać Roberta, a wtedy...

Nie chcę myśleć o tem, co będzie. Teraz śpi w mojem łóżku... To dobrze: był tak zmęczony, że bałem się, aby nie zemdlał. Biedny, kochany Robert!

Kiedy patrzę na jego wychudzoną twarz, przypominają mi się wszystkie zdarzenia ostatniego roku: nasze pożegnanie w Johannesburgu, spotkanie w Bloys-farm, walki nad Modderą, niewola, klasztor misyonarzy, podkop i ucieczka. Ach! gdyby Robert mógł i teraz uciec! Ale jak, dokąd? Poznany, może życiem przypłacić poświęcenie dla kraju, bo prawa wojny są srogie! Ma lat siedemnaście, jest taki dobry, taki szlachetny i miałżeby zginąć? Nie, nie, we dwóch damy sobie jakoś radę...

A mój ojciec? Kiedyż wrócę do niego?

23 sierpnia, godzina 9 wieczór.

Jestem bardzo strapiony losem Roberta. Niepokój o ojca dręczy mnie także. Dlaczego dotąd nie odebrałem odpowiedzi na telegram? Nie mam siły myśleć, co może być przyczyną milczenia tatki. Nie, nie chcę zastanawiać się nad tem...

Robert śpi. Cały dzień miał gorączkę... może ze znużenia, może dlatego, że wygłodzony jadł zbyt chciwie suchy chleb. Oj, wiem ja, co to głód, wiem! Mnie także zaszkodził pasztet Mungi...

Mungo! gdybyż choć Murzyn tu był! On tak kocha Roberta, znalazłby może jaki ratunek dla biedaka. Ja nie wymyśliłem dotąd żadnego!...

Spędziłem cały dzień w redakcyi, żeby nie budzić podejrzeń. W hotelu nie domyślają się niczego; sam czyszczę swoje ubranie, sam sprzątam pokój, bo za 15 pensów

dziennie nie dają usługi. Robert mógł więc spokojnie spać cały dzień, ale zato ja nie miałem chwili swobodnej w redakcyi. Słuchałem pilnie tego, co mówiono o wypadkach zaszłych w mieście, a odkrycie spisku nie jest już dla nikogo tajemnicą.

Jakiś młody reporter opowiadał z wielką stanowczością, że schwytano emisaryusza Dewetta i że emisaryusz ten nazywa się Robert Burns.

— Czy wiesz pan to z pewnością? — zapytał redaktor.— Wiadomość byłaby bardzo ważna. Burns uważany jest za jednego ze sprawców zamachu. U kogo został schwytany? Kto się odważył dać schronienie człowiekowi tak skompromitowanemu?

Spuściłem głowę, udając, że piszę. Chciałem ukryć pomieszanie, a czułem, jak krew uderza mi do mózgu.

— Jeśli Robert jest już uwięziony, to pani Kety i Mina posądzą mnie znów o zdradę — myślałem z rozpaczą, bo chyba największem nieszczęściem dla człowieka jest żyć pod zarzutem haniebnego czynu.

Odetchnąłem jednak po chwili. Reporter powtarzał plotkę zasłyszaną, ale nie sprawdzoną.

Wracając z redakcyi, kupiłem butelkę wina i trochę zimnego mięsa, ale Robert prócz wina nic do ust wziąć nie chciał. Pod wieczór dopiero uczuł się zdrowszy, otworzył przytomnie oczy i wyciągnął do mnie rękę, dziękując za przyjaźń. Siadłem przy nim na łóżku. Rozmawialiśmy długo; on chce koniecznie wracać do Dewetta, bo wierzy, że Dewett ocali Transwaal.

— Ty go nie znasz — mówił, a niebieskie oczy mego przyjaciela świeciły gorączkowym zapałem — nie wiesz, co to za bohater! Pomyśl, stracił trzech synów na wojnie. Czy myślisz, że to nieszczęście osłabiło jego ducha? Wcale nie. Walczy jak lew, ma tylko jeden cel... I dokaże swego. Byłby już tu... w Johannesburgu... byłby wziął do niewoli tego przeklętego Robertsa, gdyby nie niepojęta lekkomyślność lub zdrada!

Uniósł się na poduszkach i mówił przerywanym, ale tak donośnym głosem, że zamknąłem mu usta ręką, błagając, aby spoczął. Usnął, a ja piszę. Jest blady i to mnie pociesza: widocznie nie ma już gorączki. Jutro wstanie zdrów i jutro trzeba uciekać, ale nie ułożyliśmy dotąd żadnego planu.

Cała moja nadzieja w tem, że mam rozkaz marszałka do władz angielskich, aby nie stawiano mi przeszkód w podróży na wyspę Świętej Heleny. Lecz co zrobić z Robertem, jak go bronić przed policyą?... A gdyby się przebrał za mego służącego?...

Tak, to wyborna myśl. Im dłużej zastanawiam się nad tym projektem, tem więcej mi się on podoba. Mam pieniądze, kupię dla Roberta liberyę lokaja lub grooma. Tylu ich służy w domach angielskich. Tatko nie weźmie mi za złe, że naruszyłem jego pieniądze. Jestem pewny, że pochwali nawet mój czyn. Tylko względem marszałka wyrzucam sobie niewdzięczność: on chciał mi pomódz w odnalezieniu ojca, a ja użyję jego rozkazu dla ułatwienia ucieczki Robertowi.

Ale czy użyję? Anglicy mogą za chwilę odkryć schronienie Burnsa i zaaresztują nas obu, zanim uciec zdołamy. Słyszę nawet jakiś niezwykły ruch w hotelu... szczękanie szabel. Może mi się zdaje?... Nie, wyraźnie brzęczy broń na korytarzu. Ktoś idzie... słyszę, jak pyta o mnie... puka. Co robić? Robert śpi... Może go obudzić, uciekłby oknem. Niepodobna! Okno wychodzi na ulicę, zresztą postawiona pewnie straż pod oknem. Pukają znów... Boże, ocal Roberta! . . . .

. . . .

. . . .

Ach, moi drodzy, jakże jestem szczęśliwy! Brrr! po takim strachu radość. Robert śpi w najlepsze. Nie domyśla się nawet, że drżałem o niego. Wiecie, kto pukał do drzwi? Adjutant marszałka, jego dostojność sir Georg Harris. Takich to miewam gości! A zgadnijcie,

co mi oddał? Nie zgadniecie. Oto depeszę z wyspy Świętej Heleny! Żeby też komuś takiego narobić strachu! Bo istotnie szabla brzęczała w korytarzu, ale nie pałasz policyanta, tylko szlachetna broń oficera sir Harrisa, który sam przyniósł mi depeszę. Jaki on dobry! A ja nie mogłem nawet prosić go do pokoju, bo byłby tam zastał Roberta Burnsa...

Zresztą on sam wejść nie chciał, mówiąc, że powinienem się nacieszyć pomyślną wiadomością o ojcu. Tak, wiadomość jest dobra, chociaż zawarta tylko w czterech wyrazach: „Zdrów, czekam twego przyjazdu!"

Kochany tatko! już ja wiem, jak niecierpliwie on mnie czeka! Nieznośne telegramy z ich drukowanemi literami i zwięzłością stylu. O ileż milszym byłby mi list napisany ręką ojca, zwłaszcza, że tak długo na tę krótką wiadomość czekać musiałem. Już to w czasie wojny nie robią sobie ceremonii ani z prywatnymi podróżnymi, ani z ich depeszami. Moja ustąpić musiała przed tysiącem urzędowych i dlatego odebrałem ją dopiero dziś.

Depesza — skrawek papieru, cztery wyrazy, a ileż szczęścia dała mi wiadomość przyniesiona iskrą elektryczną po drucie zanurzonym w głębi oceanu! Jakże dobrą rzeczą jest każdy wynalazek, który pociesza stroskane serca. Moje bije tak głośno z radości, że powinnoby obudzić Roberta, lecz on chrapie w najlepsze.

Kochany ojciec zdrów Bogu dzięki. A ja tyle razy myślałem, że on może chory, może... Ale nigdy nie pisałem o tem, nie miałem mocy... Są nieszczęścia tak okropne, że myśleć nawet o nich niepodobna. Tatko jest też zdrów, wszystko więc jeszcze będzie dobrze.

24 sierpnia, 6 po południu.

Za trzy godziny uciekamy. Nie można zwlekać dłużej. Spotkałem dziś Minę Burnsównę. Jest wolna. Uwięziono tylko panią Kety. Nie widziałem Miny tak długo. Jakże

troski zmieniają nawet młodą twarz! Była bardzo wzruszona i blada.

— Przebacz mnie i stryjence — szepnęła, wciskając mi w rękę kartkę. — Ona niezmiernie kocha Roberta!

Przeczytałem kartkę w redakcyi i podarłem zaraz papier na strzępki. Mina donosiła nam, że policya angielska jest już na tropie Burnsa. Jak ona go kocha, jak kocha!

Naraża własne życie dla stryja. Stryj! zabawnie pomyśleć, że Robert jest jej stryjem, bo są zupełnie w równym wieku.

Musimy więc uciekać. Powiedziałem to Robertowi i wracając z redakcyi, kupiłem dla niego strój grooma. Nikt w hotelu nie widział, że niosę pakunek. Kupiłem także flaszkę koniaku. Mina jest naszą opatrznością. Obiecała krążyć pod różnemi przebraniami około hotelu. Ja poznam ją w każdem. Miała się widzieć ze znajomym i pewnym Burem, żeby zamówić dla nas konie, które czekać będą pod miastem. Wszystko ma być gotowe na godzinę 10. O dziesiątej musimy już wyjść z Johannesburga.

Skracam sobie czas pisaniem dziennika. Nic tak nie rozdrażnia, jak bezczynność, a potrzebuję dziś zimnej krwi, bo niebezpieczeństwo jest wielkie. Mina słyszała rozmowę dwóch ajentów śledczych, naradzających się nad tem, jak wytropić Roberta... Szkaradni ludzie i ich rzemiosło! Co to za okropna rzecz być szpiegiem!

Szkoda, że nie połknąłem kartki, w której Mina donosiła nam tyle kompromitujących szczegółów, bo nuż znajdą strzępki papieru i dojdą z nich prawdy? Wolę o tem nie myśleć.

Podziwiam spokój Roberta wobec niebezpieczeństwa, na które naraża go ucieczka. Teraz, naprzykład, śpi wybornie, chociaż za pół godziny będę musiał go obudzić i zaczniemy tualetę, a raczej szuwaksowanie skóry, bo postanowiłem uczernić twarz Roberta szuwaksem. Tak wielu Murzynów kręci się w korytarzu, że służba hote-

lowa nie zwróci uwagi na jednego jeszcze czarnego tragarza. Co jednak zrobić z włosami Burnsa, które są długie i jasne? Spróbuję być fryzyerem. Ostrzygę Roberta, a potem posypię mu głowę sadzą.

Przebranie fraszka, byle pod osłoną nocy dostać się za linię patroli angielskich. Rzecz to nad wszelki wyraz ryzykowna i niebezpieczna. Pikiety rozstawione koło Johannesburga przepuszczają tych tylko, którzy wiedzą hasło, lub są zaopatrzeni w pozwolenie na przejazd. Takie pozwolenie marszałka mam w kieszeni, a przecież Murzyn, towarzyszący mi, nie powinien wzbudzić podejrzeń? Robert, wychodząc z hotelu, weźmie na ramię mój tłómoczek z bielizną i książkami, żeby zasłonić twarz przed ciekawością służby i policyi.

Tatko opowiadał mi, że Napoleon III, późniejszy cesarz Francuzów, uciekając z fortecy Ham, przebrał się za robotnika, wziął deskę na ramię, udając, że pracuje przy naprawie warowni, deską zasłonił twarz i to mu ułatwiło ucieczkę. Tak zrobi dziś Robert, ukryje głowę za tłómokiem, wyjdziemy z hotelu, i dalej z miasta na wolę Bożą!... Koleją wyjechać nie możemy, bo wagony są zajęte przez wojsko. Każdy prywatny podróżny zwraca na siebie uwagę; przytem w pociągu oświetlonym elektrycznością poznanoby fabrykowanego Murzyna. Szuwaks jest lichą farbą, a ja lichym malarzem.

Coby się stało w takim razie? Brrr!... strach pomyśleć. Ja nie prędko zobaczyłbym ojca, ale gorzej z Robertem. Czekałby go może los Corduy, którego rozstrzelano przed kilku dniami w Pretoryi. Był obwiniony o zamach na życie marszałka Robertsa.

Straszne wrażenie sprawia opis zgonu młodego Bura! Czytałem go dziś w redakcyi. Zginąć na polu bitwy, to rozumiem, ale paść od kuli, mając związane ręce, jak zbrodzień, lub jak męczennicy chrześcijańscy w cyrku, to okropne! Na co jednak odbierać sobie odwagę przewidywaniem nieszczęścia? Lepiej ufać opiece Bożej i ro-

bić swoje, to jest zaczynać tualetę Roberta. Właśnie bije siódma, jest już prawie ciemno, nie można więc zwlekać dłużej.

Co też pomyślą o mnie w redakcyi, gdy jutro nie przyjdę? Mniejsza o to. Niech pomyślą, co chcą. Na co się nad tem zastanawiać? Lepiej wziąć nożyczki. Bo zrobiłem dziś dużo sprawunków. Kupiłem nietylko nożyczki, ale rewolwery i zegarek: wszystko to przydać się może. Bez zegarka trudno byłoby uciekać. W takich razach minuta opóźnienia może stanowić o życiu człowieka. Rewolwerami będziemy, w razie potrzeby, bronić tego życia...

Ale tymczasem najpotrzebniejsze są nożyczki. Dlaczegóż nie miałbym być dobrym fryzyerem?

Pfe! przypomniał mi się okropny szczegół z życia Ludwika XVI, króla Francuzów. Czytaliście pewnie opis jego śmierci i pamiętacie, że kat na rusztowaniu obcinał mu włosy? Szkaradne porównanie! Biedny Robert! miałżebym spełniać przy nim obowiązki kata? Bo jednak życie Burnsa wisi na włosku. Może lepiej zaniechać ucieczki i ukrywać przyjaciela, jak go dotąd ukrywałem w hotelu?

Ale Mina straszy. Czyż wolno nam nie słuchać jej rad?... Zdaje mi się nawet, że jest dziś jakiś niezwykły ruch na korytarzu... Ot i taraz odszedł ktoś od naszych drzwi... Może podsłuchiwał?... Niedołęga ze mnie! Zamiast się rozczulać przewidywaniami, lepiej działać.

Boże, dopomóż! Budzę Roberta...

28 sierpnia 1900 r. Ferma Rhenoster nad rzeką Rhenosterem.

Kochani kolędzy! Robert Burns ocalony. Donoszę wam o tem, gdyż wiem, że się ucieszycie dobrą wiadomością, a mogę dziś jeszcze wysłać list do Kapetownu. Trafia się wyborna okazya. Wyjeżdża stąd z powrotem do Europy Francuz (walczy ich bardzo wielu w Transwaalu), pan Jerzy Vidal. Dziwny to a bardzo

sympatyczny człowiek. Mówi, że opuścił Paryż, gdyż nie mógł dłużej słuchać jałowych kłótni stronnictw; w Transwaalu nauczył się wojny, służąc w oddziale wywiadowczym Therona, a teraz wraca do Francyi, bo chce się zaciągnąć w szeregi, które z Marsylii odpływają do Chin.

— W Chinach bić się przynajmniej będą, nie kłócić. A potem, gdy odżyją w nas tradycye bohaterów francuskich, pójdziemy upomnieć się o Alzacyę—mówi pan Vidal.

Mógłbym z Vidalem jechać do Kapetownu. Podróż we dwóch byłaby nawet tańsza i przyjemniejsza. Ale Francuz jest bardzo źle notowany u władz angielskich. Ścigają one zażarcie żołnierzy Therona. Bo też Theron to istny bicz Boży na generałów armii nieprzyjacielskiej.

Latwo więc popadłbym w biedę przy Vidalu. Przytem ja i mój koń jesteśmy okropnie zmęczeni po forsownej ucieczce z Johannesburga. Zabawię więc jeszcze dwa dni w Rhenoster-farm, a potem sam oddam się pod opiekę władz angielskich i opatrzony rozkazem marszałka Robertsa, pojadę wprost do Durbanu lub do Kapetownu.

Przez Vidala wysyłam tylko kilka słów na wyspę Świętej Heleny. Tatce nie donoszę nic o swoich sprawkach, gdyż mogłoby to ściągnąć na ojca odpowiedzialność wobec Anglików. Wypłatałem im jednak tak wybornego figla, uprowadzając Roberta z Johannesburga, że mam ochotę pochwalić się nim przed wami, koledzy. Więc, choć okropnie zmęczony, opiszę ucieczkę przyjaciela.

Przyjaciela! jakże w całej pełni czuję wartość tego słowa teraz, kiedy mam się rozłączyć z Robertem może na zawsze!

Wracam jednak do swego opowiadania, bo pochlebiam sobie, że z niepokojem czekacie wiadomości, jak udała się nasza maskarada i jakich doznaliśmy przygód.

Nie zapomnę nigdy tej nocy, moich obaw, pożegna-

nia z Miną, której ostatni raz w życiu uścisnąłem rękę... Biedna Mina! z jakimże ona niepokojem oczekiwać musi wiadomości o Robercie...

Owego pamiętnego wieczora w hotelu „Pod Gwiazdą“ wyglądał on jak najprawdziwszy Murzyn, ale też



Mój przyjaciel Robert Burns.

nie żałowałem szuwaksu. Tarłem nim jego twarz, ręce, szyję, a tarłem mocniej, niż robiłem to codzień z cholewami swoich butów. Najtrudniejsza sprawa została na koniec—ostrzyżenie włosów. Lichy ze mnie fryzyer.

Obciąłem wprawdzie czupryną Roberta, ale zrobiłem to tak niezręcznie, że głowa jego przypominała futro pogryzione przez mole. Od czego jednak sadze i czapka? Sadzą uczerniłem włosy. Piszczał wprawdzie biedak pod moją pięścią, ale tarłem co sił.

Dziś wszystkie te wspomnienia budzą we mnie śmiech. Wtedy jednak gorzko nam było obu, chociaż udawaliśmy dobry humor.

— Włóż kaszkiet na bakier: przykryjesz nim swoją szkaradną czupryną — powiedziałem, oddając Robertowi granatową dżokiejkę.

Spojrzał w lusterko, nasadził czapkę z fantazyą na lewe ucho i omal nie krzyknąłem z radości, tak był podobny do Dżalgi, Murzyna, którym posługiwaliśmy się w redakcyi.

— Wybornie, wyśmienicie! — mówiłem, chcąc zagłuszyć niepokój. Ale nie mogłem go opanować. Nogi drżały mi bardziej, niż w febrze. Bo pomyślcie, koledzy, jak ciężką brałem na siebie odpowiedzialność. Robert był tak osłabiony, że ja kierowałem wyprawą, ja obmyśliłem plan ucieczki. A jeśli teraz ucieczka się nie uda?

Należało postępować energicznie. Mina przebrana za Malajkę, sprzedającą pomarańcze, weszła do naszego pokoju, dając znać, że drzwi hotelu nie są pilnowane.

— Uciekajmy więc! — zawołałem, podając Robertowi tłómoczek, który miał nieść na ramieniu.

Ale Robert zdawał się zapominać o niebezpieczeństwie.

— Bądź zdrowa, Mino! Pożegnaj ojca... Bądź zdrowa! — powtarzał raz po raz, aż zniecierpliwiony popchnąłem go ku drzwiom. Ale wyszedłem potem pierwszy na korytarz, bo tak wypadało z mej roli dżentelmena, za którym groom niesie pakunek.

Robert zasłonił twarz kuferkiem, ja udałem, że nie widzę gapiowatej miny kelnera, przypatrującego mi się ciekawie. Szedłem wolno, jak przystoi na spokojnego

filistra, a Mina zdążyła już tymczasem wybiedz przed hotel i przepatrzyć najbliższą ulicę. Dała mi znak, że możemy iść śmiało. Spoglądałem bystro przed siebie, czy nie dojrzę gdzie patrolu policyi, a widząc, że miasto jest puste, obejrzałem się za Robertem i omal nie krzyknąłem z przerażenia. Mój mniemany Dżalgi żegnał raz jeszcze mniemaną Malajkę!

— Mino! Co robisz? Zgubisz nas obu! — zawołałem, przyciszając głos i porwawszy Roberta za rękę, biegłem co sił przez kręte zaułki. Dopiero na Commissioner Street zwolniłem kroku, bo tu latarnie świeciły jasno, a przechodzący oglądać się za nami zaczęli.

Udawałem zucha, choć serce biło mi w piersiach, jak kołatka wielkopiątkowa. Musieliśmy mijać dom pana Burnsa, i tego właśnie bałem się dla Roberta. Zostawiał w Johannesburgu ojca kalekę...

— Bóg ocali nas, przyjacielu, albo zginiemy razem — powiedziałem wzruszony.

— Niech Bóg czuwa nad tobą, Johnie, niech cię wróci twojemu dobremu ojcu — odrzekł, spoglądając na dom ciemny i smutny. Nie było komu oświetlać jego okien.

Mnie dławiły łzy, kamienie bruku paliły mi stopy i czułem, że w tych warunkach niedługo będę mógł utrzymać się na nogach.

Wtem zadudniły czyjeś kroki. Biegł ktoś za nami. Mało powiedzieć gonił — pędził co sił. Byliśmy już na drugim końcu miasta.

— Pilno temu pasażerowi — mruknąłem pod nosem, nie mając odwagi obejrzeć się poza siebie, a tu jakaś czarna łapa chwyta mnie za ramię.

— Master John — szepnął mi ktoś do ucha — master John, nie uciekaj bez Munga. Mungo kocha master Johna i master Roberta. Mungo bić Anglików, Mungo bronić dobrych dwa master.

Janek Żórawski.

Wyszczerzył zęby, które błyszczały, jak kły buldoga, ale oczy Murzyna uśmiechały się poczciwie. Wiedziałem, że raczej odda życie za nas, niżby miał zdradzić. Nie pytając więc, skąd się wziął, dałem mu znak, aby szedł za nami. Groziło nam w tej chwili największe niebezpieczeństwo, ale obecność Munga dodała mi otuchy, a powiem wam prawdę, koledzy, choć nie do śmiechu mi było, uśmiechałem się mimowoli na myśl, że wobec osłabionego gorączką Roberta ja to wyszedłem na dowódzcę wyprawy.

Zbliżaliśmy się ku linii pikiet. Szopa, do której Bur przyprowadzić miał konie, stała w polu, poza łańcuchem wart. Nie strzegł jej nikt, gdyż właściciel fermy podmiejskiej zginął w utarczce z Anglikami. Szopy dojrzeć nie mogłem, ale błyszczały oświetlone okna odwachu. Mnie wydały się one złowrogie i groźne, jak ślepia dzikiego zwierza.

Pikiety przepuścić nas nie mogły, bo nie wiedziałem hasła. Jeśli będziemy zmuszeni iść na odwach, dla pokazania papierów, to oficer, dowodzący posterunkiem, łatwo może poznać podstęp, a wtedy wszyscy wpadniemy w pułapkę. Rozkaz marszałka był wyraźny, ale w rozkazie wymieniono tylko moje nazwisko. Co się stanie, jeśli oficer każe zrewidować Roberta?

Milczeliśmy, zwalniając mimowoli kroku. Zdala dolatywało do nas echo miarowych kroków szyldwacha. Stąpał po twardej szosie, my szliśmy rozmiękłą od zimowych deszczów drożyną. Dokoła pusto było i ciemno. W powietrzu taka panowała cisza, że przerywało ją tylko sapanie Mungi, który z trudnością wyciągał stare nogi z rozmokłej gliny.

Nagle zegary johannesburskie zaczęły bić dziesiątą. Drgnąłem. Coś niewypowiedzianie smutnego było w tych dźwiękach, które zdawały się trącać o mózg i serce. Nie miałem jednak czasu dumać nad ponurym odgłosem wydzwonionej godziny, bo Mungo schwycił mnie za ramiona

i zepchnął bez ceremonii do przydrożnego rowu. Widziałem, że zrobił to z Robertem, poczem ukrył się sam przy nas.

— Czy zwaryował? — myślałem rozgniewany postępkiem Murzyna, ale nie śmiałem protestować, bo znajdowaliśmy się już bardzo blizko szyldwacha. Wtem błysnęło światło i z odwachu wyszedł wachmistrz, prowadząc za sobą kilku żołnierzy.

Zrozumiałem teraz, dlaczego mądry Mungo ukrył nas w rowie i dlaczego siedział w nim sam przyczajony, jak zając. Mungo znał zwyczaje Anglików, bo odbył już z nimi niejedną kampanię przeciw Zuluanom i Basutom. Wiedział, że o dziesiątej wachmistrz luzować będzie warty.

— Master młody... Master dobre uszy... Słuchać...— szepnął mi do ucha Murzyn, a ja nie wiedziałem, czego mam słuchać w tej ciszy: dochodziły tylko zdaleka miarowe kroki szyldwacha, brzęczały po kamieniach gościńca stalowe ostrogi oficera, prowadzącego patrol.

— Stać! Kto idzie? — zapytał jakiś głos.

— Ront — odpowiedział wachmistrz.

— Hasło? — zapytał znów szyldwach.

— Chiny. Schodź z posterunku — komenderował podoficer i zaczęła się zwykła zmiana placówki.

— Słyszał master, słyszał! — szeptał mi Mungo do ucha. — On gada Kina. Master pamiętać, master zrozumieć, master gadać Kina tam, tam — mówił, wskazując ręką chodzącego przed nami szyldwacha.

Tak, pamiętam, zrozumiałem. Zwłaszcza zaś podziwiałem roztropność Mungi, a i wstydziłem się trochę. Toż przed chwilą byłem dumny z siebie, jako z kierownika wyprawy. — Najmłodszy, a jednak ja to prowadzę wszystkich — myślałem z uczuciem zadowolenia, a przekonałem się przy pierwszej sposobności, że jestem osieł, że brak mi jeszcze wiele do tego, aby zostać wodzem.

Gdyby nie poczciwy Murzyn, siedzielibyśmy teraz na odwachu... Robert był obojętny na wszystko, tak go

zgnębiło pożegnanie z Miną i myśl, że zostawia w Johannesburgu chorego ojca. Ja więc tylko cieszyłem się pomyślną zmianą położenia.

— Wiemy hasło, przepuści nas warta, Burns ocalony — myślałem i byłbym krzyczał z radości, ściskał Mungę, przewracał koziołki w błotnistym rowie, zwłaszcza zaś biegł jak najprędzej do gościńca, gdzie czekały na nas konie. Ale roztropny Murzyn powstrzymał mój zapał i kazał siedzieć w rowie, póki oficer, luzujący placówki, nie wróci na odwach. Siedzieliśmy więc przyczajeni, jak myszy pod miotłą.

— Jakim sposobem znalazłeś się na naszej drodze?— zapytałem Murzyna.

Położył palec na ustach, nakazując mi milczenie i szeptem opowiadał swoją historyę. Tęsknił za panią Kety i nie mógł dłużej już usiedzieć w Pretoryi, chociaż zarabiał tam dużo. Chciał mi nawet wcisnąć w rękę kilka sztuk złota, utrzymując, że pieniądze przydadzą nam się w drodze, ale pokazałem mu własną swoją sakiewkę, którą, co prawda, bardzo się potem wypróżniła przez kupno koni.

— Skąd master John brać dużo złota? — pytał zdziwiony. A gdy mu powiedziałem, że pieniądze są tatki, kiwał poważnie głową, jak gdyby uznając słuszność takiej kombinacyi. Opowiedział mi, że jego pułkownik otrzymał rozkaz ścigania Delareya, wodza Burów. Mungo nie chciał należeć do tej wyprawy i wrócił właśnie w chwili, kiedy Mina po pożegnaniu z nami otwierała drzwi pustego domu na Commissioner Street.

— Mungo bić Anglików — szeptał, zaciskając pięści, tak go oburzało uwięzienie pani Kety. — Mungo gonić master Roberta, prędko, prędko, Mungo wszystko wiedzieć. Master John dobra, bardzo dobra, schowała master Roberta. Mungo umrzeć za dwa master — mówił poczciwy Murzyn, ściskając mi tak silnie ręce na znak wdzięczności, że omal nie krzyknąłem z bólu.

Kto widział szybkość biegających Murzynów, ten łatwo zrozumie, jakim sposobem Mungo zdołał nas dopędzić. Mina znała dobrze Mungę i wiedziała, że z narażeniem życia bronić będzie Roberta, którego nazywał swoim najmłodszym panem. Kazała mu iść za nami i osłaniać naszą ucieczkę. Jego pomoc przydała nam się jeszcze.

Pikieta przepuściła wprawdzie zbiegów, bo z wielką pewnością siebie wymieniłem hasło „Chiny," ale Robert tak osłabł, że Mungo podtrzymywać go musiał i niósł prawie na rękach do szopy. Szczęściem konie stały już osiodłane. Dałem Robertowi napić się koniaku, aby mógł dosiąść wierzchowca. Poczucie, że jest wolny, że ma broń w ręku i wraca do swoich, pokrzepiło go więcej, niż nawet wyborna wódka francuska.

Pożegnaliśmy Mungę. Kochany Murzyn! uściskałem go z całego serca, bo jakże się okazał dobrym i mądrym! Obiecał odnieść moje książki do domu pana Burnsa. Nie posądzają mnie tam już o zdradę i jestem pewny, że Mina przechowa tatce jego ulubione dzieła, chociaż Burowie mało cenią poezyę i Robert nie pojmuje wcale, dlaczego zachwycam się Mickiewiczem lub Słowackim. On umie na pamięć tylko kilka psalmów; poza tem arcydzieła literackie są mu zarówno obojętne, jak piękne obrazy lub rzeźby, których zresztą nigdy nie widział.

Chciałbym bardzo obudzić w Robercie zapał do sztuk pięknych. To tak miło zwierzać się przyjacielowi z doznanych wrażeń. Ale nie czas na deklamowanie wierszy, kiedy szabla Anglika nad karkiem. Przytem Burowie niechętnie czytają książki angielskie, a holenderskich autorów ja znów nie znam. Ach, gdybym mógł dać odczuć Robertowi piękności „Pana Tadeusza!" Ten też tylko mały, a tak cudny treścią tomik zabrałem z sobą... Resztę książek zaniósł Mungo na Commissioner Street.

Wracam jednak, koledzy, do dziejów naszej ucieczki. Wierzcie mi, że niebardzo to przyjemna rzecz mieć za sobą pościg nieprzyjacielski i wiedzieć, że w razie schwy-

tania grozi nam więzienie, lub gorzej jeszcze. Czuliśmy Anglików za plecami, widziałem z szopy oświetlone okna odwachu.

Dreszcz mną wstrząsa, gdy o tem pomyślę teraz, a tem więcej bałem się tych kochanych Anglików tam na miejscu w szopie. To też Mungo obwiązał wojłokiem kopyta naszych koni, żeby tentent podków nie zwrócił uwagi szyldwacha, patrolującego na gościńcu. Jechaliśmy z początku wolno, a potem coraz prędzej. Robert odzyskał dobry humor, bo rozkosz to prawdziwa znaleźć się na siodle, wśród szerokiej wolnej przestrzeni. Kierowaliśmy końmi wedle wiatru, gdyż ani jedna gwiazda nie wyjrzała z za chmur.

Robert dążył do Potschefstroomu, gdzie spodziewał się spotkać oddział Dewetta. Należało jechać na zachód, a więc w kierunku wyspy Świętej Heleny. Każde stąpnięcie konia zbliżało mnie do ojca. Ta myśl sprawiała mi dziecinną, ale niewysłowioną radość.

Dziecinną, gdyż oddzielał mnie od tatki ocean.—Ale jednak jestem o krok bliżej — powtarzałem sobie z uciechą i pędziliśmy obaj, jak szaleni, prawdziwie na złamanie karku.

Gdyby który z zabobonnych Mazurów lub Podlasiaków zobaczył takich dwóch jeźdźców, cwałujących w ciemną noc, zwłaszcza tego, co uczerniony podobniejszy był do dyabła, niż do człowieka, cóżby sobie pomyślał dodroduszny poczciwiec? Oto przeżegnałby się przed złym i jeszcze splunął od uroków. Nas jednak prowadziła ręka Opatrzności. Po dwugodzinnym galopie, kiedy przesadziliśmy w ciemności niejeden rów i niejeden strumień, konie wyjechały nakoniec na pachnącą od traw łąkę. Było gdzie nakarmić zmęczone szalonym biegiem wierzchowce, bo nikt tej łąki nie kosił w jesieni.

Należał się koniom dłuższy spoczynek; są one w Transwaalu tak wytrwałe i zmyślne, jak chyba nigdzie na świecie, ale nasze pokaleczyły boki, pędząc przez zarośla kol-

czastych mimoz. Czułem pod ręką krew, kiedy rozczulony powolnością zwierzęcia głaskałem swego kasztanka. Postój trwał krócej, niż zamierzaliśmy, spłoszył nas bowiem strzał. Nigdy zapewne już nie dowiem się, kto wypalił z fuzyi, ale huk obudził gromadę pawianów, nocujących na skalistem wzgórzu.

Dreszcz przechodzi po skórze, kiedy przypominam sobie ich wycie, szczękanie i zgrzytanie zębami. Skakały koło nas, jak gromada złych duchów, i miałem znów sposobność podziwiania zmyślności koni burskich.

Nasze stuliły uszy ze strachu przed złośliwemi małpami, gdyż podrażnione bywają niebezpieczne zarówno dla zwierząt, jak i dla ludzi. Drogi nie można było rozpoznać w ciemności, musieliśmy więc zdać się na instynkt koni. Stąpały wolno, bo dolina była w tem miejscu zarzucona głazami, macały nogami kamienie, choć pilno im było uciec przed wstrętnem wyciem pawianów, które przeskakiwały ze skały na skałę, zgrzytając zębami, jak gdyby pożreć nas chciały. Szczęściem grunt stawał się z każdą chwilą równiejszy, mogliśmy przyśpieszyć kroku.

Jazda trwała już zapewne parę godzin i właśnie zamierzaliśmy odpocząć po karkołomnej z pawianami przeprawie, kiedy nagle łuna pożaru rozświeciła horyzont.

— Co znaczy ta jasność? — zapytałem Roberta. — Wyprzedził mnie o kilkanaście kroków, zatrzymał wierzchowca i patrzył ponuro w stronę, skąd światło zdawało się zbliżać.

— Anglicy podpalają nasze fermy. Płomień objął suche trawy i ogarnia coraz szerszą przestrzeń — odpowiedział, skręcając koniem ku południowi.

— Dlaczego zmieniasz kierunek drogi? Ogień jest bardzo daleko — zapytałem zdziwiony.

— Daleko, lecz za chwilę będzie blizko. Trzeba pędzić ku rzece Waal. Pożar oprzeć się może aż o jej brzeg.

Pędziliśmy więc, gdyż Robert miał słuszność. Ogień ogarniał coraz szersze przestrzenie. Konie czuły niebezpieczeństwo. Biedne drżały, ale biegły z całych sił. Nie pojmuję, jakim sposobem wytrzymały taką jazdę. Pożar obudził czujność zwierząt. Ożywił się step. Gromady kuropatw, przepiórek i bażantów uciekały stadami z pod nóg koni, a lotne ptactwo z krakaniem i wrzaskiem unosiło się w powietrzu, jak złowroga chmura. Spłoszone stada antylop uciekały przed nami w kierunku rzeki. Szeleściały rogi kóz, trącając o siebie, bo pośpiech odbierał tym zazwyczaj zręcznym stworzeniom przytomność. Słyszałem zdaleka tentent innego stada i obejrzałem się na siodle. Wydało mi się, że biegnie z daleko większą szybkością, niż te, które mijały nas dotąd.

O, nie zapomnę nigdy wspaniałego widoku! Widywałem girafy w ogrodach zoologicznych. Jakież one były niezgrabne i obszarpane! Ale teraz gnała ku nam gromadka prześlicznych, wyniosłych zwierząt, o sierści lśniącej, jak najmiększy aksamit. Cóż to za lekkość poruszeń, co za wdzięk w pochyleniu szyi i głowy! Zrozumiałem okrucieństwo wszystkich, chociażby najlepiej urządzonych menażeryi. Więżąc cudne na swobodzie zwierzę, potrafiły przekształcić girafy w pożałowania godne stworzenia. Słońce świeciło już w całej pełni, a step drżał jeszcze od uciekających stad. Chronił się przed pożarem i dziki zwierz, ale nie zwracaliśmy na niego uwagi. Nie bały go się nawet sarny. Co żyło, myślało tylko o ratunku. Pędziły złośliwe pawiany, te same zapewne, które przed paru godzinami zgrzytały na nas zębami. Lampart przebiegł tuż obok mego konia, a ja patrzyłem na niego jak na zwyczajnego kota i podziwiałem zręczność skoków zwierzęcia, bez obawy, aby ten kotek nie obdarł mi skóry swymi pazurkami. Zazdrośćcie, koledzy, widoku takiej obfitości zwierzyny i grozy tego poranku na stepie. Giraf wolnych nie zobaczę pewnie drugi raz w życiu. Nie zapomnę też nigdy tego pożaru.

Robert zatrzymał konia, stanął w strzemionach, rozejrzał się po okolicy, bo znał ją dobrze. Od czasu ucieczki z Emaus przedeptał w różnych kierunkach step, służąc pod rozkazami najdzielniejszych partyzantów burskich. Każda ferma, każdy wzgórek, były mu wskazówką drogi, chociaż ja nie widziałem żadnej.

Patrzyłem z dumą na przyjaciela. Wyglądał wśród wysokich traw, jak król stepu; zdawał się pić piersiami powietrze ojczyste, a nozdrzami węszyć wroga, który niósł mu na kraj pożogę i zniszczenie. Nie był to już osłabiony i znękany tęsknotą za ojcem Robert, ale pan tej ziemi, energiczny, zacięty Bur, gotów stanąć do walki z najeźdźcą. Nagle zarżał mój kasztanek i obejrzał się za siebie. Poczuł konie w stepie. Istotnie dopędziło nas wkrótce dwóch jeźdźców. Byli to towarzysze Roberta z obozu Dewetta. Dowiedzieliśmy się od nich, że wódz przeszedł już granice Oranii i dąży na południe, dokąd uda się także ze swym oddziałem Delarey. Jego wyprawa w stronę Potschefstroomu była tylko podstępem wojennym, wymyślonym w celu odwrócenia uwagi Anglików od ruchów Dewetta.

— Co zamierzacie robić dalej? — zapytał Robert.

— Jedziemy do Rhenoster-farm. Tam zebrać się mają ci z nas, którzy zdołali uniknąć pościgu. Ciebie mieliśmy za straconego.

— Straconą jest tylko dobra sposobność wykurzenia psów zamorskich z Johaannesburga. Ja winien jestem życie — jemu.

Wskazał na mnie. Podałem z konia rękę młodym Burom i od uścisku tych dzielnych, szlachetnych dłoni krew raźniej krążyć zaczęła w moich żyłach. Nie byłem już sam na świecie: oddana przysługa brata ludzi, czułem się też bratem moich towarzyszy.

Odtąd jechaliśmy razem w kierunku rzeki Waal, bo chociaż mieliśmy pomyślny wiatr, czułem wciąż perzynę, unoszącą się w powietrzu.

Przepłynęliśmy rzekę Waal, przepłynęliśmy rzekę Rhenoster. Tu, w czasie dłuższego postoju, Robert zmył z siebie nareszcie sadzę i z Murzyna został Burem. Bolało go tylko, że nie ma zwykłego swego ubrania. Ale dostał je od pana van der Welde, właściciela fermy Rhenoster, który przyjął nas wszystkich bardzo gościnnie, chociaż jest już stary i nie wierzy w możliwość zwycięstwa dla Burów.

Spałem dwadzieścia cztery godzin, nie budząc się wcale, a potem wypiłem odrazu kwartę kawy i zjadłem sześć placków kukurydzowych, co nie odebrało mi apetytu przy obiedzie. Prawda, że pieczeń barania jest moją ulubioną potrawą, a przytem łykałem trochę bezwiednie smaczne kąski, bo słuchałem uważnie rozmowy prowadzonej przy stole.

Jeden z przybyłych od Dewetta Burów tłomaczył panu van der Welde konieczność dalszej wojny, a potem żołnierze różnych oddziałów wychwalali swoich dowódzców.

Wszystkich przekrzyczał Vidal. Francuz górował temperamentem nad Holendrami.

— Mówię wam, niema jak Daniel Theron. Muszę wracać do Francyi, bo chcę wziąć udział w wyprawie chińskiej. Inaczej zostałbym na zawsze pod rozkazami Therona.

— Ale i Dewett dzielny wódz — przerwał Bur, którego spotkałem na stepie.

— Dzielny, dzielny, — któż temu przeczy? Tylko, sapristi, nikt nie ma tego sprytu, co Theron. Spryt, voilà o co chodzi. Wszyscy wiedzą, że Theron jeździ na koniu i na welocypedzie jak najlepszy sportsman z wyścigów w Longchamps, ale ja cenię w nim przedewszystkiem jego dyabelską przebiegłość — voilà! A wiecie, jakiego figla spłatał Anglikom w kwietniu? Doniesiono Theronowi, że w Klip River, pod samym Johannesburgiem, uwięzili Anglicy kilkudziesięciu Burów. Voilà! woła wódz i pędzi,

a my za nim, pewni, że będzie kawał dobry. I był też dobry, zobaczycie.

Więźniów pilnował odźwierny Jeffers. On wasz, z urodzenia Bur, ale łotr oddał się Anglikom z duszą i ciałem, voilà.

Dojeżdżamy, a Theron zaczyna rozmawiać ze mną po francusku, z moim towarzyszem po niemiecku i komenderuje: Stać! po angielsku, bo gada wszystkimi językami, jak bestya apokaliptyczna. Byliśmy ubrani w mundury koloru khaki. Zdobył je wódz na Anglikach i nieraz już oszukaliśmy nimi tych rabusiów. Jakże miał nas poznać osieł Jeffers, kiedy wyglądaliśmy na paniczów z Yeomanry *) i paplaliśmy po angielsku, i śmialiśmy się, jak gdyby czekały nas za oceanem wszystkie piękne damy angielskie.

Siedzi Jeffers przed więzieniem, patrzy, słucha i myśli, że to jacyś wielcy lordowie, a Theron rozkazuje w najczystszym angielskim języku:

— Klucze od więzienia!

— Są, sir — odpowiada pokornie odźwierny.

— A gdzie stoją konie więźniów?

— Konie są w mojej stajni, sir. Ale przedstawiam uniżenie, że rząd jej królewskiej mości miał mi zapłacić za żywienie koni i więźniów.

— Otwórz więzienie, a tu masz rozkaz do skarbnika w Johannesburgu. On ci zwróci należność — powiedział Theron z miną kanclerza i oddał Jeffersowi kartkę wydartą z notesu.

W jednej chwili wszyscy więźniowie byli już na koniach. Jeffers przez wielką gorliwość sam pomagał siodłać wierzchowce. Ale voilà, jakże się osieł przeraził, kiedy przybiegł do niego Kafr, który poznał Therona, i powie-

---

*) Przypominamy, że Yeomanry jest to pułk, złożony z ochotników pochodzenia szlacheckiego.

dział mu, że Burowie biorą go na kawał. Poczciwi Burowie! on, łotr, wart, żeby wziąć go na postronek, voilà. Zmykał też, zmykał comme un diable enragé. Więzienie stało nad rzeką, skoczył do rzeki, przepłynął ją wpław i zmykał znów, choć lała się z niego woda, jak ze zmokłego psa. Popędził do Johannesburga, żeby zdać raport o ucieczce Burów, a my tymczasem śmialiśmy się w kułak. Takie to figle umie płatać Theron, voilà...

— Ale Dewett potrafi lepiej — przerwał Holender i rad, bo nareszcie dopuszczono go do słowa, opowiedział nam, że w tym samym czasie, to jest w kwietniu, kiedy Theron uwalniał więźniów burskich z Klip River, Dewett napadł na konwój angielski pod Bushmanskop.

— Konwój przechodził przez rzekę — prawił Holender — a prowadził z sobą furgony z żywnością i ubraniem. Dewett obsadził wzgórza ponad brodem i natarł odrazu z trzech stron. Jakiej narobił kapusty, tego nie podejmuję się opisać. Londyńskie pasztety i solone roastbeefy pływały po wodzie, a z rozbitych furgonów sypały się buty, jak gruszki. Anglicy byli wściekli, bo strzelaliśmy z góry; nie widzieli nas wcale, a ginęli, jak muchy, grzebiąc się w błocie. Mnie żal ich było, ale i śmiech brał, patrząc na to widowisko. Dewett zabrał wtedy 375 więźniów, 1,000 mułów, 104 furgony naładowane amunicyą i żywnością, a prócz tego 7 armat. Rannych wyciągaliśmy z błota przez miłosierdzie. Wyglądali, jak na pół ugotowane raki, do pasa czarni, od pasa czerwoni.

Zrobiło mi się smutno, słuchając opowiadania Holendra. Burowie są łagodni z natury, a jednak żołnierz Dewetta mówił obojętnie o okropnościach wojny.

Czerwony mundur! — toż i ja pamiętam, jak wpadliśmy w pułapkę razem z sir Johnem Huntleyem! On dobry, szlachetny, młody, miał także czerwony mundur na sobie i padł od kuli tego samego Daniela Therona, o którym Vidal opowiadał przy obiedzie. Biedny podcięty kwiat leży w jarze Witwaterskim, a matka płacze nad listem



Dewett obsadził brzegi ponad brodem...

syna, który jej posłałem, bo ja to, Polak nieznany, byłem zwiastunem okropnej wieści.

Zamyślony, nie zwracałem uwagi na dalszą rozmowę. Vidal dowodził uparcie, że Theron jest przebieglejszy od Dewetta, aż dla zakończenia sporu gospodarz fermy zabrał znów głos, tłomacząc młodym konieczność zaprzestania wojny. On wprawdzie nie stracił nikogo ze swoich, ale Anglicy mogli zniszczyć fermę...

Robert pobladł i zerwał się od stołu. Wybiegłem za nim do ogrodu i uścisnąłem z współczuciem rękę przyjaciela. Jakże go rozumiałem! Stracił tyle drogich osób, tęsknił do ojca i do Wilhelminy, a jednak narażał się na nowe niebezpieczeństwa...

— Nie żałuj mnie — powiedział, oddając uścisk za uścisk—nie żałuj nigdy syna, który może z taką czcią wspominać ojca, jak ja swojego wspominam.

Biedny Robert! ten nie zniechęci się prędko. Odzyskał już siły, chce więc zaraz jutro spłatać figla Anglikom. Zamierza popsuć tor kolei żelaznej, prowadzącej z Heilbronu do Kronstadu, a potem popędzi dalej szukać Dewetta. Ja zaś pożegnam przyjaciela i zaopatrzony w rozkaz marszałka będę się starał dojechać do najbliższej komendy angielskiej, żeby pod jej opieką dotrzeć do Durbanu, gdzie wsiądę na okręt, płynący w kierunku wyspy Świętej Heleny. Czy tylko wystarczy mi pieniędzy na opłacenie przejazdu? Wydałem już dużo grosza i zmieniłem większą część funtów, otrzymanych od bankiera francuskiego.

Wiem, że ojciec nie weźmie mi tego za złe. Jeśli naruszyłem jego fundusz, to z konieczności. Musiałem przecież kupić broń, a zwłaszcza konie, bez których ucieczka była niemożliwa. Koń płaci się teraz na wagę złota w Transwaalu. Szczęściem nasze kosztowały bardzo tanio, bo ocaleniem mego przyjaciela interesowali się wszyscy Burowie w Johannesburgu i kupiec oddał nam za bezcen wierzchowce.

Fundusz mój jest więc już znacznie uszczuplony, gdyż kupowałem przecież nietylko konie, ale rewolwery, koniak, przebranie Roberta i wiele innych drobiazgów. Ach! zapomniałem o zegarku! Wielka to z mojej strony niewdzięczność, bo jest mi niezmiernie użyteczny. Wiem i teraz, za ile godzin wyruszę w drogę. Czy wyobrażacie sobie, koledzy, co to za radość wybierać się nareszcie w podróż, której celem odnalezienie ojca? Tym razem Telemak nie zatrzyma się już nigdzie, dążyć będzie wprost do swego najdroższego Odysseja ale podąży tam dopiero jutro, bo kasztanek musi jeszcze wypocząć.

List do was zabierze Vidal. Zazdroszczę mu, gdyż wprzód ode mnie będzie w Kapetownie, jeśli naturalnie nie zostanie aresztowany przez Anglików. Dałoby mu to sposobność powiedzenia im „voilà,“ wyrazu, który powtarza co chwila. Jestem znów niewdzięczny, nietylko względem zegarka, ale i względem grzecznego Francuza, który obiecał oddać list mój na pocztę.

Czemuż nie mogę siebie zapakować w kopertę i wysłać franco na wyspę Świętej Heleny? Uniknąłbym wszelkich nadzwyczajnych przygód, a doznałem ich już tyle, że ze strachem myślę o jutrzejszej podróży. Ptakiem leciałbym, tak mi pilno uściskać ojca!

Pomyślcie o mnie, wy szczęśliwcy, którzy pod okiem rodziców zaczynacie z początkiem roku szkolnego odrabiać znów swoje zadania szkolne.

Jak dużo musicie już umieć! Jakże wstydzić się was będzie wasz

Janek Żórawski.

Kartki z dziennika Janka.

Na rzece Oranie (Pomarańczowej). Listopad 1900 r.

Żyję, ocalał nawet zeszyt zabrany z redakcyi Standarda. Zeszyt to gruby, zaopatrzony w ołówek, który za-

temperowałem kordelasem. Łódź płynie równo po szeroko rozlanych falach rzeki. Czasu mam dosyć, mogę pisać chociażby całymi dniami. Jedyna to moja rozrywka, jedyna możność ukojenia smutku za Robertem, tęsknoty do ojca, do kraju!

Kiedy tak leżę bezczynnie w łodzi i całemi godzinami zatapiam wzrok w błękitach wody lub nieba, to myślę czasem, że Opatrzność dała mi ten wypoczynek po wstrząśnieniach, których doznałem od roku.

Tak, rok mija właśnie od początku wojny transwaalskiej. Wmieszany w nią mimo mej woli, doznałem tylu przygód, patrzyłem na tyle cierpień, że zdawało mi się chwilami, jak gdybym tracił już zmysły. Biedni Burowie! biedny Robert i Wilhelmina!...

Natura koi każdy ból. Doświadczyłem tego na sobie. Myślałem, że nigdy już nie potrafię się otrząsnąć z przygnębiających wspomnień krwi, śmierci i pogromu, a jednak zaczynam wracać powoli do równowagi i doznaję nawet chwilami radości z życia. Nie wyrzucam sobie tych uczuć, bo przecież ojciec mój czeka mnie, więc śpieszyć do niego powinienem, i jestem Polakiem, zatem chociaż współczuję Burom, własny kraj ciągnie ku sobie niepohamowaną siłą. Jest niezmierna pociecha w tych słowach: „Wrócimy do Warszawy.“

A przytem jak tu nie odczuć ukojenia, kiedy trudno wyobrazić sobie coś piękniejszego nad tegoroczną wiosnę.

Natura odkwita bujnie na świeżych mogiłach. Brzegi Oranii zielenią się i pstrzą rozmaitością różnorodnych liści i traw, od tak ciemno-zielonych, że aż czarnych prawie, do szmaragdowych, lub seledynowych i zupełnie jasnych, bo zlewających się kolorem z barwą wód rzeki.

My, mieszkańcy północy, nie mamy pojęcia o bogactwie roślinności południowej. Tu nietylko bujnie rośnie każde drzewo, ale dźwiga ono jeszcze na sobie zwoje pnących się po niem lian. Liany okryte kwiatami

przerzucają swe zielone pędy od pnia do pnia. Wygląda to, jakby ubrano brzeg rzeki festonami dzikiego wina na jakąś wielką i radosną uroczystość.

Niestety! w kraju Burów niema komu świętować wraz z odrodzoną przyrodą. Ja tylko cieszę nią oczy. A jak nie podziwiać uroczych widoków, kiedy w tej chwili, naprzykład, przepływam około wzgórz, pokrytych bukietami czerwonej pelargonii. Wygląda to, jak gdyby ze skał płynęła krew, której tyle rozlano w Transwaalu i Oranii. Krew, wszędzie krew!...

Odwracam głowę od krwawych kwiatów. Wolę patrzeć na olbrzymie agawy, na różowe kaktusy i na cudne lilie, strzelające w niebo wysokiemi łodygami. Nie są one podobne do naszych, zowią je zaś, zdaje mi się, liliami przylądka.

A rzeka, którą znałem z pierwszej mojej do ojca podróży, jakże jest majestatyczna swą wielkością! Orania, po holendersku Oranje, w narzeczu zaś Zulusa, mego przewoźnika, Garib, ma przeszło 2,000 kilometrów długości. Powstaje ona z dwóch dopływów: Nu Garib czyli rzeki Czarnej, i Gei Garib czyli rzeki Niebieskiej. Oba biorą początek w górach Drakenberskich. Wody tej wielkiej rzeki stanowią granicę między Kaplandem i rzecząpospolitą Orańską. Potem przerzynają one ziemię Beczuanów sholdowanych przez Anglię i dążą do oceanu Atlantyckiego, gdzie wpadają między 28 a 30 stopniem szerokości południowej. Że zaś, jak wiecie zapewne, koledzy (gdyż zwracam się do was zawsze myślą, chociaż straciłem już nadzieję, abyście mieli czytać kiedy mój dziennik), wyspa Świętej Heleny leży między 10 a 20 stopniem, więc pojmiecie łatwo, dlaczego każde poruszenie wiosła sprawia mi rozkosz. Właściwie nie potrzeba nawet poruszać wiosłem: niesie nas prąd niekiedy bardzo silny. Płyniemy też szybko. Wyglądam z utęsknieniem chwili, kiedy ujrzę ujście Oranii. Ujście to, jak mi mówiono, ma podobno

pięć kilometrów szerokości, a jest tak zamulone piaskiem, zawleczonym przez fale, że łódź z trudnością przedostaje się na pełny ocean.

Nasza łódź jest wprawdzie mała, lekka i mocna, ale ma ładunek, którego nie można lekkomyślnie narażać na rozbicie. Niedaleko jednak ujścia Oranii jest port morski Nolloth. W Nolloth mam rozkaz siąść na okręt.

— Czyj rozkaz?—zapytacie, koledzy.

— Rozkaz generała Dewetta, najdzielniejszego wodza Burów, pod którym dane mi było służyć! On to obmyślił moją podróż, on oddał mi skrzynkę, którą wiozę ukrytą w podwójnem dnie łodzi. Wy czytacie o nim w gazetach, ja miałem szczęście poznać tego bohatera transwaalskiego. Niech Bóg czuwa nad nim i da mu zwycięstwo!

Może nie powinienem pisać o tem, co się znajduje w skrzynce, bo przecie to nie moja tajemnica. Ale z drugiej strony myślę, że chociażby nawet Anglicy pochwycili ten dziennik, to niełatwo znajdą człowieka, umiejącego po polsku. Nim jednak odkryję wam, koledzy, powierzony mi przez generała Dewetta sekret, muszę wprzód wrócić do ostatniego listu. Zabrał go Francuz Jerzy Vidal, a od tego czasu byłem świadkiem tylu czynów bohaterskich, że choć nie potrafię opowiedzieć ich tak, jakby to zrobił człowiek starszy, powtórzę przynajmniej wiernie wszystko, na co patrzyłem własnemi oczyma, bo chcę dać świadectwo waleczności Burów.

Im więcej doznaję przygód, tem więcej rośnie we mnie nadzieja powrotu do ojca i do kraju. Chwilami ulegam zniechęceniu, ale wiara w Opatrzność krzepi duszę. Bo mogłem przecież sto razy zginąć od roku, a jednak żyję, jestem zdrów, rany moje zagojone i teraz nic już nie stoi mi na przeszkodzie w powrocie do ojca. Nic mnie nie wiąże z Afryką, nie jestem nikomu potrzebny, odkąd mój drogi przyjaciel... odkąd Robert Burns nie żyje!

Jak to ciężko napisać: nie żyje! A jednak patrzyłem na jego śmierć, patrzyłem, jak wsiąkała krew szlachetnego młodzieńca w tę ziemię transwaalską, którą Robert tak ukochał! . . . .

. . . .

Zdaje mi się, że minął już październik, minęły imieniny ojca, który obchodzi je w dzień Świętego Tadeusza. Nie mam kalendarza, nie notowałem upłynionych tygodni, jak to robiłem w czasie mojej u Beczuanów niewoli. Przesłałem tatce myślą powinszowanie, bo płynąc między krajem zachodniej Gryki a krajem Korana, niepodobna marzyć o wyprawieniu listu. Gryka, kraj dyamentów! Ileż myśli nasuwa mi ta nazwa! Gdyby nie dyamenty i złoto, nie byłoby wojny transwaalskiej. A przytem czy pamiętacie, koledzy, dom misyonarzy w Emaus? Przepływam niezbyt daleko od znanych mi okolic i myśl nasuwa wciąż bolesne wspomnienia. Więzienie, podkop, ucieczka przez pustynię, spotkanie z lwem— wszystkie te niebezpieczeństwa dzieliłem z Robertem... A teraz?... Mój szlachetny, odważny Robert!...

. . . .

Wolę myśleć o imieninach ojca. Ostatni list do tatki wysłałem z Hopetown, miasta, leżącego na granicy Oranii. Handlarz, od którego kupiłem trochę żywności, podjął się wyprawić moją korespondencyę. Wie więc już tatko, że płynę do niego korytem rzeki Oranii, że jestem zdrów, ale nie donosiłem mu w liście o tem, jak ważne Dewett dał mi zlecenie.

Biedny ojciec smutne miał imieniny. Sam, na samotnej wyspie... Przeszłego roku byliśmy razem, a dawniej... O! dawniej, za życia mamy, spędzaliśmy bardzo wesoło imieniny tatki. Czasem mi się zdaje, że ta przeszłość to sen, a czasem znów prawie widzę Warszawę i dwupiętrową kamienicę, w której mieszkałem z rodzicami. Dziedziniec był duży, a na dziedzińcu maleńki

ogródek. Czy rośnie w nim akacya, jak za czasów mego dzieciństwa? Czy sypie z wiosną białe kwiatki na bruk podwórza? Ja te kwiatki nosiłem mamie, a ona je wąchała i mówiła, że są podobne do motylków.

Hej! hej! gdzie Warszawa? gdzie moje dzieciństwo? Mam piętnaście lat, jestem już prawie dorosły, a przytem żołnierz Dewetta!

Warszawa! Roją się po niej mundury uczniowskie i studenckie. Rolnik, Jaguar, tylu innych moich kolegów chodzi do szkoły, ja tylko tracę czas, bezczynnie leżąc na dnie łodzi, którą niesie fala. Kiedyż będę mógł znów pracować z wami? Pociesza mnie tylko jedna myśl, a mianowicie, że jeżeli przez ten rok zaniedbałem książki, to rozwinąłem się fizycznie, urosłem, zmężniałem. Tęgi ze mnie chłop, nie zmoglibyście mnie łatwo, zaręczam!

Przytem bieda nauczyła gagatka tatusiowego radzić sobie samemu w niebezpieczeństwach, bo przeszedłem taką szkołę życia, do jakiej wy, koledzy, nigdy zapewne chodzić nie będziecie. Wy słuchacie wprawdzie uczonych wykładów, ale miałem i ja swoich profesorów: głód, niebezpieczeństwo, tęsknotę, przykład bohaterskich czynów. Więc, chociaż nie uczą mnie historyi, wiem co to Hannibal, Epaminondas, lub Wilhelm Tell, bo obcowałem z Burami, a zwłaszcza z Dewettem.

O, nie zapomnę go nigdy! Poznanie Dewetta wynagrodziło mi wszystkie troski, wszystek ból ostatniego roku.

Tak, koledzy. Kto wie? może kiedy będziecie czytali ten dziennik. Tak, Jaguarze, tak, Rolniku, zazdrośćcie mi, bo patrzyłem na prawdziwie wielkiego człowieka.

Trzeba być Homerem lub Mickiewiczem, żeby opisywać jego czyny, ale przecież nawet taki, jak ja, prostaczek ma prawo powiedzieć, co czuje. Otóż mnie się zdaje, że w charakterze Dewetta i jemu podobnych

leży tajemnica, dlaczego Anglicy nie mogą zgnieść Burów.

Dewett, Theron, Delarey, Botha są istotnemi duszami swego narodu. Idą za nimi ludzie, bo iść muszą, chociażby na pewną śmierć.

Burowie nie posiadali i nie posiadają artystów, ani sławnych poetów, ani nawet uczonych; oni mają jedno tylko: energię czynu. Twórczy ich duch przejawia się jedynie w bohaterskich, prawie bajecznych porywach i sprawnej dzielności dowódzców. Jak żywe srebro rozpryska się pod naciskiem pięści w tysiące drobnych kulek, ale za najmniejszem potrąceniem kulki te tworzą znów jedną żywą ruchomą bryłę, tak dzieje się i z Burami. Nie stanowią oni regularnej armii, bo jest ich garstka, ale wśród tej garstki są bohaterowie, około których zbierać się będą zawsze ocaleni z rozbicia obywatele. Póki ci wodzowie żyją, póty wojna trwać musi, chociażby ostatni partyzant dowodził tylko czterema żołnierzami.

Wszystko, co tu napisałem, mówił mi nieraz mój dobry, dzielny Robert Burns, a ja zapamiętałem jego słowa i starałem się wiernie je tu powtórzyć.

Mówił prawdę. Wszak sam na sobie doświadczyłem uroku Dewetta: byłbym skoczył dla niego w ogień i w wodę — ja, obcy. Czegóż więc Burowie uczynić nie są zdolni, kiedy prowadzi ich taki wódz?

Ale muszę najprzód opowiedzieć, jakim sposobem znalazłem się pod rozkazami Dewetta i dlaczego płynę znów wzdłuż rzeki Oranii. Niesie ona naszą łódź tak szybko, że wiosła są zupełnie niepotrzebne i leżą na dnie czółna, a my obaj wpatrujemy się w błękit nieba wiosennego.

Obaj, bo jest nas dwóch: ja i mój przewoźnik—Zulus Achabati. Dziwne nazwisko, prawda? Brzmi pięknie, zaraz poznać można, że nie nosi go wzgardzony Murzyn, lecz potomek wielkiego narodu.

Moopa, Dżalga, Mungo — to pospolici Kafrowie, chociaż Mungo niepospolicie był poczciwy i niepospolite też oddał nam przysługi. Achabati nie zadawałby się z takimi—on gardzi tuziemcami, bo jest Zulusem, a Zuluanie ujarzmili wszystkie sąsiednie plemiona Murzynów.

Przytem Achabati pochodzi z królewskiego rodu Pandy, z rodu, który miał swoją stolicę w Ulundi, a rozkazywał licznym pułkom. Mój towarzysz nie zapomina nigdy o tem i nie lubi, gdy inni są obojętnymi na jego wielkość. Robi wiosłem nie jak człowiek obowiązany do pracy, ale jak wielki pan, któremu przyszła fantazya pchać czółno po wodach Oranii. Znosi swój los z godnością, utrzymuje jednak, że Afryka należeć powinna do Zuluan i że pomszczą oni kiedyś swoje krzywdy i na Burach i na Anglikach.

Wiatr przyniósł mi od brzegu woń kwiatów — cudny zapach, podobny do naszych konwalii. Zrywałem je kiedyś w lecie i tyle razy kupowałem potem w Warszawie dla mamy. Mama tak lubiła białe kwiaty i wiosnę... Wiosna i tu w całej pełni, ale inna, nie ma tego uroku, co w Polsce.

Tak mi czasem tęskno do naszych pól, do świergotu naszych ptaków, do dźwięku naszej mowy. Na pociechę, żeby usłyszeć wyrazy polskie, odczytałem pierwsze stronice tego dzienniczka i będę go pisał dalej.

Obiecałem opowiedzieć wam, koledzy, jakim sposobem znalazłem się w obozie Burów, a to mi przypomina, że ostatni mój list do Warszawy wysłałem z fermy Rhenoster. Nazajutrz zaś, to jest 30 sierpnia, miałem szukać komendy angielskiej, która pomogłaby mi się dostać do jednego z portów morskich, zapewne do Durbanu.

Otóż zobaczyłem Anglików wprzód, niż się spodziewałem, i pomogli mi oni dostać się... do Dewetta!

A było to tak. Siedziałem właśnie przy śniadaniu, zajadając polewkę z kukurydzy, kiedy wbiegł do pokoju służący Murzyn i krzyknął, że idzie jakieś wojsko. Rzu-

ciłem łyżkę, a tu już brzęczą szyby w oknach i słychać charakterystyczny świst kul. Dzwoni ci to nad uszami, jak dzwoni czasem natrętny komar. Odpędzasz go, machasz ręką, ty swoje, on swoje bzzzzz! Tylko bzzzzz kul gorsze od żądła komarów... To też skoczyliśmy wszyscy do koni. Były posiodłane, bo w czasie wojny koń musi być zawsze gotów do drogi, ale pośpiech nie na wiele nam się przydał.

Oddział huzarów angielskich gospodarował już w zabudowaniach fermy. Zaczęła się siekanina, a potem pościg, w którym omal nie straciłem życia. Miałem wprawdzie przy sobie rozkaz marszałka Robertsa, zapewniający mi opiekę władz angielskich, nie czas jednak powoływać się na piśmienny rozkaz, kiedy szabla nieprzyjaciela dotyka głowy.

Uciekałem też co sił, goniony przez dwóch tęgich rębaczy. Byłbym zginął bez pardonu, gdyby nie Robert, który zawrócił z drogi, naraził własne życie, ale przyszedł mi z pomocą. Niema chyba nic piękniejszego nad koleżeństwo broni. Wy w klasie ratujecie się wzajemnie i jeden za drugiego gotów odsiedzieć kozę, lub narazić się na pałkę w dzienniku. W bitwie dobry towarzysz połknąć może kulkę, jeżeli zawróci z drogi dla ratowania kolegi, a jednak zawraca i widziałem żołnierzy, unoszących z pola bitwy rannych braci broni, choć bomby i kartacze angielskie padały nad Modderą, jak grad.

Robert celnym strzałem powalił jednego huzara, a drugiemu wpakował pod żebro kordelas tak skutecznie, że ranny Anglik nie miał już siły rozpłatać mi czaszki. Stalowa klinga drasnęła tylko porządnie ramię.

Wypuściłem z rąk cugle, bo ból obezwładnił mi dłoń; byłbym może zachwiał się na siodle, ale Robert nie opuścił i teraz przyjaciela. Chwycił uzdę mego konia i jechaliśmy strzemię przy strzemieniu, pędząc co sił, bo wobec dziesięćkroć liczniejszego nieprzyjaciela, który prowadził z sobą armaty, tylko ucieczka mogła nas ocalić.

Burns spoglądał mi w twarz z niepokojem. Krew płynęła obficie. Musiałem być bardzo blady. Czułem, że tracę siły.

— Zostaw mnie. Taka widać wola Boża... Ratuj się sam — prosiłem.

— Wstydź się tego, co powiedziałeś — zawołał Robert i nie zatrzymując koni, chwycił mnie w pół, napoił koniakiem z własnej flaszki, a potem owiązał chustką moje ranne ramię tak skutecznie, że upływ krwi zmniejszył się odrazu. Posługiwał się przy tym dorywczym opatrunku więcej zębami, niż ręką. Burowie umieją radzić sobie w potrzebie. Kto ich nie widział na koniu i ze strzelbą, ten nie może mieć pojęcia o tem, co znaczy spryt i sprawność żołnierza.

Robert nie wypuścił ani na chwilę z ręki cugli obu wierzchowców, a że konie były wypoczęte, więc pędziliśmy jak wiatr w stronę Betleemu i gór Drakenberskich. Tam miał się znajdować obóz Dewetta.

Nie wiem jednak: czy ja jestem niewytrzymały, czy ból i upływ krwi zmogły mnie do ostatka, dość, że traciłem przytomność, a szalone pragnienie paliło mi usta. Pamiętam jakąś szeroko rozlaną rzekę, nad którą Robert zatrzymał konie. Przymknąłem oczy i nie wiem, co się działo potem z nami, bo odzyskałem świadomość wtedy dopiero, kiedy Robert ułożył mnie na trawie i napoił znów koniakiem z tej samej flaszki, którą kupiłem dla niego w Johannesburgu. Ściągnąłem okrwawioną kurtkę. Była przecięta na ramieniu. Mniejsza jednak o kurtkę. Gorzej wyglądało rozpłatane ramię.

Zabrał się do niego Burns, jak szewc do dziurawego buta. Obmył ranę wodą i wyjął z kieszeni pugilares. A trzeba wam wiedzieć, koledzy, że ubranie Bura ma zawsze niezliczoną ilość kieszeni. W pugilaresie znajdowały się wszystkie narzędzia felczerskie. Nie mogę powiedzieć, żeby widok tego użytecznego arsenału sprawiał przyjemne wrażenie. Patrzyłem ze wstrętem na dobór

różnego kalibru nożów i nożyczek, a Robert nawlekał tymczasem długą igłę.

— Burnsie! — zawołałem, odzyskując nagle siły — czy ty doprawdy chcesz spróbować na mnie swoich krawieckich zdolności?

— Cicho bądź, leż spokojnie — mruknął przez zęby, bo odgryzał właśnie nitkę od kłębka, poczem zabrał się bez ceremonii do zszywania ciała.

Zaciąłem usta, żeby nie krzyknąć z bólu. Muszę oddać sprawiedliwość memu lejb-chirurgowi, że zrobił operacyę bardzo zręcznie. Każdy Bur jest myśliwym, a każdy myśliwy powinien się znać na opatrywaniu ran. Małoż ich zresztą zadają Holendrom asagaje Zuluan lub strzały Basutów? Jakże często strzały te bywają zatrute, a jednak i takie leczyć się dają, jeśli wyssać ranę i umiejętnem przewiązaniem zmniejszyć odpływ krwi. Bur ma też zawsze w kieszeni różne cudowne plastry. Robert obłożył moje ramię maścią przyrządzoną przez panią Kety. Wprzód jednak jeszcze zalał skaleczone miejsce koniakiem, co piekło porządnie, ale zmniejszyło krwawienie, a o to właśnie chodziło głównie chirurgowi, bo zbladłem znów bardzo i musiał trzeźwić mnie wodą.

Krótko mówiąc, Robert spełnił z kolei obowiązki doktora, a przytem przyjaciela. Ileż okazał mi dobroci! Pochwalił potem pacyenta za cierpliwość i kazał spać, zaręczając, że sam czuwać będzie nad naszem bezpieczeństwem. Usłuchałem go chętnie, ale czyż w wojnie partyzanckiej można być pewnym spoczynku?

Mieszkałem kilka tygodni w namiocie angielskim nad Tugielą i miałem czas przypatrzyć się życiu obozowemu. Jakże było ono inne od tego, jakie poznawałem teraz i jakie miałem poznać dokładniej jeszcze, służąc pod rozkazami Dewetta. Wojna jest zawsze okropną, lecz żołnierz regularnej armii nie zna połowy trudów i utrapień partyzanta. Armia Bullera wlokła za sobą nad Tugielę setki wozów. Mieliśmy wygodny i spokojny nocleg, bo

nad naszem bezpieczeństwem i namiotami czuwały regularnie zmieniane warty. Mieliśmy zwłaszcza obfite na każdą porę pożywienie, grała nam muzyka w czasie marszów, a whisky rozdawana hojnie podtrzymywała ducha w wojsku.

Jakże inaczej działo się w oddziałach burskich. Mówił mi Tom Rassemus, z którym, jeśli pamiętacie, miałem sposobność zetknąć się w jarze Witwaterskim, że od czterech dni on i jego towarzysze nie jedli nic ciepłego. U Dewetta poszczono często dłużej. Żyją tacy biedacy kawałkiem placka kukurydzowego, śpią na kamieniu lub w błocie, a właściwie nie śpią wcale, bo otoczeni ze wszystkich stron, ścigani jak zwierz dziki w kniei, czy mogą zaznać spoczynku? Biedni, ale bohaterowie; na tę nazwę Burowie zasługują niezawodnie. Ileż razy, gdym patrzył na nich, przypominała mi się piosnka z „Karpackich górali“ Korzeniowskiego. Musicie pamiętać, koledzy, tę strofkę:

„Gdzie góry i bory, gdzie jary i jamy,
„Tam dla nas forteca i dom.“

Gdyby Burowie lubili śpiewać piosenki, to przypadłaby im pewno do gustu. Od roku nie mają już biedacy ferm, ani nawet wozów: domem ich i fortecą są bory, jary głębokie, lub góry niedostępne.

Ale czas wracać do opowiadania o własnych moich losach. Usłuchałem Roberta i usnąłem. Krótko jednak trwała drzemka, bo zbudził mnie wkrótce tentent koni.

Rozgorączkowany bólem, nie mogłem zrozumieć, o co chodzi, ani przypomnieć sobie, gdzie się znajduję. Dopiero po chwili wróciła mi przytomność. Jakaś konnica przeprawiała się przez rzekę, blizko miejsca, gdzie byliśmy ukryci. Sitowie zasłaniało nas doskonale, ale nasze konie, zwabione zapachem traw, wyszły na sąsiednią łąkę i one to naprowadziły dragonów angielskich.

Słyszałem rozmowę żołnierzy; słyszałem, jak narzekali na nieznośne trudy wojenne. Kilku jeźdźców popę-

dziło za naszymi wierzchowcami, kilku, zeskoczywszy z koni, przepatrywało brzeg rzeki.

Robert trzymał broń w pogotowiu.

— Ciebie uratuje rozkaz marszałka, mnie czekałby los Corduy. Drogo też sprzedam życie.

Milczałem, bo cóż miałem odpowiedzieć przyjacielowi? Kto wie, czy nie najlepiej byłoby dostać się w niewolę Anglików? — myślałem. Przyznaję szczerze, że nawet pragnąłem wpaść w ich ręce. Ale czyż mogłem narazić Roberta? Drżałem o niego, słysząc zbliżających się dragonów. Przeglądali bacznie sitowie. Nie znaleźli nas jednak, nie udało im się nawet pochwycić naszych koni. Zniechęceni próżną mitręgą, przepłynęli na drugi brzeg rzeki, a wymyślali na Burów, jak gdyby to oni winni byli wojnie.

Podziwiałem zmyślność wierzchowców transwaalskich: wróciły same do nas. W kieszeniach siodeł znalazło się trochę żywności. Dzięki zręcznemu opatrunkowi Roberta, ręka bolała mnie mniej. Trzymałem ją na temblaku, który Burns uplótł z sitowia i z jego pomocą dosiadłem znów kasztanka. Jechaliśmy okolicą coraz dzikszą i coraz górzystszą. Nie znałem wcale tych stron. Ranny i osłabiony upływem krwi, musiałem dzielić losy przyjaciela, chociaż Robert nie taił przede mną, że dąży do obozu Dewetta. Dla niego tam było bezpieczeństwo i tam cel dalszych działań.

Przyszłość swoją złożyłem w ręce Opatrzności, która sierotę z tylu wyprowadziła już przygód.

Kierowaliśmy drogę według gwiazd, przytem Robert miał mały kompas. Dążył do Ladybrandu, bo wiedział, że tam Dewett naznaczył punkt zborny dla rozbitków burskich. Dwa dni trwała nużąca i niebezpieczna ucieczka. Nie byłbym przetrwał jej trudów, gdyby nie Robert. Osłabiony bólem i upływem krwi, obojętny na wszystko, nawet na własne życie, pełniłem machinalnie rozkazy przyjaciela, pragnąc tylko odpocząć, odpocząć za jakąbądź cenę.

Tak dowlekliśmy się nareszcie do pierwszej pikiety holenderskiej. Ona to powiedziała nam, że oddział Dewetta obozuje opodal.

— Będę mógł nareszcie zsiąść z konia! — pomyślałem, chociaż żołnierze, stojący na warcie, głodni i obdarci, nie wróżyli nam długiego, ani wygodnego odpoczynku.

Góry zdawały się piętrzyć jedna za drugą; ledwo minęliśmy jedną, już nowa zastępowała drogę. Nie widziałem nigdy takiej plątaniny ścieżek, które zresztą tylko wprawne oko dopatrzyć mogło. Zmęczone konie szły wolno brzegiem jeziora górskiego, w szybie wody odbijały się niebotyczne wierzchołki skał pokryte śniegiem, który nabierał blasku od wschodzącego z za gór księżyca.

Świecił tak jasno, że mogłem rozpoznać godzinę na zegarku. Właśnie dochodziła dziesiąta. Robert zostawił konie pod strażą znajomego Bura i wziął przewodnika, bo do właściwego obozu było jeszcze daleko, a znajdowaliśmy się już na znacznej wysokości w okolicy okropnie dzikiej.

— Toż tu mieszkać może tylko zwierz dziki, nie ludzie — myślałem, dobywając ostatka sił. Słyszałem też wycie szakali i wrzask pawianów.

Okrążyliśmy przezroczystą taflę jeziora. Przed nami rozwijało się znów pasmo gór. Wyglądało to, jak gdyby rozstawił kto parawan skał. Nie widziałem między niemi żadnego przejścia. Przewodnik jednak stanął. Za chwilę odsłoniła się przed nami wązka szczelina. Dwóch ludzi z łatwością bronić jej mogło.

Przypomniały mi się Termopile i Leonidas.

— Dobre miejsce obrał wódz — powiedział z dumą Robert.

— Byle tylko nie było między wami zdrajcy Efialtesa — mruknąłem, bo miałem ciągle w pamięci los greckiego króla-bohatera. Myśl, że za chwilę zobaczę bohatera Dewetta, dodawała mi sił.

— Własnem ciałem zagrodzi Anglikom przejście, a nie podda się — mówił dalej Robert dumny ze swego wodza. Wyszliśmy już tymczasem na wązką polankę, za którą nowe sterczały skały.

Na polance siedziało przy ognisku kilkudziesięciu wychudzonych i obdartych Burów. Biedacy nie palili nawet fajek: widać zapas tytoniu, jak wszystkie inne zapasy, wyczerpał się oddawna. Nie widziałem, aby gotowano wieczerzę. Robert uścisnął rękę kilku znajomym. Jeden z nich wskazał mu wyższą jeszcze skałę i szliśmy znów pod górę, mijając małe oddziały żołnierzy. Obozowali na płaszczyznach granitowych, podobni do stada sępów, gotowi za pierwszem skinieniem wodza rzucić się na nieprzyjaciela. Biły ich burze, palił wiatr halny, morzył głód i sen, przypominali też więcej duchów, niż ludzi. Była jakaś okropna zaciętość w twarzach Burów. Budzili we mnie podziw i przerażenie.

— Gdyby lordowie angielscy, obradujący w Londynie, widzieli to, co ja widzę, zaniechaliby wojny, bo jest granica wszelkiemu okrucieństwu — myślałem, skłaniając mimowoli głowę przed bohaterstwem Burów.

Starsi czytali biblię, kilku młodszych otaczało sztandar transwaalski zatknięty na odłamie skały. Podartą i wyblakłą chorągiew szarpał wiatr północny. Zrzucał on na obozujących tumany śniegu z wierzchołków skał. Jakiś drżący od zimna i lat podeszłych głos śpiewał hymn, którego nauczył mnie potem Robert, a który przetłomaczony tak brzmi:

„Ty, Panie, coś Mojżesza prowadził szeregi,
Tyś nas przywiódł szczęśliwie na Afryki brzegi,
Skąd wygnańców wyrzucić przemocą zechciała
Anglia zuchwała.

Anglia zaczęła wojnę, zabija nam dzieci,
Ona ogień pożarów wśród ferm naszych nieci.
Lecz już jej nieprawości przebrała się miara:
Czeka ją kara.

Tyś Gedeona wspierał, Tyś wiódł Jezuego,
Tyś też osmagał synów Helego grzesznego,
Tyś mieszkańców Sodomy poraził ognistym
Deszczem siarczystym.

Ty nie dopuścisz, aby tryumfował
Ten, co niewinnych napadł i katował;
Zetrzesz w proch pychę Anglika w potrzebie,
By uznał Ciebie.

A Bur cię będzie chwalił po wiek wieka,
Bo czego siła nie dokaże człeka,
To sprawić może, o Wszechmocny Panie,
Twe rozkazanie!“

Będziecie się śmiać, koledzy, z tej próbki mego poetyckiego talentu. Ukrywam się z nim nawet przed ojcem. Mnie nie do śmiechu było w ów pamiętny wieczór, kiedy, idąc za Robertem, słuchałem, jak stary Holender wzywał pomsty Boskiej na głowy Anglików. Złorzeczyli im wszyscy Burowie. Wynędzniały od ran żołnierz przepowiadał klęski, jakie spaść miały na Wielką Brytanię i na jej królową. Bywałem już nieraz w bitwach, ale nie pamiętam, abym kiedy drżał tak wobec świstu kul i pękania granatów, jak drżałem, słuchając tych skrzywdzonych biedaków, którzy pozywali Anglików na sąd Boży.

Szliśmy długo w cieniu wielkich drzew. Nagle Robert schwycił mnie za rękę. Uczułem ból w ramieniu i to wróciło mi przytomność. Stałem u wejścia do jaskini, z której dobywało się światło. Głos kobiecy czytał biblię. Umiem na pamięć ten rozdział z Księgi Machabeuszów:

„A przydało się, iż siedmiu braci pospołu z matką ich pojmanych od króla Antyocha przymuszano, aby źle czynili. A jeden z braci, który był pierwszy, tak mówił: Czego się chcesz od nas dowiedzieć, królu? Gotowiśmy umrzeć, niż zakon Boży ojczysty przestąpić.

„Rozgniewawszy się tedy, król rozkazał kotły miedziane rozpalić, a tego, który pierwszy mówił, w kotle smażyć, w którym, gdy go długo męczono, bracia pospołu z matką napominali jeden drugiego, aby statecznie śmierć podjęli, mówiąc do króla Antyocha:

„— Mając moc między ludźmi, czynisz co chcesz, ale nie mniemaj, aby lud nasz był od Boga opuszczony. A ty cierpliwie czekaj, a ujrzysz wielką moc narodu naszego, jako ciebie i nasienie twe męczyć będzie.

„Ale nad miarę matka dziwna, a pamiątki między dobremi godna, która na ginące siedmiu synów jednego dnia patrząc, dobrem sercem znosiła dla nadziei, którą w Bogu miała.

„Każdego z nich ojczystą mową mężnie napominała, będąc pełna mądrości, a myśli niewieściej męskiego serca dodając, do nich mówiła:

„— Zmiłujcie się nade mną, synaczkowie moi, któram was piersiami memi karmiła, któram was chowała, któram was do tych lat przywiodła. Proszę was, abyście spojrzeli na niebo i na ziemię waszą i na wszystko, co na niej jest. Bóg ją z niczego uczynił i Bóg ją obroni. On sprawi, że nie będziecie się bali kata, ani mąk, które zadadzą wam dlatego“...

Usłyszałem, jak zamknęła się ciężka księga Pisma— a ten sam głos zawołał z rozpaczą i łkaniem:

— Niegodna jestem, Chrystyanie, czytać o matce-bohaterce, niegodna, niegodna!

Stałem oniemiały, bo nie wiedziałem, z czyich ust wyszła ta straszna skarga, kiedy nagle odezwał się głos inny, a jego brzmienia nie zapomnę nigdy.

— Uspokój się, czegóż płakać? Synów nie wskrzesisz. Tyle matek poświęciło swoich za Transwaal. Schowaj biblię i idź spocząć. Mnie czas w drogę.

— Znów będziesz narażał życie?

— Brak nam żywności. Chciałbym przytem dowieść

Anglikom, że walka nie skończona, chociaż Oliwier wzięty do niewoli.

— Ale synowie Oliwiera żyją, a nasi zginęli i tobie grozi śmierć.

— Lepsza śmierć od takiego losu, jaki spotkał Croniego i Oliwiera.

Nie przebrzmiały jeszcze ostatnie słowa rozmowy, kiedy w wejściu jaskini stanął szczupły, średniego wzrostu mężczyzna. To był Dewett. Pożegnał żonę i szedł na nowe trudy . . . .
. . . .
. . . .

Dalszy ciąg dziennika.

Rana moja goiła się powoli, powoli też przychodziły siły, bo z powodu braku żywności nie było czem należycie ich pokrzepiać. Głód dawał się wszystkim we znaki. Dewett nie wrócił dotąd z wyprawy, Robert brał w niej także udział. Tęskniłem za przyjacielem, pragnąłem dążyć do ojca, ale osłabiony czyż mogłem myśleć o opuszczeniu obozu? Kobiety burskie, a nawet sama pani Dewettowa, otaczały nas rannych wielką troskliwością. Moja cześć dla żony generała dorównywała chyba uwielbieniu, które miałem dla niego.

Nigdy pani Dewettowa nie zdradzała przed nami swego smutku, a jeśli pierwszego dnia usłyszałem wypadkiem jej skargi, to widziałem ją potem zawsze gotową do posług, które oddawała nam w ambulansie. Ambulans był wprawdzie tylko rodzajem groty, czy jaskini, ale odświeżano w nim codziennie posłanie z liści, palono ogień w czasie chłodnych dni. Pani Dewettowa, wraz z kilkoma towarzyszkami, opatrywała nasze rany, gotowała dla nas rosół, kiedy był jeszcze kawałek mięsa w zapasie, prała nawet bieliznę rannych.

Ze mną miała wiele kłopotu. Robert ułożył mnie na posłaniu i stanął natychmiast w szeregu, towarzyszącym wodzowi na wyprawę. Nie mogłem podziwiać jego wytrwałości, bo leżałem bezwładny, gorączkując ze znużenia.

Musiałem marzyć o Warszawie, o domu. Sny sieroty łatwo odgadnąć, a ja śniłem na jawie. Zdawało mi się, że stoją przy mnie rodzice, i wyciągnąwszy ręce, zacząłem wołać: Mamo! mamo!

Widzenie nie znikło. Jakaś łagodna, smutna twarz pochyliła się nade mną i położyła mi na głowie chłodny okład. Chwyciłem ręce, które niosły mi ulgę, i przycisnąłem je do ust. Pani Dewettowa — bo to była ona — dała mi się napić wody, a potem rozmawialiśmy długo. Odtąd nie myślałem już o opuszczeniu obozu i dokładałem starań, aby okazać swoją wdzięczność żonie generała, która, straciwszy własnych synów, umiała być dobrą dla sieroty.

Dalszy ciąg dziennika.

Upłynęło kilka dni. Czułem się zdrowszy. Ramię mniej mnie bolało. Wyszedłem na dość daleką wycieczkę, kiedy nagle usłyszałem wesołą piosnkę francuską:

La, la, la! on battera, On chassera Les Anglais!	La, la, la! pobiją, Wypędzą Anglików!
La, la, la! ça ira! On rira Des Anglais!	La, la, la! Będą się śmiali Z Anglików!

Nucił ktoś w pobliżu. Przypomniał mi się Jerzy Vidal i jego „voilà.“

— Czy też dojechał szczęśliwie do Europy? — pomyślałem. Nie znałem naturalnie Francuza, autora piosnki, ale tak jakoś mimowoli powitałem go uprzejmem „bon jour.“

— Tiens, on parle donc français dans ce détestable pays! — zawołał ucieszony.

Znajomość poszła łatwo. Francuz piekł przy rozpalonem ognisku jakiegoś ptaka. Zdaje mi się, że to była sowa, ale nie psułem mu apetytu i w dobrej zgodzie grzaliśmy obaj ręce nad płomieniem. W tej porze roku i na tej wysokości bywają tu bardzo przykre zimna. Podzieliłem się z biedakiem resztką koniaku, który dała mi pani Dewettowa. Koniak wrócił dobry humor panu Dermontowi, bo tak nazywał się mój nowy znajomy. Rozmawialiśmy wesoło, zajadając przydymione pieczyste.

Karol Dermont uwielbiał Dewetta i utrzymywał uparcie, co zresztą było może prawdą, że on pochodzi z rodziny francuskiej.

— Świadczy o tem wszystko — mówił, gestykulując z rozmachem — jego nazwisko, żywość, bystrość, nawet jego broda. Obcina ją krótko, zupełnie na nasz sposób. Kto walczył obok Dewetta, ten pozna odrazu, że płynie w nim krew francuska.

— Pan go widziałeś w bitwie?

— Czy go widziałem? — odpowiedział oburzony. — Spytaj, ile razy! A może nie wiesz, jakie płata figle Anglikom, ilu ich poszło przez niego na tamten świat, ilu bierze do niewoli.

— Cóż generał robi z więźniami?

— Co? — odpowiedział, śmiejąc się, Francuz. — W jesieni, kiedy było jeszcze ciepło, puszczał ich wolno. Kazał tylko odcinać wszystkie guziki od pludrów angielskich. To, mówię ci, nawet ci sztywni Holendrzy pękali od śmiechu, patrząc, jak panicze z Yeomanry umykają z ubraniem w zębach. Teraz gorzej im się dzieje. Burowie potrzebują ciepłego ubrania, więc Dewett każe zabierać płaszcze.

— Słyszałem, że należący do Yeomanry biją się dobrze.

— Sapristi! biją się dobrze, ale wojny partyzanckiej nie prowadzili nigdy. Czekaj! opowiem ci, jak to było niedawno. Mieliśmy pyszną zabawę! Maszerują ci panicze ubrani w khaki, pokryli nią nawet swe kaski korkowe



Nawet poważni Holendrzy śmiali się, patrząc na paniczów z Yeomanry...

i tornistry. Pułkownik, lord i wielki strategik—a znał wojnę tylko z manewrów—pilnuje jedynie czystości swego ciała lordowskiego i zasad, wedle których należy prowadzić kampanię. Czuwa więc sam nad rozłożeniem obozu. Pięć razy zwijano i rozwijano namioty, póki nie rozstawiono ich symetrycznie wedle jakiejś idealnie prostej linii. Bawi się lordzik w symetryę i szyk, a my tymczasem maszerujemy wierzchołkami gór, jak Bóg dał, choćby na złamanie karku, i Dewett podprowadził swoje wojsko pod sam obóz angielski. Szyldwach melduje, że jest ruch w górach.

— Zwaryowałeś! — krzyknął pułkownik. — Wedle moich obliczeń Burowie nie mogą być tak blizko. Jeżeli jeszcze raz wyjedziesz z podobnem głupstwem, każę cię wsadzić na odwach — mówi wódz zadowolony z siebie i najspokojniej włazi w tob. Wiesz, co znaczy tob? — Nie wiedziałem.

— Tob to wanna gumowa—doskonały pomysł, tylko nie pod kulami Dewetta używać należy kąpieli. Pułkownik siedzi w tobie, a my zaczynamy ostrzeliwać obóz. Tableau, prawda? Dowódzca w stroju Adama i wojsko nie przygotowane do obrony. Nasiekliśmy też Anglików, jak kapusty, a stary Robs wściekał się potem w Pretoryi.

— I matki płakały w Anglii — przerwałem, studząc zapał Francuza, bo pamiętałem zawsze sir Johna Huntleya.

Dermont przypatrzył mi się z pod oka. Kiwnął głową na znak, że współczuje z nieszczęśliwymi, ale poklepał mnie po ramieniu i zawołał wesoło:

— Que voulez vous! A la guerre comme à la guerre.*) A że Dewett zuch, to zuch. Słuchaj dalej, co zrobił lordowi Methuenowi. Methuen ścigał Dewetta, jak ogar ściga zająca, i codzień wysyłał depesze do głównego sztabu,

---

*) Cóż chcesz! Na wojnie, jak na wojnie

donosząc w nich, że wódz Burów jest już wzięty. Ale ten genialny wódz wymykał się z zastawionych sieci, jak piskorz, a po drodze płatał jeszcze figle Anglikom. Podchodzi raz Methuen cichutko pod obóz Dewetta i z radości mało nie podskoczył do góry, bo widzi, że Burowie śpią w najlepsze, ani myślą o oporze. Anglik uradowany, jak gdyby go kto na sto koni wsadził, sam bierze dowództwo wyprawy i skrada się, niby kot, który chce mysz pochwycić. Widzi zdaleka namioty Burów, przed największym stoi szyldwach z karabinem w ręku. — Tam jest Dewett! — krzyczy Methuen i prowadzi żołnierzy do ataku. Pędzą Anglicy, wpadają między namioty... nigdzie śladu człowieka; szyldwach tylko nie rusza się z miejsca... gdyż jest drewniany! Ha! ha! ha! czyż to nie wyborny koncept? Methuen wściekły chwyta karabin mniemanego żołnierza, bo widzi papier zatknięty na bagnecie. „Przyjmij ode mnie w depozyt te stare namioty“ — pisze Dewett. — „Zabrałem wam w tym tygodniu nowe i miło mi zaświadczyć, że są doskonałe.“

— Cóż na to Anglicy? — zapytałem.

— A cóż! śmiali się głośno z konceptu, a pocichu z miny lorda Methuena. Ale co tam Methuen. Toż Dewett samego marszałka Robertsa wywiódł w pole. Było to tak. Dewett przerywał często druty telegraficzne i dokuczał tem bardzo Anglikom. Aż przyszła mu raz ochota dowiedzieć się, jakie też oni przesyłają sobie wiadomości. Przymocował więc przecięty drut do aparatu systemu Morsa i w kilka chwil potem odebrał depeszę, którą generał Hunter wysłał do Robertsa. „Schwytam Dewetta, ale proszę o posiłki“ — telegrafował Hunter. — Popamiętasz ty posiłki — zawołał Chrystyan Dewett po odczytaniu depeszy i, jak przystało na dobrze wychowanego człowieka, odtelegrafował Hunterowi: „Odebrałem. Posiłki wysyłam.“ Podpisano: *Roberts.* A do Robertsa zatelegrafował jednocześnie: „Posiłki niepotrzebne. Dewett schwytany. Wziąłem 5,000 niewolnika.“ Podpisano: *Hunter.*

Hurra! Szalona radość zapanowała w Pretoryi.—Dewett uwięziony! Zwycięstwo! zwycięstwo! — wołali oficerowie, zapijając tryumf szampanem. Świętowano i w Londynie. Niestety! jednak radość trwała krótko. Biedny stary Robs odebrał wkrótce, tym rozkazem przez linię telegraficzną z Bloemfontain, depeszę Huntera, wzywającą na gwałt pomocy. Dewett, prawdziwy dżentelman, dotrzymał słowa: przyprowadził sam posiłki Hunterowi i tak



Robert czerpie wodę z kociołka, Dermont czyta, a ja stoję pod bronią.

ścisnął niemi generała, że wojsko jego stopniało, jak ten przeklęty śnieg topnieje przy moim ogniu.

Słuchałem z wielką ciekawością opowiadań Karola Dermonta i byłem gotów uwierzyć już w tryumf Burów, kiedy przypomniało mi się to, co widziałem w Johannesburgu: miasto zajęte przez Anglików, mieszkańcy uwięzieni lub wysłani na Ś-tą Helenę... Ten sam los spotkał Pretoryę i Bloemfontain.

— A jednak trzy najważniejsze miasta są w rękach nieprzyjaciela — powiedziałem do Dermonta.

Zerwał się od ogniska i zaczął znów machać rękami.

— Cóż z tego, cóż z tego? — wołał zaperzony.— Anglicy zajęli stolice Oranii i Transwaalu, ale czy je kto bronił? Burowie są mądrzy: cofając się w głąb kraju, zmuszają Anglików do coraz dalszych pochodów. A wiesz ty, jeune homme, co to znaczy? To znaczy, że Robs musi obsadzić wojskiem całą linię kolei od przylądka aż do rzeki Limpopo. Bo goniąc za nieprzyjacielem, trzeba mieć zapewniony dowóz amunicyi i żywności. Pomyśl jeszcze, jeune homme, ile marszałek traci sił, żeby zabezpieczyć od Burów linię komunikacyjną długości tysiąca mil. Dodaj do tego załogi pozostawione w miastach, a zrozumiesz, dlaczego mówię: Prawdziwa wojna teraz dopiero się zacznie. Prowadzić ją będzie każdy krzak i każde wzgórze Transwaalu.

Dermont zamyślił się i pobladł. Widziałem, że był wzruszony.

— Czemu nie mieliśmy takich Dewettów w 1870 r., kiedy Prusacy zabierali nam Alzacyę! — zawołał ze szczerym smutkiem w głosie. Chciałem uścisnąć mu dłoń na znak współczucia, ale on skręcił papierosa i nucił już wesoło:

La, la, la! ça ira!
On rira
Des Anglais.

A potem ze śmiesznie tragiczną miną pokazał mi pustą cygarnicę, z której wytrząsnął resztę tytoniu. Dziwny to i bardzo sympatyczny naród ci Francuzi.

Dalszy ciąg dziennika.

Karol Dermont wziął mnie pod szczególną swoją opiekę, a że mogłem władać już ręką, więc dał mi zaraz pierwszą lekcyę fechtunku i dawał ją odtąd codziennie.

Był w doskonałym humorze, bo nie brakowało mu już tytoniu: Dewett wrócił z wyprawy i przywiózł bogate łupy. Wiedzieliśmy teraz, jaki był cel wycieczki generała. Wódz otrzymał zawiadomienie, że na sąsiedniej stacyi stoi angielski pociąg towarowy eskortowany przez 240 żołnierzy. Miał wprawdzie sam tylko 80 ludzi, ale zato konie Burów były wszystkie solone, a salted horse; partyzanci przywdziali ubrania koloru khaki, udało im się też podejść nieprzyjaciela i obsadzić dworzec. Przy pierwszych promieniach wschodzącego słońca padły pierwsze strzały. Anglicy, zaskoczeni niespodziewanie, stracili kilkunastu żołnierzy i wywiesili białą chorągiew. Zdobycz okazała się olbrzymią: w pociągu były mundury zimowe, które przydadzą się dla ochotników Dewetta. Znaleziono także w wagonach ogromne zapasy tytoniu, żywności i trunków. Piliśmy przez kilka dni wyborny szampan, extra dry, z transportu przeznaczonego dla samego marszałka Robertsa i jego sztabu. Dewett nie mógł zabrać z sobą wszystkich łupów, pozostałą więc od rabunku zdobycz ułożono w wielki stos i podpalono. Wprzód jednak zakopano w ziemi działa zdobyte na Anglikach.

— Odkopiemy je, da Bóg, kiedy nastaną lepsze czasy — powiedział Dewett do Roberta Burnsa, który towarzyszył mu w wyprawie i jest ulubieńcem generała.

Nic jednak nie wróżyło, aby sprawdzić się miały nadzieje wodza: partyzanci przywozili do obozu coraz gorsze wiadomości. Wiedziałem o nich od Roberta, bo miejsce moje w ambulansie zajął inny ranny, a ja dzieliłem kwaterę, a raczej jamę, z przyjacielem i Dermontem. Czuliśmy wszyscy, że niedługo popasać będziemy w obozie, chociaż Dewett wypadał jeszcze od czasu do czasu z wysokich gór na doliny, jak spada orzeł lub sęp na upatrzoną zdobycz. Ja należałem już czasem do tych wypraw i przypominała mi się wtedy zwrotka piosnki góralskiej:



OBÓZ DEWETTA

Jak ptakom drapieżnym, nam skały—gospody;
Tam śpimy spokojnie do gwiazd.
Gdy noc się nasunie na ludzi, na trzody,
My z naszych spuszczamy się gniazd.

Ale nie pieśni śpiewać biedakom obsaczonym, jak wilk w kniei. Dewett szerzył jeszcze postrach, wojsko angielskie naciskało go jednak ze wszystkich stron. Nawet Dermont przestał nucić swoje: „ça ira!“ bo wieści były coraz gorsze.

Pierwszego września wydał lord Roberts proklamacyę, obwieszczającą wcielenie Transwaalu do posiadłości królowej Wiktoryi pod nazwą „kolonii rzeki Waal“. Wcielenie Oranii ogłoszono jeszcze 28 maja jako „Oranie River Colony.“ Wymazano jednem pociągnięciem pióra dwie rzeczypospolite z mapy świata, nie pytając, co na to powiedzą Burowie.

Siły Holendrów podzielone były we wrześniu na 3 oddziały. Jeden skierował się ku Ladybrandowi, drugi szedł w stronę Barbertonu, trzeci osłaniał odwrót prezydentów Steina i Krügera, tego ostatniego zwłaszcza, gdyż Krüger dążył przez Nelspruit do posiadłości portugalskich. Chciał przechować na neutralnym gruncie portugalskim archiwum państwa. Ma potem odpłynąć do Europy, gdzie się spodziewa znaleźć poparcie dla Burów.

Biedny starzec! Sześciu synów i trzydziestu wnuków oddał na obronę kraju, a teraz niesie mu może największą ofiarę. Błagać o pomoc! Jakże to ciężko, jak boleśnie!... Jest pokonany, słaby, więc pytanie, czy czule przyjmą prezydenta w Berlinie, chociaż tak niedawno winszowali mu Niemcy zwycięstwa nad Cecilem Rhodesem. Dermont nie wróży z tej podróży nic dobrego.

Dalszy ciąg dziennika.

Upłynęło jeszcze kilka dni. Udało się nam schwycić pocztę angielską. Pełno było gazet w obozie. Potwo-

rzyły się małe gromadki, a w każdej z nich czytano dziennik. Jakiś śmielszy polityk wykładał towarzyszom znaczenie trudniejszych artykułów. Wasz kolega służył także za tłomacza, bo nie wszyscy Burowie rozumieją po angielsku.

Smutna była moja rola! Miałem do obwieszczania same złe wiadomości, zarówno z Europy, jak i miejscowe. Europa nietylko patrzy obojętnie na krzywdy czynione Burom, ale Portugalia, w obawie przed Anglią, odmówiła schronienia prezydentowi Krügerowi, który chciał zamieszkać w stolicy jej posiadłości, to jest w Lorenzo-Marquez skąd mógłby w dalszym ciągu kierować sprawami Transwaalu. Będzie teraz zmuszony opuścić Afrykę. Udaje się też niezwłocznie do Europy, a płynie tam także i marszałek Roberts.

Marszałek pomścił honor oręża brytańskiego, ale nie ma sił na prowadzenie wojny, która z każdą chwilą staje się zaciętszą. Złożył dowództwo w ręce generała Kitchenera, a sam chce odpocząć po trudach całego życia. Ja myślę, że ziemia afrykańska pali mu stopy. Pochował tu syna, a to morze krwi, które wylał, nie złagodziło jego bólu. Wraca więc do Europy. Jadą jednocześnie Roberts i Krüger, dwaj starcy, ale jakże różne ich losy. Bura czekają upokorzenia i zawody, Anglikowi cały naród przygotowuje tryumfy, czeka go królowa Wiktorya niemniej zgrzybiała, jak Roberts i jak Krüger.

Kto pierwszy z tych trojga stanie przed Majestatem Najwyższego Władzcy, by zdać rachunek z czynów swoich?

Nie śmiejcie się, koledzy. Wiem, że nie mnie młodemu pozwalać sobie na takie rozmyślania i uwagi. Dojrzałość przychodzi, niestety, szybko, kiedy się jest zupełnie pozbawionym opieki i kiedy zewsząd grozi śmierć. Przytem nawet latami nie jestem już dzieckiem.

Wczoraj wody Oranii były tak czyste, że przeglądałem się w nich, jak w zwierciedle. I wiecie, co dojrzałem? Zgadnijcie!... Wąsy. Słowo daję, wąsy! Ciem-

ny meszek szarzeje wyraźnie na górnej wardze. Wąsy, a zwłaszcza broda, są już nawet tak długie, że mogę je schwycić palcami.

Jakże się tatko zdziwi! Może mnie nie pozna? Bo przecież ani myślę się golić, a podróż potrwa jeszcze dość długo. Zresztą nie mam brzytwy.

Ile też czasu potrzeba, aby wyrosły wąsy? Zabawne pytanie! Nikt mi na nie nie odpowie. Żałuję, że



Nocny odpoczynek w obozie Dewetta.

nie mówiłem o tem nigdy z ojcem. Achabati ma piękną brodę i wąsy, zwykle jednak Zulanie się golą i mój towarzysz zapuścił zarost dopiero od czasu, jak żyje między Europejczykami. Nie zwróciłbym się po informacye do niego. Imponuje mi swą powagą i dostojeństwem monarszem. Widziałem nawet, że uśmiechał się

złośliwie, patrząc, jak próbuję skubać brodę. Niech się śmieje, byleśmy płynęli prędko. Łódź mknie dotąd, jak strzała. Ach, może więc nareszcie zobaczę ojca!

Ale tymczasem muszę kończyć swoje opowiadanie.

Każdy dzień przynosił gorsze wiadomości. Odbieraliśmy je od partyzantów, uciekających pod opieką Dewetta. Chronili się przed naciskiem wojsk angielskich. Szły one od Pretoryi aż ku Lorenzo-Marquez. Nieprzyjaciel korzystał z kolei, którą zbudował z takim trudem prezydent Krüger. Przybiegali do nas czasem ludzie zupełnie nadzy. Pamiętam dwóch żołnierzy, zbiegłych po bitwie pod Komatiportem. Generał angielski Pole Carew rozbił tam wojsko Burów i szczątki jego zapędził aż na granicę portugalską. Biedacy, uciekając przed niewolą na wyspie Świętej Heleny, dostali się do kraju Swazów. Tam odebrano im broń, ubranie i bieliznę. Paraduje w nich pewnie jaki naczelnik plemienia dzikich, imponując cywilizowanym strojem, a dwaj Burowie uciekli do nas co się zowie tylko z duszą i z końmi, bo koni Swazowie nie używają wcale.

Byłem teraz już na prawach szeregowca, spełniałem więc i obowiązki służby—zaszczytnej służby, przyznajcie, koledzy, bo nie każdy pochwalić się może dzielnym, jak mój, wodzem. Żołnierz Dewetta! Czyż to nie chluba tak się meldować przed frontem?

Front! Boże drogi! Kto wie, co się dziś dzieje z Burami? Może rozbici do szczętu? Tyle klęsk ponieśli we wrześniu. Biedacy zakopywali te same działa, które Krüger sprowadzał dla nich z Europy od 1895 r. Na dnie rzeki Krokodylej znaleźli Anglicy 13 zdemontowanych i zatopionych armat, a ile ich leży pogrzebanych w ziemi!

Wrzesień dobiegał końca. Pamiętam, luzowałem wartę z Dermontem. Ranek był śliczny. Śnieżyste wierzchołki gór błyszczały w słońcu, jak korony z dyamentów.

Patrzę na jezioro, aż tu płynie od przeciwnego brzegu jakiś jeździec.

— Sapristi! co za śliczny chłopak!—zawołał Dermont.

Ja nie wierzyłem własnym oczom, i dziś jeszcze zdaje mi się czasami, że to był sen, nie rzeczywistość. Bo wyobraźcie sobie moje zdziwienie: poznałem w jeźdźcu Wilhelminę Burnsównę!

Niosła ją fala jeziora, a ona kierowała koniem tak spokojnie, jak amazonka na spacerze w Alejach. Była przebrana po męsku. Wyglądała w bluzie Bura na dwunastoletniego chłopca, a jednak dała dowód niezrównanej dzielności, bo przedrzeć się do naszego obozu nie było łatwo. Podałem jej rękę. Zeskoczyła z konia i zdyszana przeprawą szła, choć mokra odzież musiała jej bardzo ciężyć.

— Ty tu, Mino?—zapytałem zdziwiony.

— Dziadek kazał mi szukać Roberta.

— A dziadek?

— Nie żyje. Umierając, prosił, abym odniosła Robertowi jego ostatnie błogosławieństwo. Dlatego tu jestem.

Umarł więc pan Burns! — myślałem. Dopełniła się miara nieszczęść tej rodziny bohaterów. Bo czyż nie miałem prawa nazywać tak moich przyjaciół, ja, świadek ich odwagi i poświęcenia dla kraju.

— A pani Kety?—zapytałem jeszcze.

— Jest dotąd w więzieniu. Mungo ma o niej staranie. On dał mi wszystkie swoje oszczędności na drogę, bo chciał, żebym spełniła wolę dziadka.

Mungo, Kafr, którym gardziłby może niejeden filister warszawski... O, koledzy, jakże wiele nauczyć się można w Afryce!

Odprowadziłem Wilhelminę do pani Dewettowej. Roberta nie było w obozie: wyjechał na rekonesans. Wiedziałem, że żona generała przyjmie siostrę Burnsa

życzliwie, chociaż mieliśmy już bardzo mało żywności i każdy nowo przybyły odjadał głodnych.

— Czemu więc nie opuściłeś obozu, nie wracałeś do ojca, powiększając tylko liczbę nieszczęśliwych?—zapyta może kto z was, koledzy.

Były do tego dwa powody. Najprzód trudność wydostania się z pułapki, w którą wpadłem mimowoli. Naciskani ze wszystkich stron przez Anglików, mogliśmy tylko cofać się na coraz wyższe szczyty. Nie brakuje w Afryce południowej naturalnych warowni. O przebiciu się przez opasujące nas wojsko brytańskie nie mogło być mowy. Dewett wiedział to doskonale. Jeśli jednak dawał schronienie u siebie zbiegom z innych oddziałów, to niechętnie wypuszczał ludzi z własnego obozu. Choćby przez nieostrożność, gdyż o złą wolę nikt by mnie przecież nie posądził, mogłem zdradzić kwaterę wodza i naprowadzić na nią Anglików. Własne zresztą moje bezpieczeństwo zatrzymywało mnie przy dzielnym wodzu. Zaszyłem wprawdzie starannie rozkaż marszałka pod podszewką bluzy, ale czy papier obroni w bitwie, czy słuchanoby mego tłomaczenia?

Była jeszcze inna przyczyna, dla której nie próbowałem dotąd opuścić Dewetta. Pzyznam się wam do niej szczerze, koledzy.

Tęskniłem do ojca, wiedziałem, że czeka niecierpliwie mego powrotu, ale nie mogłem opuścić garstki Burów, opuścić Roberta, Wilhelminy, Dermonta w chwili, kiedy groziło im wielkie niebezpieczeństwo. Czy będziecie mi się dziwili?

Dalszy ciąg dziennika.

Walka trwała już cztery dni. Anglicy nie zdobyli przesmyka nad jeziorem, chociaż, kusząc się o przejście, stracili dużo ludzi. Niestety! jednak obeszli nas od wschodu i szturmowali obóz ze strony, z której najmniej się

ich spodziewaliśmy. Nie było między Burami Efialtesa. Powodzenie swoje zawdzięczali Anglicy góralom szkockim, tak zwanym Gordon-Highlanders. Widziałem ten piękny pułk w Johannesburgu. Wtedy wyglądał malowniczo. Teraz kraciaste spódniczki zniknęły pod khaki. Czego nie mogła dokonać piechota angielska, to polecono dzielnym Szkotom. Szli na skały ze zręcznością kotów i, muszę im to przyznać, z nieustraszoną odwagą. Za góralami postępowali dragoni, którzy zostawili konie pod strażą, a sami szarżowali pieszo, nacierając na ustępujących z pozycyi Burów. Cofaliśmy się krok za krokiem, broniąc każdej piędzi ziemi, każdego załomu skały.

Anglicy przywieźli na mułach lekkie, rozbierane łodzie. Jakkolwiek dziesiątkowaliśmy ich naszemi kulami, przeprawili jednak wojsko przez jezioro i nie zważając na straty, prowadzili do bitwy coraz nowe pułki.

Broniliśmy drogi, wiodącej do jaskini. W jaskini Dewett ukrył swoje papiery, skrzynię z amunicyą i — nie będę taił dłużej przed wami, koledzy — duże zapasy złota transwaalskiego. Część tego złota... Ale mniejsza z tem. Dziś nie jestem w stanie pisać o czem innem, tylko o walce, którą toczyli Burowie. Mężczyznom dzielnie pomagały kobiety. Unosiły rannych z pola bitwy, rozdawały żywność walczącym, a często własnem ciałem osłaniały ukochanych. Podziwiałem ich odwagę i spokój.

Zdaje mi się, że teraz jeszcze czuję zapach krwi. W przeddzień rozpoczęcia bitwy odebrano wiadomość o śmierci Therona. Padł dzielny obrońca Transwaalu i ta strata do wściekłości doprowadziła Burów. Chcieli pomścić zgon wielkiego wodza, a ze zdwojoną troskliwością czuwali teraz nad Dewettem.

Wyglądał on napozór zupełnie spokojnie. Widziałem, jak, wydając rozkazy, gryzł kawałek suchara, który z narażeniem życia przyniosła mu żona. Dwie doby już nie jedliśmy nic gotowanego. Nas była garstka, Angli-

ków tysiące. Garstka malała z każdą chwilą. Zwycięzcy wstępowali na skały po drodze usłanej trupami.

Oni byli dobrze odżywiani i wypoczęci, nam głód pożerał wnętrzności. Walczyliśmy bez wytchnienia, chociaż śmiertelnie znużeni. Oczy nabiegały krwią, nie byliśmy już w stanie rozróżnić nieprzyjaciela. Opisując wypadki tych strasznych dni, mam przed oczyma krwawy tuman i nie mogę zdać sobie sprawy ze szczegółów. Strzelałem, ustępując przed nacierającymi Anglikami. Nie pamiętam, jak długo trwała bitwa. Widziałem, że koło mnie padają ludzie i jęczą ranni. Widziałem, jak zachwiał się żołnierz, niosący chorągiew. Potem przyszła najstraszniejsza chwila. Robert, biedny mój Robert!...

Nie było go wśród nas, bo razem z Dewettem i Wilhelminą walczył po drugiej stronie skały, zasłaniając ucieczkę kilku najwierniejszych. Ci uprowadzili żonę generała i jego a raczej transwaalskie skarby. Opróżniono jaskinię, należało teraz za jakąbądź cenę ułatwić Dewettowi odwrót. Oba nasze oddziały skupiły się koło wodza. Pamiętam, że Dermont walczył obok mnie. Ścieśnialiśmy kolumnę w miarę ubywania żołnierzy. Szable dragonów sięgały już w głąb naszego szeregu. Dewett chciał jeszcze ocalić sztandar, po który wyciągali ręce Anglicy. Oderwał chorągiew od drzewca i uniósł ją z dumą w powietrzu, ale w tej samej chwili zawisł nad jego głową pałasz żołnierza angielskiego!... Byłem blizko... Bóg dopomógł i dodał siły. Odparłem cięcie, a Robert skoczył na odłam skały i zasłonił wodza własnemi piersiami. Nie żałował życia: jego Wilhelmina leżała obok, ugodzona kulą w głowę...

Burns stał bezbronny na skale. Wystrzelił już wszystkie ładunki i miał rękę przeciętą pałaszem. Widzę go ociekającego krwią...

Nie zapomnę nigdy twarzy mego przyjaciela. Była to twarz bohatera i męczennika zarazem. Anglicy mierzyli w pierś Roberta. Nigdy w pamięci mojej nie za-

trze się ta chwila. Widzę i teraz lufy ich karabinów... Zachwiał się, odwrócił jeszcze głowę w stronę, gdzie uciekał Dewett, i spadł ze skały zlany krwią, która stygła mu na piersiach . . . .

. . . .

Biegłem, nie wiedząc, gdzie się znajduję. Dokoła panowała zupełna ciemność. Słyszałem jeszcze przez chwilę odgłosy strzałów. Potem ucichło wszystko. Ktoś chwycił mnie za rękę i ciągnął za sobą, chociaż ustawałem ze znużenia. Czułem w prawej nodze jakieś dziwne ciepło. Nie pamiętam, jak długo biegłem jaskinią podziemną. Nagle błysnęło światło w szczelinie. Tunel rozszerzył się i stanęliśmy po przeciwnej stronie skał, opasujących jezioro. Natura w Transwaalu jest dobrym sprzymierzeńcem człowieka: ocaliło nas podziemie, wyżłobione przez strumień górski.

Teraz dopiero spostrzegłem, że Dermontowi winien jestem życie. On to ciągnął mnie za rękę. Byłem zbroczony krwią i świeża krew spływała wciąż po nodze.

— Jestem więc ranny—pomyślałem, ale nie miałem czasu zastanawiać się nad tem tak zwykłem w czasie wojny zdarzeniem.

U wyjścia jaskini stały osiodłane konie. Pani Dewettowa czekała tu na generała. Wszystko było obmyślone dla zabezpieczenia odwrotu wodza. Ocalono jego archiwum i skrzynki ze złotem transwaalskiem. Ach, czemuż brakowało wśród nas Roberta!...

Z pomocą Dermonta wdrapałem się na siodło. Nie pamiętam ani drogi, którą jechaliśmy, ani jak długo trwała ucieczka. Drzemałem osłabiony upływem krwi i kilkodniową walką. Cud to prawdziwy, że utrzymałem się na siodle, cud i opieka poczciwego Dermonta. Kochał on Roberta, widziałem, jak płakał po nim. Byliśmy nierozłączni przez ostatnie tygodnie. Dla pamięci Burnsa troskał się o mnie poczciwy Francuz...

Noc zapadła już, kiedy dojechaliśmy do fermy, osłoniętej skałami. Żaden kraj nie ma chyba takich kryjówek, jak te, które widywałem w Transwaalu. Tylko sępy lub orły mogły wytropić kotlinę, do której spuszczaliśmy się na złamanie karku, bo otoczona była olbrzymiemi górami. Ja, bezwładny prawie, zdałem się zupełnie na zmysł mego konia. Niósł mnie nie kierowany wcale.

Dewett znał właściciela fermy i wiedział, że może bezpiecznie odpocząć w cudnym, osłoniętym od wiatrów południowych zakątku. Miałem później czas podziwiać bogactwo przyrody transwaalskiej, ale pierwsze trzy dni przespałem, nie zdając sobie sprawy ani gdzie jestem, ani też czy grozi mi jakie niebezpieczeństwo.

W czasie wojny, a zwłaszcza w czasie wojny partyzanckiej, człowiek robi się obojętnym na wszystko.

— Zakłują cię Anglicy? Dobrze. Nie zakłują? Drugie dobrze. Jak tam chcecie, byleście mi się dali wyspać.

Spałem też. Nie pamiętam nawet, kiedy Dermont opatrzył moją ranę. Nie była niebezpieczna, tylko głęboka.

Od czasu do czasu siadałem na posłaniu i piłem mleko z dzbanka, który poczciwy Francuz stawiał obok mego siennika. Zupełna świadomość położenia wróciła mi dopiero po trzech dniach. Mogłem już zdać sobie sprawę z zaszłych wypadków, mogłem zacząć myśleć o przyszłości, o powrocie do ojca. Teraz także dopiero zrozumiałem naprawdę, że mój przyjaciel, że mój drogi Robert nie żyje!...

Dalszy ciąg dziennika.

Przerwałem wczoraj pisanie, gdyż wspomnienie śmierci Roberta rozrzewniło mnie do łez. A jednak chciałbym dokończyć opowiadania, bo łódź mknie szybko po

wodach Oranii. Dni mijają niepostrzeżenie. Nie wiem nawet ich daty. Każde uderzenie wiosła zbliża mnie do celu podróży, a tym celem zobaczenie się z drogim ojcem!...

Gdy myślę o tem, oddech zamiera mi w piersiach. Ach, koledzy, jaka to będzie radość! Uściskać ręce i nogi tatki, przytulić się do jego piersi...



Ferma pana van Riemena.

Ale wracam do opowiadania. Niema głupszej rzeczy, koledzy, jak rozczulać się nad sobą. Wstyd mi tego, co napisałem.

Dermont opatrzył starannie moją ranę. Prędko też wróciłem do sił. Pan van Riemen, gospodarz fermy, podejmował nas gościnnie, jak tylko Bur, kochający kraj, podejmować może jego obrońców. Pani Dewettowa od-

wiedzała niekiedy ambulans; bo było nas kilku rannych, ale zostawaliśmy pod bezpośrednią opieką mego obecnego towarzysza podróży, Achabatiego. W ambulansie zawiązała się nasza znajomość. Dotąd jednak czuję pewną nieśmiałość względem poważnego Zulusa. Mungo śmiał się i płakał z radości, tańczył nawet niekiedy, słowem zdradzał łatwo wszystko, co czuł. Achabati nie pozbywa się nigdy swego majestatycznego spokoju, a jego uśmiech to uśmiech Sfinksa, który się niczemu nie dziwi, ale też nikogo nie obdarza swem zaufaniem. Nie imponuje mu cywilizacya, gdyż nie uznaje jej potrzeby, nie imponują nawet armaty Kruppa, bo Zuluanie pokazali Anglikom pod Izandulą, że i armaty zdobyć potrafią.

Wojsko ich odznaczało się doskonałem wyćwiczeniem, mieli własne fabryki prochu, a broń palną kupowali od swych sąsiadów, Portugalczyków. Pokonani przez Anglię, nie mogą pogodzić się z losem, i jeśli Burowie zwyciężą, oni także podniosą bunt.

Tak przynajmniej sądzi Zulus Achabati, potomek królewskiego rodu Pandy. Achabati, ścigany przez Anglików w wojnie 1880 r., zbiegł do Transwaalu i znalazł schronienie na fermie pana van Riemena. Ale Zulus nie wyrzekł się zemsty i w osiem lat później on to razem z wodzem Danizulą podniósł bunt przeciw rządom Wielkiej Brytanii. Bunt ten skończył się pojmaniem Danizuli i ucieczką Achabatiego.

Pan van Riemen dał i teraz schronienie wygnańcowi. Przywiązał się nawet do Zulusa. Łączy go z nim prawdziwa przyjaźń i miłość wolności, którą obaj cenią nadewszystko.

Żyją też Zulus i Bur, jak Robinson Kruzoe, nie kupując nic od nikogo, prócz broni. Pan van Riemen, chociaż jest bardzo stary, nie był nigdy ani w Pretoryi, ani w Johannesburgu, ani w żadnem mieście. Zdaje mi się, że nie widział nigdy domu piętrowego. Jego własny jest obszerny, ale bardzo prosty. Sam wyrabia sobie obuwie

i kaftany ze skóry, sam uprawia tytoń do swej fajki, sam robi skromne swe sprzęty. Murzynka Topsi gotuje obiad dla dwóch gospodarzy i tka dla nich grube płótno, bo Achabati nosi spodnie, a nawet rodzaj koszuli z krótkimi rękawami. Pierzemy często swoją bieliznę i suszymy ją na żerdzi, co daje łodzi pozór statku żaglowego. Bielizna Zulusa jest trwalsza, ale moja koszula! Tatko płakać będzie nad nędzą swego obdartego syna!...

Pan van Riemen jest zamożny, lecz obchodzi się bez wszelkich wygód. Mówi, że Burowi wystarczyć powinna jego biblia, ferma i polowanie. Biblia leży też zawsze w pokoju, w którym przyjmują gości, a który za mojego na fermie pobytu stanowił kwaterę Dewetta. Goście zdarzają się tu bardzo rzadko. Ale pan van Riemen nie tęskni do ludzi. Utrzymuje on, że Bur, swobodny pan fermy, nie powinien widzieć z swego okna dymu ogniska sąsiada.

Sąsiadami są też tu tylko góry niebotyczne, bo Murzynów służących ani pan van Riemen, ani Achabati nie biorą wcale w rachubę. Zulus gardzi nimi chyba więcej jeszcze, niż Holender. Temu natura zastępuje rodzinę: kocha swoje urodzajne pola, zwłaszcza zaś trzody, które codziennie ogląda i sam liczy.

Pan van Riemen stracił żonę, będąc młodym. Umarła z rany odniesionej w czasie bitwy podczas napadu Buszmanów na fermę. Mąż leżał chory i nieprzytomny w gorączce. To uzuchwaliło dziką gromadę. Ale żona, dzielna choć młoda, stawiła najeźdźcom tak skuteczny opór, że cofnąć się musieli. Ocaliła fermę i męża, lecz ugodzona zatrutą strzałą, skonała po kilku godzinach okropnych męczarni.

Dzielna Burka! prawda, koledzy? Wartoby porwać taką i unieść pod burką chociażby za ocean. Co też powiedziałby tatko na tę zdobycz przyniesioną z wojny?

Ot, nie wiem skąd przyszło mi do głowy żartować. Pewnie dlatego, że pomyślny wiatr pcha łódź ku ujściu

Oranii, rośnie więc w mojem sercu nadzieja zobaczenia ojca. Drugi to już raz fala tej samej rzeki niesie mnie do niego, ale o ileż tamta podróż była krótszą!...

Wracam jednak do pani van Riemenowej, która zginęła w obronie męża. Takich przykładów można tu wiele naliczyć, zwłaszcza teraz, w czasie wojny. Odważną towarzyszką niedoli jest małżonka generała Croniego. Dzieliła z mężem walkę, a teraz dzieli wygnanie na wyspie Świętej Heleny.

A biedna Wilhelmina Burnsówna lub pani Dewettowa — czyż nie widziałem sam ich poświęcenia? Łatwo też zrozumieć, dlaczego Aglicy natrafili na zacięty opór.

Podziwiałem energię pani Dewettowej, która z niezmordowaną pieczołowitością czuwała nad potrzebami męża w czasie jego pobytu u pani van Riemenowej. Mówiła, że chce wzmocnić siły generała do znoszenia nowych trudów. Bo Dewett nie myślał ani na chwilę o poddaniu się, chociaż oddział jego był rozbity. Miałem nieraz sposobność słyszeć rozmowy wodza z Karolem Dermontem i panem van Riemenem, wiedziałem więc, że układa on nowe plany wypraw i to wypraw w głąb posiadłości angielskich.

Wy, koledzy, czytaliście zapewne w gazetach, że Holendrzy są już zupełnie pokonani. Tak sądzono podobno w Europie. Śmiejcie się z tego, jak Dewett śmiał się z tych złudzeń polityków angielskich. Achabati, wysłany po wiadomości, przywiózł paczkę gazet kupioną od wędrownego handlarza. Znaleźliśmy w nich opis bohaterskiej śmierci Dewetta. Trzeba nawet przyznać, że korespondenci nie żałowali atramentu. Opis był długi i bardzo szczegółowy. „Dewett zginął przeszyty trzema kulami, a pani Dewettowej pękło serce z rozpaczy nad mężem“ czytałem sam w dzienniku angielskim.

A tu tymczasem Dewett rysował na mapie drogę, którą ma prowadzić Burów do Kaplandu, a pani Dewettowa, chociaż pewnie nieraz ściskało się jej z bólu serce,

smażyła sama mężowi pożywne befsztyki, bo Topsi, kucharka van Riemena, często przypalała mięso.

Czyż to nie zabawna komedya, koledzy?

Wiedzieliśmy wszyscy na fermie, że Dewett rozpuszcza sam pogłoski o swoim zgonie. Chciał uniknąć pościgu i dać chwilę wytchnienia Burom.

— Zmartwychwstaniemy niedługo i to nie w Transwaalu, nie w Oranii, ale w Kaplandzie. Poruszymy Afrykandrów. Ludność tamtejsza jest także pochodzenia holenderskiego — mówił Dewett do pana van Riemena, a stary nasz gospodarz pochwalał zamiar wodza i cieszył się nim z całego serca.

Może się łudzili? Któż zgadnie? Jakże pragnąłbym wiedzieć, czy wódz przeprowadził swoje zamiary. Może Burowie biją się teraz w Kaplandyi, a ja nie pamiętam nawet, ile czasu upłynęło od mego wyjazdu z fermy pana van Riemena.

Nie mam kalendarza. Zapomniałem zapisywać dni. Ach koledzy, najcięższa praca nie nuży tak, jak bezczynność i oczekiwanie! Z początku podróży rozkoszowałem się wypoczynkiem po trudach i wrażeniach, ale dziś czuję, że niema nieznośniejszej rzeczy nad przymusowe próżniactwo. A trwa ono już tak długo!

Jedyną moją rozrywką w tej nudnej przeprawie jest czytanie „Pana Tadeusza“ i uczenie się go na pamięć. Książeczka doleżała razem z zeszytem na spodzie bezdennej kieszeni. Zawdzięczam jej przechowanie „Pana Tadeusza.“

Dalszy ciąg dziennika.

Wczoraj, zamiast pisać, deklamowałem wspaniałe wiersze Mickiewicza. Przekonałem się bowiem, że i na Oranii można się czegoś nauczyć. Ja uczę się czytać. Śmiesznie to brzmi, prawda? A jednak tak jest. Niby to każdy umie czytać, ale co to za dukanie w porównaniu z pięknem, wyraźnem oddawaniem myśli autora.

Mój tatko czyta prześlicznie. Próbowałem naśladować go i przekonałem się, że zawsze brakło mi głosu nie w porę, że pomijam przecinki, a już co średników, to wcale nie umiem używać.

— Mam więc zajęcie na czas podróży! — pomyślałem. Będę czytał głośno a wyraźnie i z uwagą na akcenty. Odniosę stąd podwójną korzyść, raz wprawy w czytaniu, a potem wzbogacę swoją pamięć cudnymi wierszami Mickiewicza. Czyż to nie dobry projekt? A ja sądziłem, że pozostaje mi tylko umrzeć z nudów w łodzi Achabatiego.

O, co ten, to wcale nie podziela moich zachwytów dla Mickiewicza. Zdaje się słuchać ze zgrozą poezyi. Dziwna jest mieszanina rozumu i naiwności u Zulusa. Podejrzywa czary w książce, on, człowiek skądinąd zupełnie rozumny. Widziałem sam, że umiał być użytecznym Dewettowi. Zna wybornie nadmorski kraj Swazów, a biega szybko, jak każdy Kafr, więc przez nienawiść do Anglików ułatwiał Burom porozumiewanie się z Krügerem, który bawił wtedy w Lorenzo-Marquez. Achabati to wywiózł do kraju Swazów część pak ocalonych z jaskini. Nie domyślałem się wtedy, że będę sam brał udział w transportowaniu skarbca transwaalskiego.

Wczoraj próbowałem nawracać Zulusa, który jest poganinem, a mimo starań pana van Riemena nigdy nie chciał się ochrzcić. Spojrzał na mnie zdziwiony i urażony. Po chwili dopiero odezwał się z goryczą w głosie:

— Niech biały młodzieniec opowiada swoją naukę Anglikom *) Pierwej popraw grzesznych, a potem dopiero idź nawracać niewiernych. *)

Zamilkłem. Bo cóż mogłem odpowiedzieć? Dermont słusznie nazywa wojnę transwaalską wyprawą Anglików po złote runo. Chciwość przeszkadza misyonarzom w nawracaniu pogan. Nienawidzę złota. Pomyślcie: tyle ty-

*) Słowa autentyczne.

sięcy dusz odstręcza od Boga zły przykład wojujących z sobą chrześcijan. Kafrów pogan obliczają w Afryce południowej na 800,000 do miliona. Tyle więc tysięcy dusz czeka napróżno dobrodziejstwa nauki Chrystusowej!

— Biada gorszycielom — powiedział Zbawiciel, a Kafrów gorszy okrucieństwo i chciwość Europejczyków.

— Biały młodzieniec kłamie — powiedział raz Achabati, przerywając moje opowiadanie o wspaniałości świątyń stawianych w Europie.

Zerwałem się ławki i rzuciłem wiosło. Przyznajcie, koledzy, że nie jest przyjemnie usłyszeć taki komplement z ust Kafra. Ale Zulus patrzył na mnie spokojnie i mówił dalej:

— Na cóżby biali ludzie znosili swemu Morymie *) tyle kamieni, kiedy go nie słuchają i gryzą się gorzej, niż szakale?

Starałem się mu wytłomaczyć, że nie wszyscy biali są tacy, że to tylko nieznaczna mniejszość, że on zna tych, co napadają, a nie tych, co pracują i dobrze czynią.

Trząsł głową z niedowierzaniem. Dopiero gdy mu przypomniałem pana van Riemena, zaczął wychwalać swego dobroczyńcę, do którego jest niezmiernie przywiązany.

Achabati zawstydza mnie często swojem prostem pojmowaniem rzeczy.

Raz ujrzałem w płytkiem dnie rzeki coś błyszczącego. Zawołałem na Zulusa, żeby zatrzymał łódź. Usłuchał, ale uśmiechnął się złośliwie i pomógł mi wydobyć z wody świecący kamyk, któremu promienie słońca dawały pozór kruszcu.

— Biały młodzieniec szuka złota. Po to też przyjeżdżacie z za wielkiej wody — po dyamety i po złoto.

Urażony odpowiedziałem bez namysłu:

---

*) Tak Zuluanie nazywają świętość.

— Złoto jest pięknym metalem, ale i Achabati ceni ten metal, bo widziałem, jak chował do skrzyni złotą obrączkę.

Niebacznie wymówione słowa rozgniewały Zulusa. Myślałem, że rzuci się na mnie, takim ogniem pałały mu oczy. Utopiłby z łatwością waszego kolegę, bo choć stary, jest bardzo silny.

— Obrączkę! — zawołał po chwili. — Biały młodzieniec nie wie, co mówi. Achabati, syn Pandy, nosił obrączkę złotą na głowie wtedy, kiedy prowadził pułki swego ojca. Pułków było dziesięć i dziesięć razy po dziesięć. Psy angielskie pamiętają Achabatiego. Gryzł ich pod Izandulą... o, gryzł! Ale Anglicy są szakale: spalili Ulundi. W Ulundi mieszkał ojciec Panda i brat Czeczwajo. Czarna Umwolosi płynie do morza. Umwolosi płynęła krwią. Achabati nie dał sobie zedrzeć obrączki. On włoży ją jeszcze na głowę... Wtedy zginą psy i szakale!

Stał oparty o wiosło, dyszał gniewem. Wstyd mnie ogarnął, bo mimowoli sprawiłem przykrość nieszczęśliwemu wygnańcowi. Dla Zulusa złota obrączka znaczyła więcej, niż wartość kruszcu. Była pamiątką minionej przeszłości, symbolem władzy, którą miał nadzieję odzyskać jeszcze w przyszłości.

— Niech Wielki Duch, Pan nieba i ziemi, wróci Zuluanom ich kraj — powiedziałem, chcąc nagrodzić Achabatiemu boleść, którą mu wyrządziłem. Spojrzał na mnie bez gniewu.

— Biały młodzieniec jest dobry! — wymówił drżącemi od wzruszenia ustami i chwycił za ster łodzi. Może chciał ukryć łzy?... Biedny Zulus!

Dalszy ciąg dziennika.

Czas wrócić do fermy pana van Riemena, bo płyniemy szybko. Fala, dobra fala niesie łódź w stronę oceanu. Śpieszę więc opisać wam, w jaki sposób dostałem

się na wody Oranii. Postanowiono to wbrew własnym moim projektom. Posłuchajcie.

Nie chciałem nadużywać gościnności pana van Riemena. Czułem się zdrów, rana zdawała się zagojona, chociaż za naciśnięciem skaleczonego miejsca noga bolała mnie trochę. W miarę jak wracały siły, wracała i tęsknota do ojca. Postanowiłem opuścić fermę, lubo przykro mi było rozstać się z państwem Dewettami i Dermontem.

— Z pomocą Achabatiego dojadę przez kraj Swazów do Lorenzo-Marquez — myślałem, licząc na to, że z portu portugalskiego wypływa wiele statków do Europy i że łatwo znajdę okręt, który się zatrzyma przy wyspie Świętej Heleny.

Pieniędzy miałem mało. Nie dziwcie się temu, koledzy. Przypominam wam, że kupowałem broń i konie dla nas obu z Robertem.

Niestety! Robert zginął, ja zostałem sam, a mój kasztanek, którego tak lubiłem, dostał się Anglikom.

Należało przedsięwziąć jakiś stanowczy krok. Ach, gdybyście wiedzieli, jak to trudno obmyślić coś samemu bez rady starszych! Mówiłem Dermontowi, że chcę wracać do ojca, ale on poklepał mnie tylko po ramieniu, zanucił swoje „ça ira, on rira“ i zarzuciwszy strzelbę przez ramię, poszedł polować na bażanty.

Byłem zły, że tak lekko traktuje sprawę mego wyjazdu, kiedy ja przywiązywałem do niej najwyższą wagę. A wierzyłem w życzliwość Francuza. Toż ocalił mi życie, pielęgnował rannego, a przecież lubimy tych, którym wyświadczyliśmy dobrodziejstwo.

Nie zawiodłem się jednak na Dermoncie. Ja to sądziłem go niesprawiedliwie.

Wieczorem tego samego dnia rozmawiał długo z Dewettem. Wódz ufa mu, jak ufał wprzód Burnsowi. Widziałem, że Dermont wskazywał na mnie, byłem więc przedmiotem ich rozmowy. O czem mówili, miałem się dowiedzieć dopiero nazajutrz.

Nie zapomnę nigdy tego wieczora! Słońce zachodziło pogodnie za faliste pole obsiane kukurydzą, a ja siedziałem na progu domu, podziwiając zręczność siedmioletniego Jakóbka.

Jakóbek był sierotą. Rodzice zginęli oboje w potyczce z Anglikami, dziecko przywiózł z litości na fermę handlarz. Handlarz ten to jedyny pośrednik między ukrytą w skałach fermą a światem. Kupował on od lat czterdziestu skóry i trzody pana van Riemena, a wzamian dostarczał mu broni. Ulitował się nad Jakóbkiem i przywiózł go na swoim olbrzymim wozie. Murzynka Topsi, kucharka, miała o sierocie staranie. Malec był silny i odważny. Patrzyłem właśnie, jak rzemieniem umocowanym na długim bambusie chwytał z ziemi kamyczki i pieniądze miedziane. Mierzył tak dobrze, że koniec bata owijał się zawsze około monety. Zwykła to zabawa dzieci burskich, które tym sposobem nabierają wprawy w celowaniu.

— Nie znają naszych bezmyślnych cacek — powiedział Dermont, stając za mojemi plecami.—Generał cię wzywa — dodał po chwili i pociągnął mnie za włosy, co było u niego karesem lub oznaką dobrego humoru.

Dewett zajmował na fermie osobny pokój, chociaż mieszkanie pana van Riemena składało się tylko z trzech izb, belkowanych u sufitu i z klepiskiem zamiast podłogi.

Nie byłem dotąd ani razu w pokoju generała, to też z bijącem sercem przekroczyłem próg. Wódz siedział na stołku drewnianym i przeglądał mapę. Stanąłem przy drzwiach. Podniósł głowę, skinieniem dając znak, abym zbliżył się do niego,

— Chcesz wracać do ojca? — zapytał krótkim i rozkazującym tonem.

— Tak — odparłem bez namysłu.

— Ojciec twój Polak? Służył w banku francuskim? Jest teraz internowany na wyspie Świętej Heleny?

Spojrzałem zdziwiony. Wódz zrozumiał moje nieme pytanie. Potarł ręką czoło, jak gdyby odpędzając przy-

kre wspomnienie i po chwili powiedział tym samym ostrym tonem:

— Robert Burns mówił mi o tobie.

— Robert! — zawołałem, wstrzymując z trudnością łzy. Nawet z Dermontem nie rozmawiałem nigdy dotąd o tym straconym, a tak kochanym przyjacielu. Dewett spojrzał mi prosto w oczy. Wzrok wodza zdawał się przenikać do szpiku kości.



Wielka armata Burów zwana Long Tom, zakopana razem z tylu innemi.

— Uprowadziłeś Roberta z Johannesburga, co, muszę przyznać, było dziełem wielkiej odwagi i zimnej krwi. Mnie także z narażeniem własnego życia zasłoniłeś od szabli angielskiej. Byłeś dwa razy ranny w walce za wolność Transwaalu. Nasza ojczyzna nie ma czem nagradzać

swych obrońców. Szlachetnym płacimy tylko zaufaniem. Czy mogę ci zaufać, młody Polaku?

— Rozkazuj, generale — powiedziałem.

— Mam przesłać Leydsowi, posłowi naszemu w Hadze, ważne papiery i złoto, którego potrzebować będzie dla popierania w Europie naszej sprawy. Powierzam je tobie. Wiedz jednak, że zabierając dokumenty i pieniądze, narażasz się na wielką odpowiedzialność wobec rządu angielskiego.

— Ufam Bogu. On dopomoże mi nie zawieść zaufania, jakiem zaszczycasz mnie, generale. Ale jestem młody i niedoświadczony, nie znam drogi, którą obrać należy...

— Towarzyszyć ci będzie Zulus Achabati aż do pierwszej stacyi kolei w kraju Nama. Można na nim polegać, bo nienawidzi Anglików. Dalej pojedziesz już sam. Notatkę, dotyczącą podróży, i skrzynkę ze złotem wręczy wam Dermont — zakończył Dewett, żegnając mnie skinieniem głowy.

Salutowałem po wojskowemu i chwyciłem za klamkę, żeby wyjść z pokoju. Ale na myśl, że nigdy, nigdy już nie zobaczę bohatera, którego czciłem całą mocą duszy, targnęło mną coś i zawróciło od progu. Rzuciłem się do nóg generała, pochwyciłem jego rękę i przytuliłem do ust.

— Niech Bóg ocali twój kraj i ciebie, panie! — zawołałem.

— Niech cię Wszechmocny wróci ojcu. Powiedz mu ode mnie, że jego syn był dzielnym żołnierzem Dewetta — odrzekł wódz, a mnie brakło tchu w piersiach. Zasłużyć na taką pochwałę, koledzy, to potem można umrzeć ze szczęścia. Uciekłem do ogrodu . . . .
. . . .

Dalszy ciąg dziennika.

Pożegnanie moje z Karolem Dermontem było bardzo serdeczne. Uściskaliśmy się jak dwaj bracia, a chociaż

Francuz gwizdał starym zwyczajem swoje ulubione „ça ira," wiedziałem, że i jemu rozstanie nasze sprawiało przykrość.

Pan van Riemen dał nam na drogę obfite zapasy żywności. Po raz ostatni umyto mi też nogi. Nie wiem, czy pisałem wam, koledzy, o tym zwyczaju gościnności, który zachowują dotąd starzy Burowie, żyjący na fermach. Co wieczór po kolacyi wnosi Murzynka wielką miskę wody i kilka ręczników. Wszyscy obecni zdejmują obuwie, a służąca umywa nogi najprzód panu domu, a potem jego gościom. Poczciwa stara Topsi oddała mi po kolacyi tę usługę, ja zaś pobiegłem jeszcze do ogrodu pożegnać panią Dewettową.

Modliła się zwykle wieczorem pod wyniosłemi palmami parku. Cudnie tam było tego dnia. Gwiazdozbiór krzyża południowego świecił wprost nad dachem fermy. Żona generała siedziała na nizkiej ławce darniowej. Podszedłem bliżej, chcąc zwrócić na siebie jej uwagę.

— To ty, Johannie? — zapytała łagodnym głosem. Nazywała mnie zawsze po imieniu i okazywała mi życzliwość. Gdy jej powiedziałem, że wyjeżdżam nazajutrz, skinęła ręką, jakby dając znak, że wie o tem.

— Chrystyan ci ufa, a ja proszę Boga, abyś nie cierpiał przez nas i odnalazł ojca — powiedziała, a potem przytuliła moją głowę do piersi i pocałowała mnie w czoło. Była w tej chwili okropnie blada.

Dermont mówił, że mój widok przypominał pani Dewettowej utraconych w czasie wojny synów. I musiało tak być, bo gdy patrzyła na mnie, stawała się smutną.

Czyż to nie straszne, koledzy? Marszałek Roberts płacze równie gorzko, jak jego ofiary. Dlaczego więc ludzie dręczą się i zabijają, kiedy przykazanie Stwórcy uczy nas zgody i miłości?

Dwudziestego października opuściłem fermę. Jest to jedyna data, jaką mogłem zapisać w tym dzienniku, bo zapomniałem znaczyć dni. Nie przez kraj Swazów, jak miałem zamiar, ale korytem Oranii płynę do Europy. Tak

kazał Dewett, a ja się dotąd uważam za jego szeregowca, słucham. więc rozkazu wodza, chociaż podróż moja stała się o wiele dłuższą, bo muszę przebyć wszerz prawie całą Afrykę południową.

Droga to jednak najbezpieczniejsza zdaniem generała. Wschodnie i południowe porty Afryki są pilnie strzeżone przez Anglików, bo leżą blizko teatru wojny. Wsiadając zaś na okręt w porcie Nolloth, uniknę wszelkiego niebezpieczeństwa.

Pierwszą część podróży odbyliśmy wozem, zaprzężonym w 8 par wołów. Ten dom na kołach, w którym żyją i umierają koczujący Burowie, był mi już dobrze znanym. Pamiętacie, koledzy, że po ucieczce z Emaus chorowałem w takiej Arce Noego pod troskliwą opieką pani van der Nootowej.

Podróż wozem ma jedną wielce korzystną stronę: mianowicie oszczędza wydatków. Nie potrzebuję płacić ani za kolej, ani za noclegi w hotelach, co jest w mojem położeniu prawdziwem dobrodziejstwem, gdyż mam niezmiernie mało pieniędzy.

Główny ładunek wozu stanowiła łódź, albowiem ja i Achabati nie posiadamy żadnych pakunków. To jest posiadamy skrzynkę generała i tej strzeżemy, jak źrenicy oka. Ale skrzynka jest nieduża. Woźnica Kafr i poganiacz wołów nie wiedzieli wcale o jej istnieniu.

Gdyby, który z was, koledzy, chorował na rozstrój nerwów, radziłbym mu przejechać się wozem burskim po stokach Drakenberskich. Sądzę, że podróż uleczyłaby go z modnej choroby. Jedzie taka buda na złamanie karku, a raczej na karkach wołów ponad przepaściami, w których ginie oko człowieka. Innym znów razem biedne zwierzęta wloką ciężką arkę pod strome wierzchołki. Woźnica i poganiacz świszczą batem nad głowami wołów, a ty, nędzny człowieku, myślisz sobie: Zleci buda, czy nie zleci? Wyciągną woliska furgon, czy spadną w dół razem z arką i z tobą?

A jakież są nudne postoje dla odpoczynku zwierząt! Nie mogłem nawet polować, gdyż bałem się odejść od wozu, bo na dnie arki leżała skrzynka Dewetta.

— Boże! daj, abym dowiózł ją szczęśliwie do Europy! — myślałem, idąc obok wozu. Nie śmiałem zwierzać się Achabatiemu ze swej troski, bo zapomniałem zapytać Dermonta, czy Zulus wie, co zawiera skrzynka. Wie zapewne, ale niczem nie daje tego poznać, a ja mówić z nim o tem nie mam prawa.

Bóg czuwał nad naszą karkołomną wyprawą. Dowieźliśmy szczęśliwie arkę do Alival Northu. Tu pod zasłoną nocy Kafrowie, służący van Riemena, wydobyli łódź z wozu i spuścili ją na wody Oranii. Dno łodzi było podwójne. Ukryliśmy w niem skrzynkę tak dobrze, że nie dojrzeli jej żołnierze angielscy, patrolujący w Bethulii, chociaż dwa razy rewidowali łódź. Mogę śmiało powiedzieć, że przebyłem już najniebezpieczniejszą część drogi.

W kraju Korana, przez który teraz płyniemy, grozić nam może tylko głód lub krajowcy Buszmani, a ci są mniej straszni od Anglików. Nie wybredni biedacy. Żywią się często szarańczą i są pożerani przez lwy i pantery, bo kraj Korana to pustynia. W nocy słyszymy często przeraźliwy ryk dzikich zwierząt, ale rankiem widzimy zwykle tylko antylopy, które przybiegają gasić pragnienie w czystych nurtach Oranii. Achabati strzela celnie, a ja, nie chwaląc się, jestem też już niezłym myśliwym. Mamy więc poddostatkiem zwierzyny, a jemy ją najczęściej na surowo.

Widzę stąd, jak się otrząsacie, koledzy, na myśl o takim przysmaku. Wybrednisie z was. Alboż w Anglii nie jadają krwawych befsztyków? Głód, wierzcie mi, to dobry kucharz. Ja w górach Witwaterskich jadałem z głodu liście. Przytem Achabati przyrządza wyśmienicie pieczeń z antylopy. Wiecie jak? Ubija ją między dwoma

rozpalonemi na słońcu kamieniami. Sam jednak przekłada nad wszelkie przysmaki ciepłą krew.

Znów się otrząsacie. No, ja nie gustuję przecież w tym przysmaku, ale mój towarzysz wspomina z rozkoszą czasy, kiedy na dworze króla Pandy pito gorącą krew wołu. Płynąc Oranią, musiał się jednak Zulus zadowolić krwią antylop, która podobno nie jest tak smaczna, jak bydlęca.

Wczoraj właśnie udało mi się zabić młodą kozę. Achabati powściągnął tym razem łakomstwo i użył krwi na pomalowanie luf naszych strzelb. Robił to zaś dlatego, żeby stal połyskiem nie odstraszała zwierzyny. Widziałem, jak Burowie w ten sam sposób czernili broń krwią. Anglicy, nauczeni doświadczeniem, pociągali kolorem khaki lufy swoich karabinów. Bystre oko partyzantów holenderskich dostrzegało podkradających się żołnierzy po połysku broni.

Partyzanci! Co też dzieje się z Dewettem? Czy szczęście zawsze sprzyja Anglikom? Czy prezydent Krüger popłynął do Europy? Spragniony jestem wiadomości, a tak dawno nie miałem żadnych, ani od tatki ani z placu wojny... Mógłbym zapomnieć, że jestem w Afryce południowej i że bili się tu niedawno. Może walka Burów z Anglikami już skończona? Czy się rozpocznie na nowo, jak przepowiadał Dewett?

Ach, koledzy, jakże to nudno płynąć tak dzień po dniu, tydzień po tygodniu, płynąć z tęsknotą w sercu, która pędzi naprzód myśli, a nurty Oranii nie idą w ślad za myślami! Napróżno deklamuję „Pana Tadeusza". Umiem go już prawie na pamięć i uczyniłem postępy w głośnem czytaniu. Achabati patrzy na mnie, jak na waryata, bo nieraz giestykuluję z zapałem i zagłuszam donośną wymową szum fal, jak jąkała Demostenes zagłuszał deklamacyą huk bałwanów morskich.

Pięknie jest naśladować wielkich ludzi, zwłaszcza Greków, do których mam słabość, ale ja takbym rad uciec

już z Oranii na Ocean! Tam miałbym prawdziwe fale i prawdziwe orkany. Tu woda rzeki płynie coraz opieszalej, a w kraju Nama czeka nas podobno jeszcze powolniejsza podróż. Dlatego to właśnie zbudowali tam kolej Anglicy, ale ja chciałbym mieć z nimi jak najmniej do czynienia. Przytem, płynąc łodzią, oszczędzam pieniędzy, a za przejazd koleją trzeba płacić. Tylko znów kolej dowiozłaby mnie prędzej.

Ach, tak tęsknię, tak mi ciężko na sercu! Ciężej z dniem każdym, a płyniemy coraz wolniej po płytkich zamulonych piaskiem wodach.

Dalszy ciąg dziennika.

Przykrzyłem sobie powolną drogę. Zato teraz odpoczywam w zupełnym spokoju. Łódź trafiła na mieliznę i nie możemy poruszyć jej z miejsca. Achabati utrzymuje, że tylko czary mogą nas ocalić. Spogląda przytem ukradkiem na moją książkę, to jest na poemat Mickiewicza, i ma taką minę, jak gdyby sądził, że w czarnych znakach spoczywa nieznana mu moc. Dzicy otaczają czcią zamawiaczy deszczów. Są to oszuści, wyzyskujący w bezczelny sposób łatwowierność Murzynów. Ale taki facet przydałby się nam teraz bardzo, gdyby istotnie znał sposoby zamawiania chmur. Osiedliśmy na mieliźnie i tylko ulewa, a co za tem idzie, wezbranie rzeki może nas poruszyć z miejsca. W Afryce deszcze bywają bardzo rzadkie. Livingstone, sławny podróżnik, opisuje suszę, która trwała całe dwa lata. Widział na dnie wyschłych rzek krokodyle, zdechłe z pragnienia.

Czy wyobrażacie sobie możliwość takiej suszy, koledzy? Dwa lata siedzieć na mieliźnie i w końcu umrzeć z pragnienia, jak krokodyl.

Pytałem Achabatiego o radę, ale on uśmiecha się tylko pobłażliwie i nie traci ani na chwilę swego monarszego spokoju.

Dalszy ciąg dziennika.

22 grudnia 1900 r. Na okręcie „Gwiazda Sudanu.“

Tak, koledzy, tak, tak, tak! Na okręcie! Niesie mnie „Gwiazda Sudanu.“ Jakże kocham ten okręt! Całowałbym rudel, maszty, koła, co tak szybko porą fale, bo płynę do ojca!...

Dawno nie pisałem do was. Na usprawiedliwienie lenistwa nie mam żadnej wymówki. Dziś także z trudnością zbieram uwagę. Pomyślcie! Niezadługo, może za kilka dni, ujrzę brzegi Świętej Heleny. Gdy mi to mówią majtkowie, czuję zawrót głowy i skoczyłbym w morze. „Gwiazda Sudanu“ płynie szybko, ale mnie się zdaje, że biegłbym po falach prędzej, niż okręt, wyprzedziłbym mewy, bo dążę do ciebie, ojcze!...

Dalszy ciąg dziennika.

24 grudnia 1900 r.

Dziś wigilia. Ojciec myśli pewnie o mnie, a ja nie mam nawet opłatka, żeby przełamać go wedle starego zwyczaju. Ale mam coś stokroć droższego: odżyła we mnie nadzieja. Bóg nie opuści sieroty. Ufałem Mu i zachował miłosiernie biedaka w cieniu Swych skrzydeł.

Postaram się opanować swoje uczucia, żeby opowiedzieć wam, koledzy, dzieje ostatnich tygodni. Potem, gdy dopłynę do wyspy, nie będzie na to czasu. Przecie sami rozumiecie, że trudno pisać, kiedy się ma tyle do opowiadania. Kiedy zwłaszcza tęsknota wyssała serce i musi się je długo, długo tulić do piersi ojcowskiej, żeby odżyło radością posiadania kogoś na wyłączne ukochanie.

Dalszy ciąg dziennika.

26 grudnia 1900 r.

Dziś nareszcie postanowiłem streścić zdarzenia ostatnich tygodni. Właściwie nie było żadnych zdarzeń. Od

chwili, gdy opuściłem fermę pana van Riemena, sprzyja mi wciąż bajeczne szczęście. Bo pomyślcie tylko, moi kochani:

1-o Nie złamałem karku, podróżując wozem w górach Drakenberskich.

2-o Nie pochwycili mnie Anglicy, chociaż wiozłem skrzynkę Dewetta przez ich posiadłości.

3-o Nie utopiłem się w Oranii.

Co zaś najważniejsze, nie niepokoili nas krajowcy i nie umarłem z nudów na mieliźnie. Pierwsze tłomaczy się tem, że Kafrowie, wystraszeni wojną, unikają wszelkiej zaczepki. Drugiemu nieszczęściu zapobiegła ulewa.

Tak, ulewa, a raczej potop. Wy, szczury ziemne, nigdy nie wytykające nosa poza Warszawę, nie możecie mieć nawet wyobrażenia o tem, jaką bywa nawałnica afrykańska.

Co tu dużo gadać. Po prostu wściekają się wszystkie żywioły. Ziemia dyszy z gorąca, po niebie przelatują czarne płachty chmur, pioruny grzmią, jak trąby sądu ostatecznego, a tymczasem na kark wylewa ci się rzeka.

Nie rzeka, lecz morze, ocean wody!

Dlaczego łódź, pędząca po spienionej Oranii, nie rozbiła się o pierwszą lepszą skałę, tego nigdy pojąć nie zdołam. Porwana prądem, leciała jak szalona. Achabati przyznawał sam, że nigdy jeszcze nie odbył równie niebezpiecznej podróży. Jemu też winien jestem ocalenie, bo czyta w księdze przyrody, jak biegły naturalista, a nikt wystawić sobie nie może, ile w tej karkołomnej wyprawie dał dowodów sprytu i przytomności umysłu. Jego żerdź umiała zawsze w porę odepchnąć łódź od skały, a kiedy śmierć zdawała się nieunikniona, on potrafił skierować czółno między kloce drzewa i przeczekać w bezpiecznem miejscu potop, który groził czółnu zalewem. A jednak każdy Europejczyk uważa się za rozumniejszego od Kafra, dlatego że uczono go wielu rzeczy, chociaż te

wiadomości na Oranii i w mojem położeniu nie miałyby praktycznego zastosowania.

To też przywiązałem się do Achabatiego i tęskno mi czasem za nim. Czy się nawróci? czy zostanie chrześcijaninem? Modliłem się o to szczerze i przez czas wspólnej żeglugi byłem chyba dobrym bratem dla Zulusa. A wszak dobrocią pozyskuje się dusze Bogu. Więc może przez pamięć na białego młodzieńca—bo tak mnie zawsze nazywał — zechce kiedy Achabati poznać prawdy naszej religii.

Ach, jakże tego pragnę!

Rozstaliśmy się w kraju Nama. Ofiarowałem Zulusowi zegarek na pamiątkę i on wrócił na fermę van Riemena, a ja nająłem wóz, który dowiózł mnie do najbliższej stacyi kolei. Koleją przybyłem prędko nad ocean, to jest do portu Nolloth. Tu także sprzyjało mi szczęście. Statek „Gwiazda Sudanu“ odpływał właśnie do Gwinei, a że wiózł więźniów burskich na wyspę Świętej Heleny, zrobiłem układ z kapitanem okrętu. Układ ten wypróżnił do dna moją sakiewkę, ale nie martwię się tem wcale. Jeść dadzą mi na statku, a byłem odnalazł ojca, wszystko będzie dobrze.

Jedyną moją troską jest skrzynka Dewetta. Przykra to bardzo rzecz być stróżem cudzych pieniędzy. Smoki, pilnujące skarbów w bajkach, mają zazwyczaj kilka głów, a moja jedna, marna, bardzo marna, gdyż tracę ją zupełnie z radości, że zobaczę ojca...

Szkaradna skrzynka! tyle przysparza mi kłopotu. Bo nuż utonie? Pocieszam się myślą, że w takim razie utonę i ja. Ale czyż zawsze tak bywa? Zdarzają się przecież rozmaite wypadki. Okręt może pójść na dno a podróżni ratują życie na łodziach. Zły casus. Ale pójść ze skrzynką na dno to także marna pociecha, zwłaszcza gdy się jest blizkim celu, bo powinniśmy wkrótce ujrzeć wyspę.

Dalszy ciąg dziennika.

31 grudnia 1900 r.

Kapitan powiedział dziś, że jutro dopłyniemy do wyspy. Słyszycie? Jutro stanę przed ojcem, obdarty, ale żołnierz Dewetta. Pokażę tatce moje blizny! To nie cięcie rapiera burszowskiego, to nie ślady hulanek po wypiciu 10 kufli piwa, to ślady prawdziwych ran, któremi mogę się szczycić...

Jutro jest 1 stycznia. Dziś kończy się wiek dziewiętnasty, a z nim kończą się moje tęsknoty i troski.

Więc finis, XIX wieku! i niech żyje twój następca — wiek XX-sty!

Niech żyje! Zacznę go z błogosławieństwem ojca. Winszujcie mi, koledzy. Życzę wam i całemu światu tyle radości, ile jej jest w mojem sercu!

Jeszcze dziennik Janka.

2 stycznia 1901 r. Wyspa Świętej Heleny.

Nie widziałem ojca i czy go zobaczę? Może nigdy nie zobaczę tatki. Może zginę z osłabienia i głodu... Bo jestem bardzo głodny. Przypłynęliśmy w nocy do portu, teraz już wieczór, a ja jeszcze nic nie jadłem...

Nie mam za co kupić żywności. Murzyn, który przyniósł tu skrzynkę, pomocy dać mi nie może. Pozwolił mi postawić ją w swoim szałasie, ale umrę z rozpaczy, a on będzie obojętnie słuchał moich żalów...

Gdybym miał chociaż zegarek! Może za cenę zegarka poszedłby uwiadomić tatkę o mojem przybyciu?

Więźniowie burscy mieszkają w fortecy, a ja nie mam siły zadźwigać tam skrzynki, nawet sam zaczołgać się nie mogę do ojca. Wysiadając z okrętu, stłukłem nogę i odnowiła mi się rana. Krew broczy, a ja słabnę...

Okropność! okropność!

Piszę, bo mi straszno, bo może z tego dziennika dowie się tatko o moich losach . . . .
. . . .

Gdybym miał choć trochę tego złota, które leży w skrzynce, skusiłbym niem Murzyna i sprowadziłby furmankę.

Przeklęty Murzyn! Patrzy na mnie bezmyślnemi oczyma. To prawdziwa małpa. On nawet nie rozumie, czego chcę od niego. Ale gdyby widział złoto, zrozumiałby może... Mogę przecież otworzyć skrzynkę... Tak, to dobra myśl! Wezmę kilka sztuk złota, a tatko odda za mnie dług.

Czyż byłoby w tem co złego? . . . .

A jeśli zginę z głodu i upływu krwi? Skrzynka przepadnie, zabierze ją Murzyn. Tylko szalony mógłby się wahać'... Otworzę zaraz . . . .
. . . .

Wróciłem do dziennika. Nie otworzyłem skrzynki. Bo jednak tatko — wiem o tem doskonale — nie ruszyłby za nic cudzych pieniędzy. Dyrektor banku mówił, że tatko narażał życie, byle dopełnić zobowiązania, a cóż powiedziałby doktór Leyds, gdyby zamek skrzynki był naruszony? Powiedziałby, że Janek Żórawski nadużył zaufania... Co robić? . . . .
. . . .

Będę czekał i ufał Bogu. On zachował mnie dotąd w cieniu Swych skrzydeł. Będę też pisał, póki sił starczy, żeby tatko widział, jak bardzo go kocham. . . .
. . . .

Z szałasu, w którym kreślę te słowa na skrzynce Deweta, widać gościniec, prowadzący do fortecy... Może nadejdzie ktoś, kogo mógłbym prosić o pomoc...

Teraz także widzę dwóch pieszych. Nie odmówią mi dobrej rady. Są biali i starannie ubrani. Zbliżają się. Boże miłosierny! . . . .
. . . .

Dalszy ciąg dziennika.

23 stycznia 1901 r. Wyspa Świętej Heleny.

Tak, koledzy, to był ojciec, mój własny ojciec, mój najdroższy ojciec! Bóg sprowadził go na moją drogę, zachował znów w cieniu Swych skrzydeł.

Sygnalizowano w fortecy przybycie „Gwiazdy Sudanu“ i tatko szedł dowiedzieć się, czy okręt nie przywiózł listu ode mnie. Listu? Pocóż miałbym pisać list, kiedy przyjechałem sam. Szedł dopiero wieczorem, bo takie tu są teraz upały, że nikt w dzień nie naraża się na skwar słoneczny.

Myślicie, że mnie tatko poznał? Wcale nie. Wyskoczyłem jak szalony z szałasu, a ojciec myśli: Pewnie zbój—i podnosi laskę. Ale potem rzucił laskę na ziemię i ściskaliśmy się mocno, tak mocno!...

Jakże tatko miał mnie poznać, kiedy mam wąsy i brodę! Nie śmiejcie się, koledzy: patrząc pod światło, widać doskonale zarost. Słowo daję, tatko sam mówi, że widać. Kochany, drogi tatko! Przypadłem do jego nóg i całowałem te drogie stopy, które Bóg skierował w moją stronę.

To tylko była bieda, że wzruszenie, głód i upływ krwi odebrały mi siły. Tatko przeląkł się bardzo, bo myślał przez chwilę, że jego jedynaczek umiera. To los, koledzy, umierać, kiedy się odzyskało ojca. Niema głupich, prawda? Biedny tatko chwycił mnie w objęcia i wołał o wodę. Wodę—dziękuję uniżenie. Miałem jej dosyć, płynąc łodzią, a potem okrętem.

— Chleba, daj mi chleba, ojcze!—prosiłem, odzyskując siły na myśl, że poić mnie będą wodą.

— Kleba, il demande du pain. Voilà! — zawołał towarzysz ojca.

I wiecie, kogo zobaczyłem? Pana Jerzego Vidala, tego, który zabrał mój list z fermy Rhenoster. Vidal, schwytany przez Anglików, internowany został na wyspę

Świętej Heleny. Internowani używają względnej swobody, gdyż na niedostępnej skale, mającej 123 kilometry kwadratowe przestrzeni, łatwo mogą być pilnowani. Vidal odszukał mego ojca, opowiedział tatce wszystko, co wiedział o mnie, przedewszystkiem zaś to, że uprowadziłem Roberta Burnsa z Johannesburga. Francuz był odtąd nieodstępnym towarzyszem tatki i z nudów nauczył się kilku polskich wyrazów. Zrozumiał też, że proszę o chleb.

— Tyś głodny, biedaku! — zawołał drogi tatko. — Głodny, obdarty, zbiedzony! Chodź, niedaleko stąd jest bar, w którym będziesz mógł się posilić. Chodź poprowadzimy cię z panem Vidalem.

— Nie mogę odejść, ojcze!...

— Nie możesz odejść stąd? — przerwał mi tatko.— Dlaczego, biedaku?

— Bo, bo —wyszeptałem, tracąc znów siły—bo otworzyła mi się dawna rana, krew płynie z nogi. Nie mogę odejść stąd. Ja jestem żołnierz Dewetta... W skrzynce złoto, ojcze!... złoto powierzone mojej opiece...

Nie pamiętam, co się działo potem. Przytomność odzyskałem dopiero na wozie. Tatko tulił moją głowę do piersi.

Ach, koledzy, jakże się słodko śpi w objęciach ojca! Śpi, czy mdleje, bo nie wiem, co to było. Odetchnąłem z głębi piersi i zapytałem niespokojnie:

— Gdzie skrzynka Dewetta, ojcze?

— Jest, jest — odpowiedział tatko, a usłyszałem, jak mówił potem do pana Vidala: — Dobrego i dzielnego mam syna.

Dalszy ciąg dziennika.

1 lutego. Wyspa Świętej Heleny.

Jutro odpływamy do Europy. Kończę swój dziennik pożegnaniem was, koledzy. Wątpię, abym mógł zainteresować kogo powtarzaniem nieustannych wykrzyków

radości. Tatko mówi, że szczęśliwi ludzie nie mają pamiętników, a ja jestem taki szczęśliwy!

Jedziemy wprost do Hagi, żeby oddać dr. Leydsowi papiery i pieniądze Dewetta. Skrzynka uszła szczęśliwie uwagi Anglików, a rozkaz marszałka Robertsa otwierał nam wszystkie drzwi, zwłaszcza zaś, czem się najwięcej cieszę, wyzwolił tatkę z przymusowego pobytu na wyspie. Jakże mi żal pana Vidala! On tak pragnął wracać do Francyi. Jego rodacy biją się w Chinach: byłby wziął udział w tej wojnie. Niestety, musi siedzieć na szkaradnej skale. Trudno sobie wyobrazić coś smutniejszego, niż Święta Helena. Jest to jak gdyby wielki, do piekielnych czeluści podobny wąwóz skalisty. Na dnie wąwozu stoją domy.

Żałuję pana Vidala, więcej jednak jeszcze żal mi Burów, tęskniących na wygnaniu za krajem, niespokojnych o los Transwaalu i swych rodzin. Widziałem dom, w którym mieszka generał Cronie z żoną. Zowią ten dom Kent Cottage, ale nie jest on wcale podobny do wesołych dworków otoczonych ogródkami. Więzienie zawsze jest smutne!

Mój drogi tatko czuje się podwójnie szczęśliwym: odzyskał syna i wraca do domu. Lekarze tutejsi zapewniają ojca, że mogę wybornie znosić klimat północny, bo zahartowały mnie trudy ostatniego roku. Znam wielki respekt przed medycyną, ale i sam, bez pukania—a bębnili doktorzy po moich piersiach, jak po drewnianej desce —powiedziałbym, że mogę jechać nawet do bieguna. Spróbowałem już, co głód, zimno, ogień i wojna, a skoro te wszystkie cztery klęski nie zdołały mnie pokonać, to widać przeznaczył mi Bóg długie życie, na radość dobrego ojca i, czego pragnę gorąco, na pożytek społeczeństwa.

Długo jednak nie mogłem przyjść do siebie po ostatnim upływie krwi. Tatko pielęgnował mnie jak małego Janeczka. Dogadzał, pieścił, otoczył staraniem, póki rana znowu się nie zagoiła. A czy wiecie, koledzy, co sprawiło mi największą przyjemność wśród mnóstwa darów,

którymi obsypał mnie tatko? Nie zgadniecie, jestem pewny. Oto włożenie czystej i całej koszuli, bo moja, prana sto razy w rzece Oranii, rozleciała się na strzępki. Kto nie doznał prawdziwej biedy, ten pojąć tego nie zdoła. Leżałem więc w czystem łóżku, a tatko siedział przy mnie; trzymałem jego drogą rękę w swoich, co prawda porządnie wychudzonych rękach i opowiadałem tatce przygody ostatniego roku.

Znacie je z dziennika. Czyż potrzebuję dodawać, że płakaliśmy razem nad losem rodziny Burnsów, nad drogim moim Robertem? I kolejno przesuwały się przed memi oczyma postacie bohaterów transwaalskich, dzielnych kobiet burskich, a po nich wspominałem o tych czarnych moich braciach, do których, jak n. p. do Mungi, Samby i Achabatiego, przywiązałem się szczerze.

Czasem znów tatko opowiadał mi dzieje swego na wyspie pobytu i czytał gazety z wiadomościami o wojnie. Z nich to dowiedziałem się, że królowa Wiktorya nie żyje.

Co jednak największą sprawiło mi przyjemność, to wiadomości o czynach Bothy, generalissimusa wojsk burskich, zwłaszcza zaś o zwycięstwach Dewetta. Dzielny wódz dotrzymał obietnicy i rozpoczął na nowo walkę. Tak jak zapowiadał, walka ta toczy się teraz w samem sercu posiadłości angielskich—w krajach Przylądka. Dermont jest z nim pewnie dotąd.

Leżąc w łóżku, ma się dość czasu. Skorzystałem z niego, żeby obliczyć ruchy Dewetta przez przeciąg ostatnich 114 dni, to jest od chwili, kiedy pochowany i opłakany krokodylemi łzami Anglików zmartwychwstał jednak na ich utrapienie.

I czy uwierzycie, że mój dzielny wódz zdołał przejść w trzy i pół miesiąca 2,200 kilometrów drogi? Potrafił przytem wymknąć się zawsze z opasującego go pierścienia wojsk Kitchenera. Co zaś najważniejsza, zdążył stoczyć przez ten czas 14 większych i mnóstwo dro-

bnych potyczek, z których najczęściej wychodził zwycięsko. A co! czy nie zuch z mego generała?

Mego generała, bo mam prawo nazywać się żołnierzem Dewętta i szczycić się będę do śmierci tem mianem.

Kochany tatko jest większym niedowiarkiem, niż był nim Święty Tomasz. Tatko słyszy własnemi uszami, jakie przebyłem niebezpieczeństwa, widzi, że urosłem i że



Ludwik Botha, obrany wodzem naczelnym Burów po śmierci Jouberta.

mam wąsy, a jednak nie wierzy, aby jego wątły, delikatny Janek mógł być zdrowym i tęgim młodzieńcem. Staram się go o tem przekonać. Odkąd rana się zagoiła, odbywam dalekie przechadzki, zwiedzam wyspę, jej skały bazaltowe, poluję na bażanty, kanarki i króliki,

co mi daje sposobność pokazać tatce, jak celnie teraz strzelam. Bo, nie chwaląc się, dobry że mnie myśliwy.

Dokończenie dziennika.

2 lutego 1901 r. Na pokładzie „Królowej Wilhelminy."

Dziś imieniny Mamy. Płyniemy do Europy. Rok temu byliśmy obaj z ojcem w obozie nad Tugielą.

Rok? Mnie się zdaje, że przeżyłem dziesięć lat. Skrzynka Dewetta płynie z nami do Hagi.

Wczorajszy wieczór spędziliśmy z panem Vidalem w Longwood. Żył tam kiedyś i umarł wielki cesarz Francuzów, Napoleon Bonaparte. Dziś jest w Longwood tylko próżny jego grób. Próżny, bo jak wiecie zapewne, koledzy, Francuzi przewieźli w 1841 ciało wielkiego człowieka do ojczyzny. Dwadzieścia lat jednak spoczywał na obcej ziemi, na tej dzikiej skale, gdzie tęsknił za Francyą, za synem... Tatko mówi, że w szumie oceanu słychać jego skargi.

Mnie przypomniało się to, co Mickiewicz pisał w „Panu Tadeuszu" o Napoleonie:

. . . . gdy ów mąż, bóg wojny,
Otoczon chmurą pułków, tysiącem dział zbrojny,
Od puszcz Libijskich latał do Alpów podniebnych,
Ciskając grom po gromie w Piramidy, w Tabor,
W Marengo, w Ulm, w Austerlitz. Zwycięstwo i zabór
Biegły przed nim i za nim. Sława czynów tylu,
Brzemienna imionami rycerzy z nad Nilu
. . . .
Szła, hucząc, ku północy . . . .
. . . .

— Trzeba być Mickiewiczem, żeby nieśmiertelnymi rymami uczcić nieśmiertelnego człowieka—powiedział tatko, kiedy przestałem deklamować wiersze.

A mnie zrobiło się smutno, bo pomyślałem:

— Kto też kiedy śpiewać będzie sławę bohaterskiego Dewetta!...

Haga, 3 marca 1901 r.

Dziś oddaliśmy skrzynkę doktorowi Leydsowi. Uf!! odetchnąłem nareszcie!... Do widzenia w Warszawie, koledzy!

Janek Żórawski.



